

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

MIESIĄCE (1985-1987)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 432

ISBN 2-7168-0099-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985 - 1987

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Nierzeczywistość, 1978 (wyczerpane)
Miesiące 1978-1979, 1981 (wyczerpane)
Miesiące 1980-1981, 1982 (wyczerpane)
Miesiące 1982-1984, 1984 (wyczerpane)

Styczeń 1985

Przez okno widzę stromy francuski dach kryty blaszaną łuską, w nim trzy mansardy z ozdobnymi lukarnami, nad nimi komin. To jest dach komisariatu policji. Komisariat mieści się w budynku z epoki napoleońskiej naprzeciw domu, w którym mieszkam. Siedzę twarzą do okna, wpatruję się w dach i mam pisać. Dach jest mokry, w trzecim dniu nowego roku od rana pada deszcz. Po mojej lewej ręce stoją półki z książkami. Na górnej półce oparta o ścianę rozpościera skrzydła drewniana sójka wyrzeźbiona przez ludowego artystę, garbuska, we wsi Dalny Las pod Augustowem. Tę sówkę kupiłem w czasie wakacji dwanaście lat temu, artysta siedział na zydlu w ciemnej izbie, po której chodziły kury. W Warszawie sówka wisiała nad stolikiem za moim tapczanem, wychylona dziobem na pokój. M. wieszała na niej swoje medaliony i korale i w końcu sówka utraciłszy kształt ptaka stała się podobna do wschodniej cesarzowej w ciężkim koronacyjnym stroju. Teraz stoi bez ozdób, na sztorc, widać jej fioletowe podgardle, zielony dziób ma skierowany do góry. Skrzydła są tak szeroko rozpostarte, że obejmują niemal cały rząd fotografii, które ustawiłem na wierzchu półki. Prawe skrzydło dosięga zdjęcia, na którym mój ojciec w roku 1924 siedzi w trzcinowym fotelu pod wielkim parasolem z frędzlami. Zaraz obok ja z moim bratem w Zakopanem, rok 1930. Miałem wtedy niecałe czternaście lat, pierwszy raz w garniturze z krawatem i w długich spodniach. Lewym skrzydłem sówka celuje w portretową fotografię M. Ojciec patrzy na mnie spod ściągniętych brwi, M. się uśmiecha.

Wśród zdjęć są jeszcze inne. Fronton pałacu w Oborach, Klara, córka Moniki, grająca na skrzypcach, Ewa R. z Wawrzkiem w pokoju na Filtrowej i my z małą Danielą na ławce. Z Warsza-

wy przyszło ostatnio wiele zdjęć z różnych okresów naszego życia. Ewa nadesłała je przez wspólnych znajomych, którzy jechali do Paryża. Są wśród nich także fotografie rodzinne M. i moje zdjęcie z indeksu uniwersyteckiego, sceny zbiorowe z okupacyjnych wódek na Słonecznej, Marian w oficerskim mundurze z września 1939, młode kobiety w kostiumach kąpielowych. Gdyby czasu było więcej, mógłbym z tych zdjęć ułożyć autobiograficzną kompozycję, rodzaj fryzu obrazującego przebieg mojego życia. Sójkę przywiozła Ewa w listopadzie. Przyleciała z nią na Orly, wyszła z samolotu w pierwszej grupie pasażerów i szła zarumieniona, cisnąc do piersi drewnianego ptaka z zielonym dziobem i ogromnymi skrzydłami. Wręczyła mi go mówiąc: — Uważaj, dziób ma skleiony.

W zakończeniu trzeciego tomu *Miesiący* pisałem, że chcę się oderwać od pierwszej osoby liczby pojedynczej. Drażniło mnie wciąż odmieniane ja-mną-mnie. Później, kiedy z Maisons-Laffitte nadsyłano mi już korekty trzeciego tomu, notowałem różne pomysły, jakie przychodziły mi do głowy, i nawet zacząłem pisać. Skończyło się na trzech stroniczkach. Nie mogłem dalej ciągnąć i miałem chęć położyć się do łóżka. Być może taki stan określił Marek Aureliusz w liście do przyjaciela: „Czuje się przeziębiony. Ale nie wiem, czy dlatego że mimo chłodu biegałem w sandałach, czy dlatego że napisałem zły kawałek prozy”.

Byłem wtedy w La Hacquiinière. Rzecz, którą rozpocząłem, nosiła tytuł: *Wywiad z Don Juanem*. Miała to być rzecz sucha, wydialogowana. Pytania i odpowiedzi. Temat: stosunki między wyobraźnią, erotyzmem i śmiercią. Żadnych odniesień do spraw polskich. Ja ukryte w bezosobowym X., któremu zadaje pytania bezosobowe Y. Słowem, rozprawka na dwa głosy, która — bo jakże inaczej — wydobyłaby ze mnie trochę zwieżeń. A także rozważań nad znaczeniem wyobraźni erotycznej jako ważnego źródła energii pisarskiej, zwłaszcza fabularnej, aż po związki, coraz wyraźniejsze dla mnie, erotyzmu z literackim zmyśleniem i narastającą obecnością śmierci w organizmie, z jej cichym działaniem i podświadomą chęcią odwrócenia od niej uwagi — wymknienia się. Mówiłbym również w tym *interview* o pewnych typach donżuanów w innych dziedzinach życia: o uwodźcieliach ideologicznych i erotomanach politycznych, bo spotykałem takich. To w skrócie byłby ogólny materiał.

Z La Hacquiinière chodziliśmy na pocztę do Bures-sur-Yvette, był lipiec, czekałem na ławce w słońcu aż M. załatwi sprawunki. Ławka znajdowała się na placyku przed merostwem. Lubiłem ten placyk, bardzo jasny, z podcieniami. Obok mnie przywiązany do

ławki czekał brązowy doberman o siwiejącym pysku. Znalismy się już na tyle, że mogliśmy nie udawać wzajemnego zainteresowania. Jego pani wychodziła ze sklepu pierwsza, ja zostawałem na ławce obserwując zaparkowane samochody. Czasami na sąsiedniej ławce siedziała dziewczynka z książką i rudym kotem. Gdzieś w środku, między głową a żołądkiem, tkwiła we mnie myśl, że nie mogę pisać. Miewałem już przerwy w pisaniu dochodzące do półtora roku, teraz jednak czułem, że sprawa jest szczególnie zawiślana. Z supermarketu młodzi naukowcy w szortach wynosili torby z zakupami i pakowali je do bagażników. Byli to przeważnie fizycy lub matematycy — w Bures, Gif i Orsay mieszczą się ośrodki badań i laboratoria. Patrząc zazdrościłem im, że nie są pisarzami ani Polakami. A przede wszystkim, że nie połączyło się w nich jedno z drugim, bo uświadamiałem sobie od dawna, że połączenie czy raczej szczipienie polskości z literaturą jest czymś męczącym, wręcz chorobliwym. Być fizykiem i Holendrem, albo matematykiem i Szwedem, to nie musi się nawzajem turbować, niekoniecznie wynika z tego dramat. Patrzyłem na wprawne ruchy ich rąk zatraskujących bagażniki, na ich precyzyjne ucywilizowanie. Po dwóch obrotach kierownicą odjeżdżali z dziećmi i psami na tylnych siedzeniach do swoich domków, do pracowni, do wykresów i liczb. Jacy byli normalni.

W kwadrans później ciągnąłem nasz wózek wypchany pieczywem, konserwami, pismami i żywnością dla kotów, taszczyłem go w słońcu pod górę przez rue Gambetta na Plateau de La Hacquinierę i już w ogrodzie przed domem wyrwaliśmy sobie z rąk gazety, by sprawdzić czy nie ma w nich korespondencji z Polski.

Niedawno w liście do Arturów pisałem: „W gruncie rzeczy ojczyzna sprowadza się do kilkunastu osób plus historia i język. Reszta się śni”. Naturalnie pisałem to przeciw sobie wśrubowanemu w Polskę, przeciw sobie z *Miesiący*. Wolałbym tu jednak unikać postawy „ja — naród” etc. i mówić o tym, od czego chciałem się oderwać tak zdecydowanie, że gdy w kraju czekano z napięciem na amnestię dla więźniów politycznych, postanowiłem napisać *Wywiad z Don Juanem*. Chciałem się oderwać od patriotycznego obowiązku pisania *de publicis*, od kalendarza narodowej tragedii, który w mojej powieści-dzienniku był regularnie przestrzegany i stał się materią trzech tomów. Chciałem się zreprzywatyzować. Chodziło nie tyle o uwolnienie się od pierwszej osoby liczby pojedynczej, lecz o to, aby ta pierwsza osoba nie była wiecznie poddana rygorowi publicznego przeżywania spraw Kraju. Po każdym wydarzeniu w Polsce prawie na każdej stronicy musiało się wypowiedzieć moje obywatelskie ja. W koń-

cu byłem tym udręczony, czułem nakładającą się na mnie formę; w dodatku niektóre zdania brzmiały jak komunikaty teleksów. Niczego co działo się w Polsce nie mogłem pominąć. Kraj przez duże *k* stawał się jednym z wątków książki, motywem narracyjnym wkomponowanym w fabułę. Chwilami odczuwałem to jak nieprzyzwoitość. Ale wydarzenia były prawdziwe, nie ja układam tę opowieść. Pewnego dnia, jeszcze w Nowym Jorku, z przysłanego mi numeru *Życia Warszawy* dowiedziałem się o uniewinnieniu milicjantów, którzy zabili ucznia, Grzegorza Przemyka. Podarłem gazetę na kawałki, spędziłem bezsenność i nad ranem przyszło mi na myśl, że wszystko co napisał Szekspir jest sztuczne. Tydzień temu, siedząc przed telewizorem i patrząc na oprawców porwanego księdza składających zeznania, pomyślałem że w toruńskim sądzie toczy się proces przeciw Bogu. Niebo milczy, nie słychać grzmotów, Opatrzność jest bezczynna. Gdy kapitan Piotrowski twierdził spokojnie, że zamordował bezbronnego człowieka i czuje się niewinny, kamera ukazała przez chwilę młodego duchownego, który przysłuchiwał się rozprawie. Miał twarz uderzająco podobną do zamęzonego księdza. Siedział jak gdyby w osłupieniu. W takich dniach literatura staje się czymś bezprawnym.

Jest mróz. Mało wychodzę z domu. Wieczorem ulice są puste, nawet kloszardzi zeszli pod ziemię i ogrzewają się na peronach metra. W naszej dzielnicy stałym miejscem kloszardów jest narożnik ulic Saint-Antoine i Fourcy. W chodniku mieszczą się kraty przepuszczające ciepło z głębi metra Saint-Paul i na tych kratkach w nocy śpią a w dzień siedzą kloszardzi. Zazwyczaj jest ich pięciu. Jeden ma białego królika. Około 12-tej przygotowują sobie na kratkach śniadanie. Odwijają z papieru wędliny, pasztet i sery, stoi również butelka czerwonego wina. Królik dostaje sałatę. Raz któryś z nich, zarośnięty, z ogarkiem cygara w ręku, podszedł do mnie prosząc o parę franków. Wyjaśniłem, że nie mam przy sobie pieniędzy, bo wzięła je żona, która właśnie załatwia sprawunki. Przeprosił uprzejmie. Później, kiedy wracaliśmy, przystanąłem, by wręczyć mu dwufrankową monetę. Byli już po śniadaniu, królik siedział z listkiem sałaty w pyszczku. Kloszard podziękował i spytał, czy małżonka jest zadowolona ze sprawunków. Odchodząc spostrzegłem, że jego kolega, z sinym nosem i w poplamionym kapelusiku, rysuje kredką na trotuarze kwiaty w efektownie dobranych kolorach.

Słyszę, że wśród kloszardów zdarzają się osoby po ukończonych studiach na Sorbonie. Niektórzy przeżyli rodzinne tragedie, inni są kloszardami z upodobania. Czasami nie jest łatwo ich rozpoznać, zwłaszcza gdy są w początkowym okresie swojej egzyst-

tencji. Kiedyś usiadłem na ławce obok czterdziestoletniego mężczyzny w ciemnym garniturze. Wyglądał na urzędnika. Po chwili wstał i zaczął się myć w fontannie ulicznej. Miał półbuty na gołych nogach i wyjął z teczki brudny ręcznik. Możliwe że to był człowiek, który dopiero od kilku tygodni przestał chodzić do biura.

W niedzielę na 7-mą wieczór byłem zaproszony z M. do redakcji *Kontaktu*. Przedtem telefonowali zapowiadając pokaz filmowy z kaset video przywiezionych z Polski. Miały być wyświetlane programy kilku kabaretów, m.in. Owcy i Piwnicy Pod Baranami. Był 10-stopniowy mróz i prószył śnieg. Na stacji metra czekało niewielu pasażerów. Zauważyłem dwóch kloszardów leżących przy ścianie peronu, twarze mieli zakryte gazetami. Pod reklamą filmu z piękną Catherine Deneuve siedziała stara kobieta w czapce z daszkiem, w rannych pantoflach i trzech dziurawych swetrach nałożonych jeden na drugi. Na chudych nogach miała opadające pończochy. Była całkowicie zajęta sobą. Odgarniając warstwy swetrów drapała się w pasie, z przodu, z tyłu, z boku. W pewnej chwili odstośniła brzuch. Chyba spostrzegła, że się jej przyglądam, ale nie przestała się drapać po wzdętym brzuchu, i w jej zaaferowanej obojętności, w samotnym pochłonięciu swędzeniem i drapaniem było coś przykuwającego, nie mogłem odwrócić wzroku. Najdziwniejsze że obserwując ją czułem rozbawienie i zgrozę, a zarazem jej pozazdrościłem.

Do redakcji *Kontaktu* wchodzi się wprost z podwórza domu w brzydszej, niereprezentacyjnej części Paryża. W parterowym lokalu był tłok, ludzie siedzieli na stołach i krzesłach, na podłodze, wiele osób stało. W półmroku świecił tylko ekran. Gdzieś w przodzie zrobiono nam miejsce i kiedy przeciskaliśmy się depcząc po nogach i płaszcach, z ekranu ktoś o znajomej twarzy mówił: — ...i to jest bardzo dobrze, proszę państwa, bo jak się naprawdę zastanowić... ale właściwie dlaczego nie włożył pan butów? — To był Jerzy Dobrowolski z kabaretu Owca. Obok niego Stanisław Tym, którego pamiętam jeszcze z STS-u, stał w dwurzędowym ubraniu z krawatem i boso. Szeptem wskazano mi po ciemku miejsce pod ścianą, usiadłem, chyba na bardzo niskim krześle lub fotelu. Było tak ciasno, że z tyłu nade mną dziewczyna siedząca na biurku obejmowała moje plecy kolanami. Z boku grzał kaloryfer. Nie mogłem zdjąć płaszcza ani wygodnie się oprzeć. Na ekranie Tym wygłaszał monolog o świni i rudym konduktorze. Trudno mi było skupić uwagę. Wśród stojących osób rozpoznawałem fragmenty profilów: Alikowie, Barbara, Andrzej Dobosz... Chojecki siedział na podłodze blisko ekranu. Potem ukazał się kabaret Pod Baranami, Piotr Skrzynecki, siwy

patriarcha w czarnym kapeluszu, zapowiadał kolejne występy, młode kobiety o długich włosach śpiewały.

Bałem się poruszyć. Nie tylko dlatego że dziewczyna obejmująca mnie z tyłu kolanami gotowa by to wziąć za nieprzyzwoitość. Czułem niepokój. Z początku wydawało mi się, że twarze na ekranie i profile widzów oświetlane przez ekran nie są całkiem realne. Były niby odbiciem, powtórzeniem czy przedłużeniem czegoś, co kiedyś tworzyło rzeczywistość — kiedyś, za pierwszym razem. Większość tych twarzy znałem z Warszawy lub Krakowa, z STS-u, Klubu Literatów czy *Zapisu*. Teraz jak gdybym oglądał ich cienie. Jedne widać było na szkle, inne wyłaniały się z ciemności. Mogło zresztą być odwrotnie, Tym przywieziony w kasce z Warszawy mógł stać pośród widzów, a Dobosz ukazać się na ekranie, i dałoby to identyczny efekt wtórnej rzeczywistości. Stała się rzecz osobliwa: jakby wywieziono nas z prawdziwego czasu, ich i nas, i teraz odtwarzamy niejasno własne rysy i słowa. Miałem wrażenie, że aktorzy na ekranie usiłują przypomnieć sobie dawne teksty z Owcy i Piwnicy, a my po ciemku także chcemy sobie przypomnieć nas samych.

Równocześnie z tym wrażeniem narastał we mnie niepokój. Pamiętałem transmisję z sali sądowej w Toruniu i twarze oskarżonych. Zwłaszcza jedną. Główny oprawca, Piotrowski, dorodny oficer w cywilnym ubraniu, czytał z kartki swoje oświadczenie. Dokonane morderstwo uzasadniał politycznie: Kościół nie może stać ponad prawem, trzeba było unieszkodliwić księdza, który co tydzień w kazaniach podburzał tysiące ludzi przeciw państwu. Piotrowski mówił to ze wzgardliwą pewnością siebie, właściwie oskarżał Kościół i przestrzegał rząd. Trzeba było ukarać księdza Popiełuszkę, wyręczyć prawo. Twierdził, iż nie powodowała nim osobista nienawiść („po godzinie 16-tej w ogóle o nim nie myślałem...”), a fakt że pogruchotał księdzu głowę i kości drągiem, nazwał „wypadkiem przy pracy”. Przemawiał z twardym przekonaniem, jak ideowy SS-man, i prawdopodobnie wiedział, że przemawia w imieniu swojej kasty. W ciągu czterdziestu lat, pisząc i mówiąc o socjalizmie, hodowano rodzinę zabójców, *camorre* utrzymywaną przez państwo i wyposażoną w nowoczesną technologię i broń. Kapitan Piotrowski, przedtem nauczyciel matematyki, pochodzi z rodziny policyjnej; matka była dyrektorką więzienia w Fordonie, ojciec i brat również związani ze służbą bezpieczeństwa. Piotrowski ma 33 lat — druga generacja w zawodzie — jest przystojnym, silnie zbudowanym mężczyzną i po swojemu lojalnym kolegą. Nie zwałił winy na swych współpracowników. Proces osiągnął nadrzędny cel. Każdy, kto słuchał tych zeznań, dowiedział się, czego powinien się bać, i

zrozumiał, że jest od dawna w rękach ludzi, którzy mogą z nim uczynić wszystko. Włącznie ze skrytobójstwem i pozbawieniem czci. Mordercy w trakcie rozprawy pomówili uśmierconego księdza o afery erotyczne, a jednego z biskupów o współpracę z Gestapo w czasie okupacji.

Od tego procesu wieje grozą. Niektóre szczegóły przypominają zabójstwo Szatowa w *Biesach*. Ktoś powiedział o Piotrowskim: Pietia Wierchowieński. Ktoś inny dodał: plus mołojec z sowieckiego easternu. Nie jest wykluczone, że Piotrowski stanie się wzorcem bohatera SB, a jeśli go powieszą, będzie miał w rodzinie policyjnej legendę męczennika. Ten demon zachował katowski hart ducha. Ale prócz niego na ławie oskarżonych zasiada jeszcze Smerdiakow. Błady, czelny pułkownik Pietruszka, i cały w drgawkach porucznik Chmielewski, i Pękała ze swoimi płaczliwymi zeznaniami, wszyscy trzej razem są Smerdiakowem, którego przekonano, że nie ma Boga. „Myśleliśmy, że władza będzie z nas zadowolona i dostaniemy awans”. Rolę Iwana Karamazowa spełniła w tej zbrodni władza. Ilu Smerdiakowów wychowano przez czterdzieści lat! I nie tylko w Polsce, i nie tylko w Rosji. Znowu przychodzi mi na myśl Sartre, który odwiedził w więzieniu niemieckiego terrorystę Baadera. Baader mógł mu powiedzieć to samo: myślałem, że będzie pan z nas zadowolony. Pełno dziś na świecie Smerdiakowów, uświadomionych przez swych braci przyrodnych, rewolucyjnych intelektualistów. Dostojewski był jasnowidzem. Nie przewidział tylko, że rewolucja utożsamia się z ochroną.

Wiele osób liczy policyjna rodzina. Są wszędzie. Nie znamy ich. Artyści na ekranie, długowłose śpiewające dziewczyny i ten chłopak z gitarą, my wszyscy — jesteśmy tylko pozornie bezpieczni. Wszędzie mogą nas wypatrzeć i dosięgnąć. Przypuszczam, że byli wśród nas podczas projekcji w lokalu *Kontaktu*. Wróciliśmy metrem po 10-tej wieczór. Wysiadając przy Hôtel de Ville zobaczyłem na peronie starą kloszardkę w czapce z daszkiem. Siedziała w tym samym miejscu, grzebiąc ręką między swetrami a spódnicą, i kiedy mnie spostrzegła, kiwnęła wesoło głową. Ukłoniłem się.

L u t y

Dom, w którym mieszkał Wolfgang Amadeusz Mozart w czasie swoich pierwszych występów w Paryżu, znajduje się na ulicy François Miron pod numerem 68. Mozart miał wówczas siedem lat. Codziennie mijam ten dom. Jest to zaniedbany pałac

z ciężką bramą, przez którą wchodzi się na dziedziniec wyłożony kamieniami i mroczny. W środkowej części, zamykającej w głębi dziedziniec, widać długi balkon, rodzaj galeryjki. Podobno mały Mozart koncertował na niej dla publiczności usadowionej w dole na dziedzińcu. W skrzydle budynku, po lewej stronie patrząc z bramy, mieści się tablica pamiątkowa: „Mozart mieszkał w tym domu w roku 1763”. Na szerniałej płycie widnieje płaskorzeźba: profil młodego człowieka w peruczce, o dużym nosie i wypukłych oczach. Niezbyt podobny do ołówkowego szkicu z roku 1789, robionego jakoby z natury. Przy ścianie pod płytą sterczy uschnięty krzak. Nigdy w tym miejscu nie widziałem kwiatów, chociaż w sezonie turystycznym często bywają tu grupy wycieczkowe i pojedynczy wielbiciel.

Obejrzałem niedawno film *Amadeusz* nakręcony przez Formana według niemieckiej sztuki teatralnej pod tym samym tytułem. Wychodziłem po dwugodzinnym seansie z uczuciem, że film jest chybiony i ratuje go — ale właśnie czy ratuje — muzyka. Od dawna jestem przekonany, że gdyby nie było gwiazd, Biblii ani kościołów, tylko muzyka Mozarta, byłby to wystarczający dowód, że Pan Bóg istnieje. Tu jednak, w tym kinie...

Forman pokazał Mozarta jako wesołka nawiedzonego przez geniusz muzyczny. Koncerty i opery układa chichoczący gówniarz, bo tak się złożyło, że ów gówniarz był czarodziejską różdżką przekazującą najcudowniejsze tony duszy. Lecz jednocześnie był gówniarzem, najdalszym od świadomości losu i powagi artysty. Zdawałoby się to potwierdzać opinię Wagnera, który w kilkadziesiąt lat po śmierci Mozarta zarzucał mu brak muzycznej powagi... Czy dlatego były *Wunderkind* w końcu znudzili się wiedeńskiej publiczności? Może jednak nie — może dlatego że nie potrafił wykonywać koniecznych zabiegów, nie był zręczny w stosunkach z ludźmi i nie imponował snobom? Będąc nadwornym muzykiem arcybiskupa Salzburga jadał przy stole dla służby. Podobno był zbyt prostoduszny i bezpretensjonalny. Dbał przy tym o swój wygląd zewnętrzny, nie epatował jak Gluck, który na poranne próby orkiestry przychodził w szlafroku. Przejadł się Wiedeńczykom. Jego opery były trudne. Budził natomiast zachwyt w Pradze, gdzie przechodnie gwizdali na ulicy arie z *Don Giovanniego*. Nie zarobił na tym ani grosza, prawa autorskie nie były wówczas chronione. Pod koniec życia musiał się przeprowadzić do tańszego mieszkania i zastawił część mebli. Zdechł jego ulubiony szpaczek (klatka stała zawsze w pokoju, w którym komponował). Nauczył go kilku pierwszych taktów ronda z koncertu fortepianowego, a po jego zgonie napisał epitafium: „Tu spoczywa kochany mały wariat, szpaczek. W kwiecie wieku po-

znał bolesną gorycz śmierci. Gdy o tym pomyślę, moje serce krwawi...". W ostatnich dwóch latach pocieszał się rozpustą w domach publicznych i grą w karty. Kiedy umierał, nie miał bielizny na zmianę, żona przy łożu śmierci szyla mu nocną koszulę. „Był taki dobry i miły w domu...". Nie potrafiła o nim więcej opowiedzieć po latach, gdy zaczęto sobie uświadamiać, że był tym, kim jest dzisiaj dla nas.

Czy wiedział, że jest dobry? Pewnie nie miał czasu zastanawiać się nad sobą, od dzieciństwa zapracowany, obwożony po miastach jak małopka we fraczku ze szpadą. Komponował od piątego roku życia. Młodziutki Goethe zdumiał się na widok malca w peruczce, którego podsadzano do klawiatury. Co później? Listy. Pisał nieprzyzwoite listy do swojej kuzynki: „Jeżeli nie zechcesz pogodzić się z dobrej woli, to słowo honoru, pierdnę! Śmiesz się? Zwycięstwo! Nasze dupy powinny być symbolem pokoju...".

Myszę, że reżyser filmu, podobnie jak autor sztuki o Mozarcie, po przeczytaniu tego listu miał już koncepcję postaci: smarkacz, który jednym uchem słyszy muzykę nieba i rozpisuje ją na partytury! Wspaniały dowód, że genialność jest dowcipnym przypadkiem, żartem wypłatany rozumowi. Geniuszem może być cyrkowa małopka albo szpaczek-półgłówek, widz po spektaklu wyjdzie uspokojony, że wielcy artyści w życiu są chłystkami, i poczuje się przez to więcej wart.

Nie wiem, czy twórcy *Amadeusza* przeczytali inny list Mozarta. A powinni. „Człowiek ogarnięty tak porywczym gniewem — pisał do ojca mając lat 25 — przekracza wszelkie reguły, wszelką granicę i miarę, przestaje znać siebie — i trzeba wówczas aby muzyka także przestała znać siebie. Lecz namiętności, jakkolwiek byłyby gwałtowne, nigdy nie mogą w swej ekspresji posuwać się do budzenia niesmaku, a muzyka nawet w najstraszliwszych momentach nigdy nie może razić ucha, przeciwnie, ma je oczarowywać i być zawsze muzyką. Toteż nie wybrałem tonacji obcej temu *fa* (które jest tonacją arii), tylko sąsiednią: nie tę najbliższą *re minor*, ale nieco dalszą *la minor*".

To są zdania intelektualisty, których nie powstydziliby się Tomasz Mann we fragmentach *Doktora Faustusa* poświęconych muzyce. Tak oto koncepcja postaci się chwieje. Może lepiej nie wdawać się w dziwaczne stosunki między geniuszami a niebem. Reżyser popełnił ten błąd. Dał Mozartowi pojedynczą osobowość. Kim był Mozart naprawdę? Nawiedzonym wesołkiem, czy twórcą świadomym swojej sztuki? Jednym czy drugim? Dziś co inteligentniejszy licealista umiałby odpowiedzieć na to pytanie. Był jednym i drugim. Był także pracowitym zawodowym

artystą, karciarzem, rozpustnikiem i dobrym mężem. Miał w sobie Requiem i Figara, i Don Juana, i *largo* z koncertu fortepianowego c-moll, był również małym wariatem, który w kwiecie wieku poznał gorycz śmierci...

Można by uznać, że kolejne życia Mozarta nie miały dorzecznego sensu. Ożenił się z siostrą kobiety, którą kochał. Zdobył niezależność i sławę, by rychło popaść w biedę i zapomnienie. Przez ostatnie dwa lata utrzymywał się z zamówień muzycznych na bale i do pozytywek. Kobieta, z którą się ożenił wyjechała z przyjacielem do wód. Na krótko przed śmiercią, tworząc *Czarodziejski flet* i *Requiem*, wysyłał listy z upokarzającymi prośbami o wsparcie. Pewnego wieczoru siedział z kompanami w gospodzie Pod Srebrnym Wężem. Nie chciał tknąć wina, odsunął kieliszek. Nazajutrz położył się do łóżka i więcej nie wstał. Mógł umrzeć na syfilis, piorunującą białaczkę lub na zapalenie wątroby. Podobno wycieńczono go nadmiernym upuszczaniem krwi. W filmie dyktuje z łoża śmierci *Requiem* Salieriemu, swemu trucicielowi. Według monografów Salieri był spokojnym człowiekiem, solidnym kompozytorem, uczył Beethovena, Schuberta i Liszta. Legenda o otruciu wzięła się z ustnej plotki, Salieri umierając miał przyznać się do zbrodni. A jeśli to nieprawda? Biedny Salieri.

Co się dzieje w człowieku pogrążonym w bezładzie świata i wsłuchanym w harmonię zaświatów? Trzeba przeczytać wszystkie jego listy.

„Nie potrafię wytłumaczyć tego uczucia. To jakby pustka, która sprawia mi ból. Jak gdyby pragnienie nigdy nie zaspokojone i nigdy nie ustające, które trwa we mnie i wzrasta z dnia na dzień...”.

Czy osoba artysty i stworzone przez niego dzieło to są dwie oddzielne sprawy? (Rząd w Warszawie był chyba tego zdania: że tak, że oddzielne. Pozwolił drukować książki pisarzy uwiecznionych w czasie stanu wojennego. Autor fizycznie siedział za kratkami, ale mógł z więziennej biblioteki wypożyczyć sobie duchowego. Ciało to jedno, a dusza co innego. Niezwykle ciekawa idea, zwłaszcza u marksistów). W *Zeszytach Literackich* przeczytałem esej Josifa Brodskiego *Sprawić przyjemność cieniowi*. Brodski należy do tych niewielu współczesnych poetów, których wiersze czytam i lubię. Znam je od dawna w przekładach, jednakże autora zobaczyłem po raz pierwszy w 1980, kiedy przyjechał do zachodniego Berlina na wieczór poetycki. Wydał mi się piękny i dumny, gdy stojąc z rękami w kieszeniach marynarki recytował swoje rosyjskie wiersze. Nie rozumiałem ich treści, słyszałem tylko rytm i zaśpiew, osobliwy, synagogalno-cerkiewny. Brodski,

gdy kończył recytować poemat, unosił brwi ze zdziwieniem, jakby chcąc powiedzieć: a bo ja wiem, dlaczego to napisałem? Polubiłem ten ruch mimiczny i czasem go naśladowę.

W eseju Brodski pisze o Audenie. O tym jak zetknął się z jego poezją w małej wiosce pod kręgiem polarnym. Brodski był wtedy na zesłaniu, z Moskwy od przyjaciela otrzymał pocztą antologię poezji angielskiej i zachwycił się wierszami Wystana Audena. Po powrocie z zesłania szukał jego wierszy w amerykańskich wyborach, jakie krążyły w Leningradzie i Moskwie. Opowiada, że szczególnie lubił antologię opatrzone portretami autorów: „Potrafiłem siedzieć całymi godzinami, oglądając z bliska małe czarnobiałe prostokąty z rysami tego czy innego poety i usiłując dociec jakim był człowiekiem...”. Po czym — i to jest frapujące — opowiada dalej, jak mu się postać Audena stopniowo realizowała (poznał go osobiście dopiero jako emigrant, w północnej Austrii, dwa lata przed jego śmiercią). Tak opisuje fotografię w antologii, którą dostał od Nadzieży Mandelsztam: „Auden stał, wyglądając tak jakby był zaskoczony, zatrzymany w przejściu, z brwiami uniesionymi z wyrazem dezorientacji. Same oczy natomiast były przeraźliwie spokojne i bystre. Zdjęcie pochodziło przypuszczalnie z późnych lat czterdziestych lub początku pięćdziesiątych, zanim jeszcze słynne stadium zmarszczek — 'niezasłane łóżko' — zawładnęło jego rysami. Wszystko, czy też prawie wszystko, stało się dla mnie jasne. (...) Sprawiało to wrażenie takie jak krótkowidz, który zdjął okulary, z tą różnicą, że bystrość spojrzenia tych oczu nie brała się ani z krótkowzroczności, ani z małości przedmiotów, lecz z osadzonych w nich głęboko zagłożeń”.

Była to więc fotografia Audena z okresu dojrzałego, gdy zapewne świadomy był powagi życia i rozumiał swój los. „Ta twarz była rezultatem” — pisze Brodski i nazywa ją *sumą twarzy*.

W moich lekturach, tak przecież niesystematycznych, cytaty w ostatnich tygodniach nakładają się na siebie i mogłaby z nich powstać kieszonkowa antologia pt. „Człowiek-Artysta-Dzieło”. Najpierw monografia Hildesheimera o Mozarcie, wzięta z biblioteki po obejrzeniu filmu Formana. Później numer *Zeszytów Literackich* z esejem Brodskiego o Audenie. W tym samym numerze szkic Wojciecha Karpińskiego z przejmującą inwokacją Gombrowicza: „Biedny, biedny chłopcze! Dlaczego mnie wtedy nie było przy tobie, dlaczego nie mogłem wtedy wejść do tego salonu i stanąć tuż za tobą, abyś poczuł się uzupełniony późniejszym sensem twego życia. Lecz ja — twoje urzeczywistnienie — byłem — jestem — o tysiące mil, o wiele lat od ciebie...”. I na dodatek kilka dni temu u Pallotynów odczyt Błońskiego, który także cyto-

wał Gombrowicza opisującego w *Dzienniku* swój strach przed wewnętrznymi upiorami i trującą potwornością świata. A potem znowu u Hildesheimera scena, gdy samotny, zrezygnowany Mozart słuchając własnego kwartetu nagle wybuchnął płaczem; kwartety powstały w najszcześliwszym okresie powodzeń, kiedy jeszcze nie znał późniejszych kolei swego życia.

Pustka i nigdy nie zaspokojone pragnienie... skąd się biorą? Z różnicy między bólem a pięknem, między nijakością i ładem? I co ma z nią uczynić człowiek, który wie, że nie jest już chłopcem, że stał się rezultatem, sumą twarzy? Przewyciężyć i wyrazić tę pustkę, nadać jej kształt — i równocześnie się zamaskować? Wiele się pisało o ekscentrycznych prowokacjach Byrona, Wilde'a, i Witkacego i Gombrowicza, a przedtem — o chłodnym sercu Goethego, pijaństwach Musseta, hipochondrii Gogola, o niezwyklej skromności Czechowa, dziwnej chorobie Prousta... Nikt nie zna stopnia zamaskowania, jakim — świadomie bądź podświadomie — artysta chroni swoją miłość do świata przed brzydota życia.

Hildesheimer przytacza wspomnienie niemieckiej literatki, która знаła Mozarta: „Kiedy siedziałam przy fortepianie grając 'Non più andrai' z *Figara*, Mozart, który akurat był u nas, stanął za mną. Moja gra musiała mu odpowiadać, bo nucił melodię i wybił takt na moich ramionach. Nagle przysunął sobie krzesło (...) i zaczął improwizować tak cudne wariacje, że wszyscy wstrzymali oddech, by słuchać tego niemieckiego Orfeusza. Po czym raptem znudzony poderwał się i w przystępie błazeńskiego humoru, jak to często z nim bywało, zaczął skakać przez stoły i krzesła miaucząc jak kot...”. Tenże wnikliwy monograf Hildesheimer twierdzi, iż Mozart pozostanie dla nas osobą tajemniczą. W sferze przeżyć osobistych zachowywał szczerłą dyskrecję; otaczali go ludzie przeciętni, nieraz płascy; listy zostały ocenzone lub zniszczone po jego śmierci przez wdowę; żadna z jego kobiet nie przekazała rozumnego świadectwa, żaden z ówczesnych malarzy — wiarygodnego portretu; właściwie nie wiadomo jak naprawdę wyglądał (maskę pośmiertną sfałszowano) i na co umarł. Gdyby nie przetrwały rękopisy partytur, wiedzielibyśmy tylko, że w latach 1756-1791 żył pewien austriacki *Kapellmeister*.

Nie pamiętam kto to napisał, że aniołowie w wolnych chwilach grają na harfach kompozycje Mozarta, a w górze Pan Bóg przysłuchuje im się z zadowoleniem. Chciałbym wierzyć że artyści są najukochańszymi dziećmi Pana Boga. I może dlatego trudniej im żyć. Albowiem, jak zapisano w Prawach Mojżesza: Pan, Bóg twój, który jest u ciebie, jest Bogiem zazdrosnym...

Mógłbym zamknąć moją kieszonkową antologię cytatem, który — także przypadkiem — znalazłem w eseju o amerykańskiej pisarce Flannery O'Connor: „Zrozumiałam, że Bóg z konieczności musi być niezrozumiały”. Z konieczności? Naturalnie, bo gdyby był zrozumiały, cnoty stałyby się racjonalne i zniknąłby wybór między dobrem a złem — człowiek nie byłby istotą moralnie doświadczaną, lecz wyłącznie rozumową. W *Miesiącach* gdzieś napisałem, że skoro Pan Bóg istnieje nie będąc sprawiedliwym, my musimy być sprawiedliwi. Przeredagowałbym zdanie: musi być niesprawiedliwy, abyśmy my mogli być sprawiedliwi?

Mróz trzyma. W telewizji pokazują martwe czaple i flamingi. Sójka na mojej półce wznosi dziób do góry, jak gdyby wyklinając niebo za zimowe utrapienia ptaków.

Marzec-kwiecień

Paryż... Francja... Życie nie w domu u siebie, lecz u inteligentnej ciotki, której nie obchodzę, ale która daje mi żyć, bo jest zaprzęgnięta własnymi sprawami. Ośrodek bólu znajduje się na zewnątrz. Zgroza, poniżenie, bezsilność i myśli o karze dochodzą stamtąd na wszystkich falach. — Tym, co się dzieje w Polsce — opowiadał mi dziennikarz z Mediolanu — jestem od dawna zafascynowany jak filmem kryminalnym. Od tego nie można się oderwać. Czeką się na jakąś pointę, na sprawiedliwe zakończenie... — Był w Warszawie podczas pierwszej wizyty Papieża i nazywa ją „drugim chrztem Polski”.

Kiedy wczoraj rozmawiało się w parę osób o życiu Francuzów, mój znajomy, paryski adwokat, który dawno opuścił Polskę i w ojczystym języku robi od czasu do czasu błędy, powiedział wileńskim akcentem: — Wiadomo, Byzancja. W Byzancji przyjemnie żyć. — Można by jeszcze dorzucić słowa pewnej damy sprzed półtora wieku: „Paryż jest miejscem, w którym najłatwiej się obejść bez szczęścia”.

Wojna między Irakiem a Iranem ma już na koncie pół miliona trupów. O co w niej chodzi, nie wiem. To jest wojna konwencjonalna. Rakiety wystrzeliwane przez obie strony nie mają głowic atomowych, z samolotów puszcza się staroświeckie bomby na ludność cywilną. Słowem, niemieccy pacyfiści nie muszą bić na alarm — to nie jest wojna, która grozi światu zagładą. Codziennie przez kilka minut oglądam w wieczornym dzienniku filmowe reportaże z frontu, popijając herbatę. Bez-sensowna wojna, krwawa wojna, ale na szczęście daleka i zloka-

lizowana. Po wiadomościach można jeszcze obejrzeć film policyjny z czarnej serii, a później spokojnie poczytać w łóżku.

Co nas chroni od trzeciej wojny światowej? Podział na strefy interesów dokonany w Jałcie? W to mogą dzisiaj wierzyć politycy z amerykańskich uniwersytetów, ale nie my. Od czterdziestu lat nie ma wojny między przemysłowymi cywilizacjami, bo Zachód i Wschód boją się totalnej katastrofy. Bo politycy i wojskowi zarówno w Waszyngtonie jak w Moskwie wiedzą, że uderzenie z jakiejkolwiek strony rozpęta nuklearną apokalipsę, która pochłonie kraje i narody — wraz z nimi. Dlatego nie ma powszechnej wojny. Dlatego że czterdzieści lat temu kilkunastu fizyków i matematyków w Stanach Zjednoczonych (między nimi lwowianin Stanisław Ulam) wynalazło narzędzie zniszczenia globu i że ów wynalazek zrzucono na Hiroshimę. Ludzkość zobaczyła atomowy grzyb i zapamiętała co pozostaje z miasta po opadnięciu pyłów. Dlatego nie ma wojny. Gdyby nie uczeni z Los Alamos, mielibyśmy — prawdopodobnie około roku 1960 — Trzecią Konwencjonalną, w której sowieckie lotnictwo i dywizje pancerne w ciągu miesiąca zrujnowałyby zachodnią Europę.

Do Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku przychodzi na odczyty pewien wariat. Pierwszy zabiera głos w dyskusji, mówi z gniewnym podnieceniem i obraża prelegenta. Po czym opuszcza salę wśród protestów oburzonej publiczności. Dwa lata temu w Polskim Instytucie wygłosił odczyt profesor Stanisław Ulam. Mówił o polskiej szkole matematycznej. Kiedy przewodniczący zagał dyskusję, wariat natychmiast zerwał się z krzesła i poprosił o głos. Wytrzeszczonymi oczami wpił się w profesora Ulamą, żądając, by uczony złożył rachunek moralny za skonstruowanie bomby atomowej i zniszczenie Hiroshimy. Publiczność zaczęła protestować, zdenerwowany przewodniczący rozwiązał zebranie. Nie było mnie na odczycie, ale opowiedziano mi o tym przykrym incydencie.

Stanisław Ulam, który od roku nie żyje, był skromnym i pełnym elegancji człowiekiem. Poznałem go w czasie mego pobytu w Nowym Jorku i polubiliśmy się. Teraz się zastanawiam, jak profesor Ulam powinien był odpowiedzieć na żenujące wystąpienie. Myślę, że jego odpowiedź mogła być mniej więcej taka: „Wiedzieliśmy że pracujemy nad doniosłym odkryciem naukowym. Wiedzieliśmy także, iż to odkrycie kiedyś może spowodować kataklizm. Lecz wówczas przede wszystkim wiedzieliśmy, że nasz wynalazek przyczyni się do szybkiego zakończenia wojny. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że skonstruowane przez nas narzędzie zagłady ocali cywilizację na dalsze kilkadziesiąt lat. Niestety, aby

stało się to możliwe, konieczne było zniszczenie Hiroshimy. O czym również nie wiedzieliśmy”.

To brzmi strasznie. Gdyby dobitniej wyrazić tę myśl, należałoby stwierdzić, że zbrodnia popełniona na mieszkańcach japońskiego miasta była pożyteczna.

Obawiam się, czy moja myśl nie jest zbyt potworna, ale jednocześnie wiem, że w samym jądrze losu kryje się paradoks. Najczęściej cyniczny lub pełen ironii, niekiedy monstrualny. Wszelkie rozumowe przewidywanie jest zawodne, mechanizmy przypadków nie zdają się potwierdzać reguł etycznych. Nie wiemy dlaczego i jak zło obraca się w dobro i odwrotnie, w jaki sposób i o jakim czasie skutki zaprzeczają przyczynom. Czy życiem na ziemi kierują stałe prawa, wyznaczone w celu zachowania ludzkiego gatunku, czy też jego zniszczenia, tego również nie wiemy. Przypuszczalnie mają słuszność fideiści — modlitwa i wiara w niezbadane wyroki Opatrzności to najlepsze wyjście z niewiadomych obrotów Wszechrzeczy. Ale jeśli człowiek stawia pytania i pragnie odpowiedzi, będzie skazany na wieczną niepewność. Którą wolę od religijnej pewności. Panie Zastępów, wybacz te słowa niewierzącemu w Kościół Powszechny chrześcijaninowi.

Piątek. Nagły wybuch ciepła z dusznym, trzepoczącym wiatrem, który zapiera oddech. Blask rozproszony w powietrzu ławii oczy, pełnę o lasce przez most Ludwika Filipa, odwracając wzrok od rzeki. M. idzie koło mnie w rozpiętym płaszczu, lekko uśmiechnięta. Nie wiem, o czym myśli. Kiedy mówię, że przyjechałem do Paryża po to, żeby umrzeć, zatrzymuje się i poprawia włosy. — Nie będę tego słuchać. — W duchu przyznaję jej rację. Takie zdania wypowiadam w chwilach, gdy ból fizyczny i ubytek sił budzą we mnie chęć zrzucenia na nią moich udręczeń, a zarazem cichą nadzieję, że jej odpowiedź utwierdzi mnie w przekonaniu o ich znikomości. Pragnę jednocześnie zemsty i pociechy. Chcę ją zranić i chcę żeby mi współczuła. Ale nie na tyle, aby się utożsamiła z moją desperacją, nie — oczekuję od niej słów, które by mi przypomniały, że jestem częstką powszechnego cierpienia i urodziłem się po to, by umrzeć. Jak wszyscy. O czym przecież wiem. Te słowa jednak są mi teraz potrzebne i to ona ma je wypowiedzieć, a gdyby postanowiła milczeć, czułbym się głęboko urażony. Po czym słyszę jej głos wypowiadający te słowa. Mówię: — Daj spokój, wiedziałem z góry, że tak właśnie odpowiesz. — I jest mi przez chwilę lżej. Przystaję, rozpinam kurtkę i wskazuję laską na Conciergerie. Zmieniam temat. Opowiadam jak Marii Antoninie ścinali włosy w Conciergerie przed drogą na szafot. Nie stawiała oporu, zbladła dopiero na widok postronka,

którym wiązano z tyłu ręce skazańców. — Królowi nie związano rąk! — krzyknęła.

Opis tej sceny znalazłem przypadkiem, wybierając książkę w bibliotece merostwa. Zdjąłem tom z półki i kartkując trafiłem na tę relację, spisaną przez żonę lub córkę więziennego dozorca. Nie wziąłem książki, odłożyłem ją z powrotem na półkę. Ale takiej sceny nie można zapomnieć. Przez następne dni opisywałem ją znajomym. Ktokolwiek zaszedł do nas porozmawiać, musiał wysłuchać mojego opowiadania o Marii Antoninie z obciętymi włosami, krzyczącej aby nie wiązać jej rąk. Moi słuchacze patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Nie rozumieli dlaczego o tym mówię i o co mi chodzi. Po moim opowiadaniu zapadała krępująca cisza i M. czyniła taktowne wysiłki, by ułatwić obecnym wyjście z sytuacji.

Z innych objawów starzenia się: blokady pamięci. Wczoraj po południu leżąc z książką myślałem o przygodach Fabrycego w bitwie pod Waterloo i o ich pokrewieństwie z perypetiami Bezuchowa pod Borodinem. Nagle uprzytomniłem sobie, że zapomniałem jak się nazywał autor *Wojny i pokoju*. Zacząłem sprawdzać w myśli czego to jeszcze nie pamiętam. Okazało się, że nie umiem sobie przypomnieć nazwiska Gribojedowa i rodziny Matysiaków z radia. Mogłem zapytać M., ale byłoby to dla mnie nieco żenujące. Postanowiłem natężyć mózg i po czterdziestu minutach wysiłków mnemotechnicznych przypominałem sobie nazwisko Matysiaków.

Chirurg dr Roux wyznaczył datę mojej operacji w szpitalu Cochín na 14 maja. Od kilku miesięcy stale już chodzę o lasce. Młode kobiety ustępują mi miejsca w autobusie. M. zauważyła: — Siadasz tylko wtedy, jak jest brzydka.

Lipiec

Pod Sekwaną, dużo głębiej niż metro, płynie druga rzeka. Wywozi się tamtędy pomniki, domy i filary mostów. Widziałem na sunących tratwach kawiarnie z markizami i tarasami, garsoni w białych kurtkach stali nieruchomo przy stolikach. Wieziono krzyże i stosy, kopułę Instytutu, szafot, w półmroku połyskiwały smolne pochodnie, płynęła głowa kobiety. Śniło mi się to pierwszej nocy po operacji i nie starałem się odgadnąć znaczenia tego snu. Zbudziła mnie pielęgniarzka, żeby mi zrobić zastrzyk. Pamiętam jeszcze barkę pełną staruszek i kotów. Mnie nie było w tym śnie.

Od wielu tygodni znowu nie mogłem pisać. Szpital dawał mi

azyl i uwalniał od wyrzutów sumienia. Dawniej okresami pisanie zastępowały mi kobiety. Teraz kobiety odeszły w sferę wyobrażeń i wspomnień, z pisania zwalniają mnie choroby. Jak to się wszystko mądrze reguluje.

Wszedłem z walizeczką, rozebrałem się i położyłem do łóżka, nad którym wisiał metalowo-skórzany przyrząd. Pan Lopez powiedział mi później: — Jak tylko pan wszedł, od razu pomyślałem, że pan mi odpowie na kilka pytań, które zadaje sobie przez całe życie. Pierwsze pytanie pana Lopeza: czy to możliwe że Pan Bóg stworzył pieniądze. — Monsieur Lopez — mówię — zdaje się że Pan Bóg sam jest w złej sytuacji i może trzeba Mu pomóc. — Pan Lopez westchnął. Jest Senegalczykiem, wspaniałym mężczyzną o głowie czarnego lwa i mięśniach jak węże boa. Często mi opowiadał o swojej restauracji, którą sprzedał przed pójściem do szpitala. Bywali w niej ministrowie i gwiazdy filmowe — Pamięta pan tę ostrzyżoną na chłopca, co ją znaleźli nieżywą w samochodzie?

Szpital czekał na mnie od lat, rozum mi mówił, że pewnego dnia w nim się znajdę. Myśl była przykra głównie przez to, że obawiałem się wstydliwych momentów związanych z codzienną fizjologią i utrzymywaniem czystości. Ponadto — współpacjenci. Jak będę znosił ich stałą obecność, ich gadatliwość i cierpienia. Następnie: zapach szpitalny. Mdlił mnie za każdym razem, kiedy odwiedzałem chorych przyjaciół. Ale przede wszystkim, jak się umyć i ogolić w łóżku, jak poprosić ładną dziewczynę, żeby podała mi basen?

W tym ostatnim przypadku znalazłem dobre wyjście. Czekałem aż przyjdzie krępa pielęgniarka o wyglądzie pomocnika kata, ta sama, która odmówiła panu Lopezowi proszku nasennego.

W gruncie rzeczy wszystkie moje obawy się sprawdziły. Ale po dwóch dniach nie czułem już szpitalnego zapachu. Zapach czuje się przychodząc z miasta, ja byłem wewnątrz. Podobnie można by określić wiele innych odczuć. Będąc w szpitalu nie czuje się lęku przed szpitalem. Zastanawiam się, czy tak samo jest z więzieniem, czy strach przed więzieniem odczuwa się tylko na wolności. Czytam dziś w liście z Warszawy: „... powiedziała nam, że Adam — była tam, widziała go — jest w dobrej formie i mówił, że trzy lata, no, to jest głupstwo”.

Grozę przeżywałem dopiero w nocy, kiedy z sąsiednich pokojów dochodziły jęki. Najpierw odzywało się zawodzenie starej kobiety: „ratujcie mnie!... ja nie chcę umrzeć!...” i prawie jednocześnie piskliwy męski głos zaczynał wzywać nocną pielęgniarkę: „Estero, przyjdź do mnie! Estero, proszę cię, przyjdź!...”. Leżeliśmy słuchając tych głosów, które w ciemności jakby wydo-

bywały się spod ziemi. Nagle rozległ się czyjś krzyk: „Na pomoc!” i potem kwilenie: „ula-lia... ula-lia...”, i znowu: „Esteró, słysysz, przyjdź do mnie!”. — To starszy pan, bardzo kulturalny — poinformował mnie rano pielęgniarz — ma dużo wspomnień i chce, żeby Estera siedziała przy nim w nocy.

Jeżeli szpital jest drastycznym skrótem życia, jeżeli w ciągu jednego dnia streszcza cały nasz los, to noce w szpitalu wydają się zapowiedzią czyszcza.

Po operacji, wieczorem, kiedy M. wróciła już do domu, przyszła Marysia P. i patrzyła na mnie z korytarza przez uchylone drzwi, nie wiedząc czy może wejść. Poprosiłem ją, żeby usiadła na krześle przy łóżku. Po narkozie byłem w euforii. Pytałem, czy pamięta jak widywaliśmy się z daleka na spacerach latem w Kazimierzu i mówiłem że wciąż jest tak samo piękna. Potem zacząłem opowiadać o Marii Antoninie, jak krzyczała, że królowi nie związane rąk. Twierdziłem, że piszę o niej opowiadanie. Ścięto wówczas trucicielkę, jej sobowtóra, natomiast ją potajemnie wywieziono do Austrii, gdzie żyła jeszcze pięćdziesiąt cztery lata w pałacyku nad jeziorem Ossjach. Odwiedzili ją Goethe i Napoleon, zachował się jej list do Beniamina Constant, w którym utrzymywała, że najmądrzejszym człowiekiem rewolucji był Mirabeau, najszlachetniejszą duszą pani Roland, a największym głupcem La Fayette. Goethe zanotował po wizycie: „Przyszła na świat z królewską winą i karą, które musiały się spełnić, i w dramat rewolucji wpisała swoją antyczną tragedię. Po tym co jej uczyniono zasłużyła sobie, by nazwać jej imieniem przynajmniej skwer w tuileryjskim ogrodzie”. Dwadzieścia kilka lat temu pewnie napisałbym takie opowiadanie, dzisiaj już nie. Dziś wystarczy mi myśl że mógłbym je napisać. Zaraz przechodzi następna myśl: czy warto.

Operacja polegała na zastąpieniu zużytego biodra kawałkiem metalu i gałką ze sztucznego tworzywa. Doktor Roux wykonał to w ciągu dwóch godzin. Przez czas mego pobytu w szpitalu mieszkał u nas J.M.R., który przyjechał na kilka tygodni z Warszawy. W szpitalu Cochín byłem dwadzieścia jeden dni. Zrobiłem trochę notatek i nieraz kilka zapisanych zdań urządało mi cały dzień. Byłem spokojny, nie pragnąłem niczego więcej. Taki jest mój zawód i to jest dobro mojego zawodu. Jedna notatka dotyczyła *Miesięcy*: „O czym są *Miesiące* naprawdę. O dwojgu ludziach, którzy za blisko związali się ze sobą i wiedzą że wkrótce będą musieli się rozstać”. Notatki zacząłem robić dopiero po operacji, najczęściej nocą. O samej operacji nie mam wiele do opowiedzenia. Na godzinę przedtem dano mi dwa proszki, po których byłem senny i chyba oszołomiony. Nie pamiętam

którędy mnie wieźli i w jakiej pozycji, na leżąc czy siedząc. Zapamiętałem tylko moment, gdy ktoś z tyłu przycisnął mi do twarzy dużą gumową przyssawkę i kazał oddychać.

Imponującą cechą Andrzeja Kijowskiego było męstwo. Tyle nas ze sobą łączyło, co dzieliło od siebie, ale zjednywał mnie całkowicie swoją szaleńczą uczciwością, nieraz skrzyżowaną z autoironicznym humorem. Napisał dwie recenzje o moich *Obywatelach*. Jedną po wyjściu książki, pełną uznania. Drugą po roku, odsądzającą od wszelkich wartości. Po kilku latach w wydanym tomie esejów mógł pominąć jedną i drugą. Umieścić obydwie, jedną przy drugiej. I bodaj że od tego zaczęła się nasza przyjaźń. Nie powinien był odejść. Paul Léautaud, który słynął ze złośliwych krytyk teatralnych w *Mercure de France*, a drukował je także w latach wojny 1914-1918, w recenzji o pewnej sztuce napisał z wyraźną aluzją do autora, że na wojnie giną niewłaściwi ludzie, nie ci co powinni... Wybuchł skandal. Brak mi dzisiaj nastroju do śmiesznych anegdotek, a jednak ta przysłała mi na myśl.

Moi kolejni współpacjenci: Jacques Bray (inżynier z Saint-Nazaire, lat 38, operacja drugiego biodra), p. Lopez (lat 62, operacja drugiego biodra), Jean-Pascal Blanchon (policjant komisariatu 18-tej dzielnicy, lat 25, noga złamana w meczu piłki nożnej), p. Angel (lat 73, b. wyższy urzędnik państwowy, operacja biodra), Michel N'Kembo (lat 45, inspektor kolejowy w Kongo, operacja kolana), p. Cellier (powtórna operacja biodra, lat 77).

Powtórna operacja biodra następuje zwykle po kilkunastu latach, gdy proteza się zużywa. Operacja drugiego biodra to inna sprawa. Po pierwszej operacji artroza prawie z reguły przerzuca się na drugie biodro i wtedy znowu trzeba operować. Między dwiema operacjami upływa od trzech do dziesięciu lat.

Sierpień

Zastanawiam się, czy pisać dalej. Chyba nie odczuwałem przedtem tak silnej potrzeby zmiany. Przeważnie określa się to jako zmianę formy. W gruncie rzeczy chodzi o przesunięcie się na inne miejsce, o zmianę punktu widzenia. Pewnego dnia słowa zaczynają brzmieć tępo i fałszywie, jak w skończonej miłości, i nie chce się ich wypowiadać. Zawsze mnie to przygnębiało, czułem się winny. Nie jestem monogamistą literackim. Ale właściwie kto kogo tu zdradza, kto porzuca a kto jest porzucony? Jeśli nie mogę pisać dalej, czy to nie oznacza, że opuścił mnie

mój styl i zerwała ze mną moja forma? Można by w tym widzieć karę. Za co? W każdym opowiadaniu musi tkwić oszukańcza część, podobnie jak w uwodźcielstwie. A moim głównym zajęciem jest opowiadanie. Często zmieniałem tonację. Od retorycznego patosu do ironii i paradoksu. Wydawało mi się oczywiste, że świat jest zarazem patetyczny i paradoksalny, w moim podwójnym debiucie ukazałem wojnę z tych dwóch pozornie sprzecznych punktów widzenia. Mówię o podwójnym debiucie, bo moje dwie pierwsze książki wyszły po wojnie niemal równocześnie: najpierw patetyczna, potem ironiczna, jakkolwiek napisane zostały w odwrotnym porządku, najpierw ironiczna, a później patetyczna.

Niepokoili mnie ta sprzeczność i nie miałem pewności, czy ona tkwi w świecie, czy we mnie. Dopiero w ciągu lat uświadomiłem sobie, że i w świecie i we mnie, i że dobry sposób opowiadania wymaga zmiennej gry środków, intonacji i punktów widzenia. Nie można się nudzić opowiadając, trzeba oczarowywać siebie samego. Rasowy donżuan mówi różnymi głosami, nad którymi nie panuje, to one przez niego mówią. Najczęściej musiałem przerywać pisanie, bo kończył mi się ton i nie mogłem dalej opowiadać, nudził mnie własny głos. Wiedziałem, że trzeba odezwać się inaczej, wprowadzić nowy motyw, i że muszę go wyczuć, odnaleźć. To jest rodzaj przegubów narracyjnych, miejsc zgięcia i przejścia. Takim przegubem narracyjnym było mickiewiczowskie „O roku ów”...

Przyjechał wczoraj Wiktor Szacki z Berlina. Kiedy zostaliśmy na chwilę sami w pokoju, przyjrzał mi się uważnie i zapytał jak się czuję. Odpowiedziałem: — Doskonale. Nie palę papierosów, nie romansuję z kobietami, nie piję alkoholu, przestałem prowadzić samochód i pisać powieści. Doskonale się czuję.

Mogłem jeszcze dodać, że lewą nogę mam krótszą o centymetr.

Fabul powieściowych nie piszę już od ośmiu lat. *Rondo* skończyłem w czerwcu 1977.

Wspomniałem tu o potrzebie zmiany stylu. Mówiąc do końca, miałem na myśli potrzebę tworzenia fikcji. Głowię się: o co chodzi, dlaczego od tak dawna nie chce mi się — czy nie potrafię — napisać powieści. Dlatego że z wiekiem słabnie imaginowanie? Nie. Wyobraźnia może nigdy dotąd nie podsuwała mi tak żywych i niemal dotykalnych widziadeł, jak teraz, kiedy osiągnąłem „trzeci” wiek. Rzecz chyba w czym innym. Zdaje się że proza współczesna coraz wyraźniej przesuwają się wstecz, przed powieść dziewiętnastowieczną. Rozłamała się na zapis osobisty i intelektualny, na pamiętnik, esej, świadectwo, broszurę politycz-

na, na biografie, pamflet i powiastkę filozoficzną, i różne formy prorocत्व. Przy tym szczególne jest przenikanie się wzajemne prozy z filozofią i poezją. Poezja w naszym stuleciu wyzbyła się swoich tajemniczych wiązań, jakimi są miara i rym. Ma cechy filozofującej prozy, z której odciągnięto konkret, bądź upoetyzowanej filozofii, zwolnionej z precyzji myślenia. Do prozy natomiast, co najmniej od lat modernizmu, wchodzi język poetycki, symbole, alegorie (w Polsce Żeromski, Przybyszewski, Bruno Schulz wpuścili poezję do powieści). Ponadto niektórzy powieściopisarze, kierowani autentyczną potrzebą lub chcąc odzyskać publiczność, opisują sceny kopulacji w rozmaitych układach, hetero- i homoseksualnych. Będzie się je kiedyś opuszczać, tak jak dzisiaj opisy przyrody u Reymonta. Jakie są przyczyny odsunięcia się od konstrukcji powieściowej (jeśli ono nie jest pozorne), nad tym niech się zastanawiają krytycy.

Wtorek rano, pochmurny dzień. W związku z tym, co wczoraj napisałem, że odsunięcie się od konstrukcji powieściowej jest może pozorne: bo na przykład to, co robię w *Miesiącach* polega właśnie na konstrukcji narracyjnej, na budowaniu sytuacji, opisów, wydarzeń i refleksji, tak aby tworzyły dziejącą się opowieść o losach dwojga ludzi. Czyli powieść z parą bohaterów, z tłem historycznym, z postaciami drugo- i trzecioplanowymi, zmiennymi płaszczyznami czasu. W gruncie rzeczy, gdybym się postarał, mógłbym to napisać w trzeciej osobie, z wymyślonymi nazwiskami, jak prawdziwy romans. Ale nie chcę się postarać. I właśnie w tym, że nie chcę się postarać i że nie piszę w trzeciej osobie, jest coś ważnego i bardzo istotnego, co nazywam zmianą perspektywy czy przesunięciem punktu widzenia, a co przypuszczalnie jest nowym rodzajem wewnętrznego zobowiązania w stosunku do rzeczywistości. Zobowiązania, które przejawia się jako obawa przed literaturą wynikającą z formy, a nie z życia.

Pytanie tylko, dlaczego jeszcze kilka lat temu włożyłem sporo wysiłku w napisanie prawie czterystustronicowej powieści (myślę tu o *Rondzie*), którą uważam za rzecz udaną. Jednakże prawdę mówiąc *Rondo* było dla mnie w większym stopniu zabawnym naśladownictwem formy powieściowej niż powieścią pisaną na serio.

W ciągu przeszło roku napisałem te dwadzieścia kilka stroniczek, z przerwą czteromiesięczną w środku. Zostawiam je, niech będą jakie są. Włącznie z tym co należałoby poprawić. W „notatce Goethego” o wizycie u Marii Antoniny jest błąd logiczny:

o czym myślał nazywając jej los antyczną tragedią, skoro jej nie zgilotynowano? Zapisał: „Po tym, co jej uczyniono...”. Powinienem być przypomnieć co jej uczyniono. Zanim skazano ją na śmierć, ścięto jej męża i odebrano syna, którego nie zobaczyła więcej. Przedtem musiała obejrzeć nadzianą na pikę głowę przyjaciółki zgwałconej po zamordowaniu. W czasie publicznego procesu przed trybunałem rewolucyjnym oskarżono ją o to, że nauczyła ośmioletniego synka onanizmu, by zmiękczyć wolę przyszłego monarchy, którym chciała rządzić. W więzieniu, na parę dni przed egzekucją, usunięto parawan zasłaniający jej łóżko, rano zmieniała koszulę pod ciekawskim okiem wartowników. Była wysoka, prosta, wmurowano więc dodatkowe cegły w drzwi jej celi, tak aby przechodząc musiała za każdym razem nisko pochylić głowę. Goethe mógłby sądzić, że spotkało ją za wiele nieszczęść i upokorzeń, nawet jak na królową w kraju opanowanym przez rewolucję, i że z godnością płaciła za winy kolejnych Burbonów.

Przez te miesiące, kiedy nie mogłem pisać, często zaglądałem na dziedziniec domu, w którym mieszkał Mozart. Przechodziłem obok prawie codziennie. Intrygował mnie pewien list Mozarta, jeden z ostatnich. Nie przytoczyłem go wcześniej, bo w monografii Hildersheimera nie zwrócił mojej uwagi, przeczytałem go dopiero w dwutomowym wydaniu korespondencji Mozarta. Napisał go na trzy miesiące przed śmiercią i nie jest całkiem pewne do kogo. List przejmujący, którego nie można zapomnieć, podobnie jak sceny wiązania rąk Marii Antoninie. „Bardzo Drogi Panie! Chciałbym pójść za Pańską radą, ale jak to zrobić? Jestem bez głowy, gonię resztkami sił i nie mogę usunąć sprzed oczu widoku tego nieznanego. Widzę go ciągle jak prosi, domaga się i żąda ode mnie niecierpliwie mojej pracy. Nie przerywam jej, gdyż mniej męczy mnie komponowanie niż odpoczynek. Poza tym nie chcę już niczego brać sobie do serca. Coś mi mówi, czuję to, że bije moja godzina. Jestem u kresu, gasnę. Skończyłem zanim zdołałem się nacieszyć moim talentem. A przecież życie było takie piękne, kariera otwierała się pod tak szczęśliwą gwiazdą!... Ale nie można zmienić własnego przeznaczenia. Nikt nie potrafi zmierzyć swoich dni. Trzeba się poddać: będzie tak, jak się spodoba Opatrzności. Kończę: to moja pogrzebowa pieśń i nie powinienem jej zostawić w niedoskonałym stanie. Mozart”. List pisany po włosku. Nieznajomy był podobno wystannikiem kolekcjonera muzycznych autografów, który chciał uzyskać manuskrypt *Requiem*. Ktoś widocznie poparł jego prośbę i temu komuś Mozart odpowiedział listem. Ile rozpaczy w tym liście. Wkrótce później wysłał list do żony, pełen dowcipkowania i przechwałek, w którym jej donosi, że sprzedał za 14 dukatów swego

konia i żeby uszczypnęła kogoś w nos. Byłoby ciekawe i zagadkowe, gdyby adresatem poprzedniego listu okazał się Salieri.

Palenie rzuciłem nie zaraz po operacji, lecz dopiero w sześć tygodni później. W połowie czerwca wysłano mnie do ośrodka reedukacyjnego w Villiers Saint-Denis. M. udało się załatwić dla siebie w tym samym ośrodku skierowanie do pawilonu kardiologii, pojechaliśmy razem. Jest to kilkusethektarowa posiadłość w Szampanii, z siedemnastowiecznym pałacem i pawilonami rozmieszczonymi w starym parku. Chodziłem o kulach (mówi tu się o nich „angielskie laski”) na ćwiczenia reedukacyjne. Przed obiadem godzina w wielkiej sali gimnastycznej z mnóstwem przyrządów, po południu godzina na basenie w podziemiu. Woda miała temperaturę 35 stopni. Po rozebraniu się w szatni i ciepłym natrysku dwadzieścia postaci sunęło gęsiego, o kulach i boso, w pelerynach z białego płótna zawiązanych na supełek z przodu. Przeważnie siwi mężczyźni i brzydkie kobiety. Wchodziło się w upał. Basen był ogromny, poprzdzielany błyszczącymi poręczami na przegrody o różnych głębokościach i oświetlony jarzeniowym światłem. Przed wejściem do wody zostawiało się peleryny i kule, po czym trzeba już było trzymać się poręczy. Przy samym basenie czuwali *kinés*, trenerzy-masażyści w białych kitlach i spodniach. Pedałowałem i ćwiczyłem nożyce, zanurzony po szyję w nagrzanej wodzie. Piątego dnia po kwadransie ćwiczeń poczułem ból w klatce piersiowej. Dobywał się jakby spod przepony, zarazem ściskający i rozsadzający. Czułem jak blednę. Wyszedłem z wody trzymając się poręczy. Było mi słabo, traciłem oddech. Pacjent z sąsiedniej przegrody zapytał: — Tak wcześnie? — Odpowiedziałem, że niezbyt dobrze się czuję, pewnie żołądkowa przypadłość, ale pomyślałem: zawał. Objawy zawału znam z licznych relacji, a te były typowe. Ból promieniujący spomiędzy żeber na przestrzał do pleców i uczucie duszności. Dawniej mówiono dusznica bolesna, była to lepsza nazwa niż choroba naczyń wieńcowych. Wiedziałem, że trzeba się położyć na wznak. Byle dojść do szatni. Jedna z *kinés*, Marokanka, objęła mnie w pól, ktoś zarzucił mi już prześcieradło na ramiona, ktoś inny wołał: — Wezwać lekarza, szybko! — Doprowadzono mnie do szatni, tam usiadłem i powiedziałem że zaraz mi przejdzie. Ładna Marokanka ocierała mi pot z twarzy szepcząc: — Boże, jaki on biały... — Nie czułem przerażenia, raczej zażenowanie, że umieram w nieco groteskowych okolicznościach i że M. o tym nie wie. Byliśmy umówieni na 4-tą u mnie w pokoju.

Chciałbym powtórzyć: w szatni miałem prawie pewność, że umieram. Na swoje konto dodatnie mógłbym zapisać, że się nie bałem i więcej martwiłem się o M. niż o siebie. Mówię „prawie

pewność", bo jednocześnie liczyłem się z tym, że wyjdę z zawału i przeżyję. I jakkolwiek może się to wydać dziwne, w owej groźnej sytuacji rozpaczą napełniała mnie myśl o naszym dalszym życiu, wstrząśniętym i wywróconym przez moją chorobę. W rozpacz przebłyskiwała nadzieja, że jednak umrę i nie będę już miał żadnych obowiązków. Piszę o tym z dokładną świadomością, bo mimo iż ból mnie skręcał rejestrowałem w pamięci swoje reakcje psychologiczne, które poniekąd mnie dziwiły. Choćby to, że rozmawiając z otaczającymi mnie osobami przez cały czas uważałem, aby nie robić błędów językowych i w którejś chwili dysząc spytałem młodego lekarza, czy należy mówić *un malaise* czy *une malaise*.

Podobno byłem koloru prześcieradła, cały, z uszami i stopami włącznie. Ułożono mnie na stole do ćwiczeń gimnastycznych, wokół mnie zebrało się pięciu lekarzy, w tym jeden Murzyn, i stadko pielęgniarek. Powiedziałem do doktora Cabanal, że scena przypomina *Lekcję anatomii* Rembrandta, ale nie wiem, czy zrozumiał. Przy czym zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli ból trochę jeszcze się zwiększy, stracę przytomność i serce może mi pęknąć; drepczyłem się więc, że M., kiedy nie zastanie mnie w pokoju, przyjdzie tu i zobaczy mnie leżącego na stole. A równocześnie, przez sekundę i jakby pod spodem, ulga na myśl o uwolnieniu się od siebie.

(Moje zachowanie i reakcje były objawami zagrożenia nagłego i nieoczekiwanego, gdyby jednak sprawy miały się inaczej, gdyby — na przykład — lekarz pewnego dnia mi oznajmił, iż pozostało mi trzy miesiące życia... tu nie wiem nic, każda próba wyobrażenia sobie własnej psychologii w takich okolicznościach — zawodzi).

Nie zastała mnie w pokoju, więc zeszła na dół. Sądziła, że spotka mnie przy wyjściu z basenu, koło windy. Zatrzymał ją młody lekarz, który właśnie zrobił mi elektrokardiogram. Kiedy weszła, odzyskałem już kolor i żartowałem z pielęgniarkami. Elektrokardiogram nie wykazał zawału ani oznak choroby wieńcowej. Robiono mi go dwukrotnie. M. stała obok doktora Cabanala. Stwierdziłem nie po raz pierwszy, że głęboki wstrząs nerwowy powoduje u niej znieruchomienie twarzy, która wtedy traci wyraz, jak gdyby oczom ubywało światła. Ten sam brak wyrazu twarzy zaobserwowałem u niej na dwóch pogrzebach, to jej odruchowa maska.

Rzecz nie wyjaśniła się do dzisiaj. Mikroskopijny skrzep w płucach? nagły ucisk przepony w rozgrzanej wodzie? czy jednak angina pectoris? No, to się okaże. W początku września zrobią mi w Hôpital Necker elektrokardiogram wysiłkowy.

Wracając do szpitala Cochin: analiza własnych zachowań nie zawsze daje jednoznaczne wyniki. Wspomniałem, że po operacji noce były ciężkie, bo z głębi korytarza rozlegały się jęki. Często pielęgniarki nie reagowały na wezwania. Jednej nocy stara kobieta przez godzinę wołała o pomoc i nikt nie przychodził. A słyszeliśmy, że gdy w pokoju pielęgniarek odzywał się telefon, za każdym razem ktoś go przyjmował. Ponieważ staruszka nie przestawała krzyczeć, wpadłem na pomysł: zadzwonić do kogoś w mieście, żeby telefonicznie zaalarmował pielęgniarkę. Wybrałem Teresę, która mówi po francusku bez cudzoziemskiego akcentu. Wytłumaczyłem o co chodzi, podałem jej numer centrali i naszego piętra. W minutę później usłyszeliśmy jak zadzwonił telefon, przyjęty natychmiast przez dyżurną pielęgniarkę. Po chwili biegła do pokoju krzyczącej staruszki. Dała jej chyba mocny proszek nasenny, bo wkrótce krzyki ucichły. — Możemy spać — powiedział w ciemności pan Angel — ta kobieta umarła. — Byłem zadowolony z siebie: pomogłem cierpiącej. Ale sprawy nigdy nie są proste i musiałem zadać sobie pytanie, czy pomogłem bezinteresownie. Być może przemówiło przeze mnie miłosierdzie. Albo po prostu chciałem zasnąć. Albo zemścić się na pielęgniarce z Gwadelupy za to, że poprzedniej nocy krzątając się przy łóżku pana Cellier zwróciła mi uwagę, żebym nie palił papierosa. Do dzisiaj nie umiem określić prawdziwego motywu swego zachowania. Zwykle w takich razach mówi się, że motywy są złożone, ale właściwie co to znaczy? Jeden musi być decydujący.

Pielęgniarka z pewnością domyśliła się, że to ja spowodowałem telefon z miasta wzywający ją do udzielenia pomocy staruszce (rzecz w regulaminie niedopuszczalna). W pół godziny później weszła do naszego pokoju świecąc latarką elektryczną. Nie zdążyłem zgasić papierosa. Usiadła na brzegu łóżka i położyła mi na rękę twardą, ciepłą łapkę: — Pan może palić. Tylko nie wtedy jak podaję pacjentowi tlen. — Wygrała ze mną.

W obydwóch szpitalach zetknąłem się ze średnią Francją, z Francją nauczycieli, urzędników, drobnych przedsiębiorców, mocno już tkniętą napływami ludności z dawnych kolonii. Moim sąsiadem w Villiers był Mohammed Badi, murarz, emigrant z Algierii, spokojny, łagodny człowiek. Gdy na skutek przygody w basenie leżałem pod kroplówką z glukozą, pan Badi siedział patrząc na mnie smutno i powtarzając: — Nie jestem zadowolony... Nie jestem zadowolony... — W obu szpitalach przekonałem się, że w tym kraju postępuje „cichy socjalizm” i każdy człowiek jest tu chroniony przez opiekę społeczną dużo lepiej niż w Polsce. Spotykałem różnych ludzi. Byli dla mnie uprzejmi, sto razy na dzień słyszałem *comment ça va, merci, excusez-moi, bon après-*

midi. O tym że pod francuską grzecznością może się kryć obojętność, bezwzględność, a czasami brutalność, nie należy wątpić. Zamożni rodzice pożyczający swoim dorosłym dzieciom pieniądze na procent, takie fakty we Francji są na porządku dziennym. W Polsce o podobnych wypadkach nie słyszałem, trudno nawet je sobie wyobrazić, i to jest jeden z miłych skutków historycznego niedorozwoju mieszczaństwa. Natomiast w mojej ojczyźnie, gdzie ludzie są rozdrażnieni, formalna grzeczność nie jest przestrzegana. Ilekroć M. po kupieniu pieczywa w spółdzielni mówiła „dziękuję”, patrzono na nią jak na osobę niespełna rozumu.

Lubię tę średnią Francję. Podoba mi się jak mówią i jedzą, jak wysiadują na tarasach kawiarni przy placu Bastylli albo koło Denfert-Rochereau. Mam wrażenie, że potrzebują mniej narkotyków niż Amerykanie. Odziedziczyli kulturę życia i mimo narzekań na tempo współczesnej cywilizacji umieją jeszcze żyć powoli. Nigdzie tak często nie widywałem starych par małżeńskich grających ze sobą codziennie po południu w karty. Tutaj przez kilka wieków arystokratyczne nieroby przynajmniej nauczyły ludzi jak spędzać wolny czas.

W Villiers przy sześciuosobowym stole w wielkiej jadalni rozmawiano przeważnie o jedzeniu i chorobach. Kilkakrotnie próbowałem narzucić inny styl rozmów, za każdym razem bezowocnie. Gdy któregoś dnia zauważyłem w czasie kolacji, że widok dwuszerzegu pacjentów z rękami i nogami w gipsie, siedzących na wózkach przed opancerzonym wejściem do windy, przypomina sceny z filmów Bunuela — nikt się nie odezwał. Po chwili ktoś mnie poprosił o musztardę. Moi współstołownicy byli uważni na najmniejszy gest czy spojrzenie sąsiada i nadzwyczaj dyskretni. Przez cały pobyt w Villiers nie pytano mnie o zawód, wiek ani narodowość. Raz tylko w parku na ławce przysiadł się do mnie siwiejący mężczyzna w okularach, także o dwóch laskach, i bez wstępów oznajmił, że jest kompletnie głuchy; po czym zażądał, abym mówił powoli i wyraźnie, gdyż rozpoznaje słowa jedynie po ruchach ust. A kiedy wypowiedziałem dobitnie parę zdań o pogodzie, rzekł wpatrzony w moje wargi: — *Vous avez un petit accent*. — Był to poeta z grupy lettrystów; żeby przezwyciężyć głuchotę, ćwiczył latami umiejętność słuchania wzrokiem.

Po operacji pisałem w kartkach do znajomych: „Czuję się dobrze i wiem już na pewno ile mam lat”. Operacja przyniosła mi poprawę, ale niezupełną. Lżej mi chodzić, nie boli mnie kręgosłup. Nadal jednak odczuwam sprzeczność pomiędzy moim stanem duchowym a fizjologicznym. Parafrazując aforyzm Wilde’a powiedziałbym, że jestem za młody na to, żeby być stary. A przy tym lenistwo — jakże leniwa jest młodość — nie pozwala mi

walczyć ze starością. Tydzień przed naszym wyjazdem do Normandii (jesteśmy od paru dni w Saint-Mard de Reno, sto pięćdziesiąt kilometrów od Paryża) nadesłano mi program spotkania intelektualistów, które ma się odbyć w Madrycie w październiku. Figuruje tam moje nazwisko wśród zaproszonych na obrady, podano również temat mojego przemówienia: „Dwie tradycje: intelektualiści w krajach Zachodu, inteligencja w krajach Europy środkowej i wschodniej”. Dobra okazja do podróży i nawiązania licznych znajomości, strząśnięcia z siebie kurzu psychicznego. Ale myśl o wyjeździe, hotelu, o trzech dniach przymusowej obecności w sali wypełnionej intelektualistami przyprawia mnie o nerwowy skurcz. Brak mi sił, aby sygnalizować że jestem, że uczestniczę. Mówię nieraz do M.: — Byłem zaprojektowany na sześćdziesiąt lat życia. — Po raz pierwszy obserwuję u siebie fizyczne symptomy zniechęcenia. Często nie umiem się zdobyć na wyciągnięcie ręki po gazetę, którą przyniosła M. Być może przyczyną jest to, że prasa wyjaskrawia obraz dzisiejszego świata, który z dnia na dzień staje się straszniejszy. Miliony dzieci umierających z głodu, samoloty pasażerskie spadające w płomieniach do morza, bo eksplodowała w nich bomba, nowo odkryta zaraza, która grozi na przyszłość zdziesiątkowaniem ludzkości, narkomania, organizowany fanatyzm, wymordowujące się nawzajem sekty religijne, polityczne. Może w takim świecie lepiej nie być młodym.

Simenon po sześćdziesiątce wydał książkę pod tytułem *Kiedy byłem stary*. Nie czytałem jej, lecz autor wspomina o niej w swoich pamiętnikach. Twierdzi, że mając pięćdziesiąt kilka lat czuł starcze zmęczenie i niechęć do życia. Po czym zamieszkał z pokojówką żony, sprzedał swoją posiadłość, dom, pięć samochodów i przestał pisać. Simenon miał wówczas 70 lat i był autorem 214 książek. W dyktowanych pamiętnikach zapewnia, że dopiero wtedy stał się wolny. Czytałem jego pamiętniki po powrocie ze szpitala, z mieszanymi uczuciami. Forma specjalnie mi bliska, często przypominająca *Miesiące*, to mi się podobało. A także brak pretensjonalności. Mniej podobał mi się brak dyskrekcji. Są tam wyznania dotyczące spraw erotycznych, niesmaczne, czasem bezwstydne. Jednakże mówi o swoim życiu człowiek niegłupi, doświadczony. Bez złudzeń, a też bez szczególnej sympatii dla ludzi i ludzkości — człowiek zainteresowany przede wszystkim sobą, własnym bezpieczeństwem, wygodami. Ten siedemdziesięcioletni fenomen egoizmu utrzymuje, że odzyskał młodość z chwilą, kiedy wyzwolił się z konieczności pisanie. Nie wchodzi do pokoju, w którym stoją na półkach setki egzemplarzy jego książek przełożonych na wszystkie języki, i powtarza że nie lubi na nie patrzeć. Zawsze z przyjemnością czyta-

łem te świetne książki, pomogły mi przetrwać niejedną godzinę nudy i towarzyszyły mi w grypach. Jak słyszę, komisarz Maigret ma pomnik w Belgii. Tymczasem twórca *maigretów* raz po raz podkreśla w nagrywanych na taśmę zwierzeniach, jak bardzo jest szczęśliwy odkąd nie pisze powieści. Wątpię czy mówi prawdę. Czuję w jego pamiętnikach najgłębszy smutek, ukrywaną rozpacz starca, który wie że się wyczerpał.

Pan Lopez interesował się krajami bloku wschodniego. Kiedyś mnie zapytał: — Co tam się u nich produkuje? Taka Bułgaria na przykład jakie ma specjalności? — Bułgaria ma dwie specjalności — wyjaśniłem — konfitury z róż i tajną policję. — Pan Lopez się zamyślił. Po chwili westchnął: — A wie pan, u nas w Senegalu jest wiele nędzy i chorób, ale ludzie we wiosce od rana śmieją się i cieszą, bo u nas jest dużo słońca.

Pochmurno, chłodno. W połowie sierpnia schodzę do łazienki w swetrze. Mieszkamy sami w obszernym piętrowym domu naszych znajomych, którzy wyjechali na Korsykę. Właściciel domu jest Grekiem. Wieczorem zamyka się wszystkie okiennice, chociaż dokoła cicho i podobno uczciwie. Zapewniono nas, że wychodząc można furtkę i drzwi zostawiać otwarte. W pogodniejsze dni na pełnym i błękitnym niebie leżą podłużne kredowe wysepki; tu obłoki mają inny kształt niż w Polsce. Nieobecny właściciel, z wykształcenia historyk, ma na półkach książki w większości filozoficzno-polityczne. O kilkaset metrów od nas mieszkają Smolarowie z dziećmi. Przyjechaliśmy zatłoczonym pociągiem, Alik oczekiwał nas na stacji kolejowej. Mamy tu zostać do początku września. Jemy chleb pokrajany na duże jasne kromki. W tej części Normandii pejzaż wydaje się swojski i trochę przypomina ziemię opoczyńską. Wokół lasy i wzgórza, za domem ciągną się łąki ogrodzone drutem kolczastym, gdzie dzień i noc pasą się setki wołów. Drogi boczne jak w Polsce, z wyjeżdżonymi koleinami i trawą po środku. Wprawdzie na jednej, przy samej szosie, umieszczono tablicę w kształcie ogromnej flaszki z napisem *Sprzedaż cidru w butelkach...* Poczta w miasteczku o kilometr. Po drodze widać normandzkie farmy, rozrzucone daleko od siebie w kępach drzew, i pastwiska, na których stoją woły. Jest tak cicho, że kiedy nad lasem przelatuje z rykiem odrzutowiec, wpadam w popłoch jakby niebo pękło. Po czym znowu cisza. Myślę z pewną ulgą, że to nie był odrzutowiec wojsk Paktu Warszawskiego; szczególne ukojenie przynosi myśl, że nie był to odrzutowiec polskich wojsk Paktu Warszawskiego, które 13 grudnia dokonały interwencji w Polsce.

Przywożłem tu ze sobą papiery, wśród nich dwa listy o

śmierci Andrzeja Kijowskiego. Dotychczas nie odpowiedziałem na te listy i nie wiem jak odpowiedzieć.

„Moi Kochani, jakkolwiek będziecie mieli dużo wiadomości o Andrzeju, może i moje nie będą zbyt cenne. W środę, 19-go, Kazia sprowadziła Andrzeja ze szpitala do domu, ja miałam być u niego w sobotę, bo bardzo pragnęłam jeszcze go zobaczyć, ale Hania, która tam była całą noc (bo wieczorem, w piątek, przyniosła jakiś specjalny materac, żeby mu było wygodniej leżeć), zadzwoniła do mnie, że mam być w szpitalu, u Dzieciątka Jezus, i czekać na Kazię. Kazia przywiozła go z Ewą i jakąś lekarką. Czekałam na korytarzu aż go przynieśli: był nieprzytomny, strasznie zmieniony, prawa strona sparaliżowana po przerzucie do mózgu. Siedziałam na tym korytarzu niemal cały dzień. Kazia była przy nim na zmianę z Jędrkiem i Anią, z jego bratanicą Elżbietą (aktorka, może ją pamiętacie), a także potrosze z nami, tzn. z Hanią, Julią, Ewą i ze mną, ale najwięcej z Hanią i Julią, bo tak sobie Kazia życzyła. Pożegnaliśmy się z nim, i Artur i Jarek, a także Zbyszek i Jacek. Nie poznawał nikogo, ale może jakoś czuł obecność, bo kilka razy pocałował Kazię w rękę i Zbyszka pogłaskał po rękę tą swoją lewą, ruchomą jeszcze dłońią. Potem i to ustało. Agonia trwała pełny tydzień, bo umarł w następną sobotę, 29-go, o 7-mej nad ranem. Lekarze mówili, że nie cierpiał, ale ja w to nie wierzę, nic nie wiemy o polach i zakamarkach świadomości, zresztą coraz częściej dawali mu morfinę i coraz na krócej starczała. Twarz jego była dla mnie samą męką i od początku tylko prosiłam Boga, żeby szybciej umarł. Wszyscyśmy go kochali, ale nie wiedziałam, że tak bardzo”.

Drugi list:

„Moi Kochani, opiszę Wam pogrzeb Andrzeja, bo myślę, że chcecie wiedzieć, jak się odbył. Msza św. była odprawiona na Placu Zbawiciela, w piątek, o 12-tej. Kościół był pełen ludzi i było też wiele różnych delegacji z wieńcami. Zdecydowaliśmy, że nasze kwiaty będą wspólne, od najbliższych przyjaciół, i na szarfie był napis: od Arturów, Jarków, Kazików, Joasi i Hani. Uważałem, że powinniśmy być wszyscy razem. A jeszcze był wieńiec od paryskich przyjaciół. Mszę odprawiał biskup w asyście kilku księży, a kazanie — bardzo nam się podobało, bo było piękne i mądre — wygłosił ks. Pasierb. Potem przenieśliśmy trumnę przez kościół i po 1-szej rozpoczęły się uroczystości na Powązkach. Andrzej leży w bardzo ładnym miejscu; kiedy stanie się przed katakumbami, to po lewej, trochę z boku, więc jakby

blżej kościoła Boromeusza, a i w głębi. Na pogrzebie był wielki tłum i nie da się opisać, kto był, bo wszyscy, wszyscy byli. Przemawiali nad grobem Jan Józef Szczepański, Artur, Szczypiorski i Mazowiecki. To ostatnie przemówienie było najlepsze, myślę, bo z pięknymi akcentami patriotycznymi. Nad cmentarzem było dużo błękitu i słońca i kilka obłoków. Myślę, że nasz Andrzej, jeśli jeszcze tam był, to był z tego wszystkiego zadowolony. Wieczorem tego samego dnia była — u św. Krzyża — msza za dusze Janki i Antoniego, i ksiądz w kazaniu, proboszcz od św. Krzyża, połączył Antoniego z Andrzejem, bardzo wzruszająco. Na tej drugiej mszy to już było nas tylko kilkoro — no i liczyliśmy się ile nas jest. Kilkoro. Była Joasia, Hania, Arturowie, Turowicz, Bar. szewscy, my, Julek. Acha, jeszcze p. Mauersberger był tam i przeszedł obok mnie na Traugutta, ale jakby nieobecny, jakby skądinąd. Był piękny wieczór: znów dużo błękitu, światła, zieleni, i puste Krakowskie, pusta Warszawa. Jak tu jest pusto. Choć ciągle kogoś spotykamy, ciągle ktoś tu przy nas jest, to pocucie że poruszam się w pustce jest we mnie nieustannie obecne. Pusto. I będzie, wiem to, coraz pustiej”.

Wczoraj odpisałem, na razie tylko na pierwszy list: „Kochana Joasiu, dziękujemy Ci za list o Andrzeju. Jest ciężko i źle. Trudno się pogodzić z tym, że już Go nie ma. Ostatni raz widziałem Andrzeja w Paryżu, pożegnaliśmy się obiecując sobie wkrótce następne spotkanie. Wiadomość usłyszała M. przez radio. Byliśmy wtedy w Villiers St. Denis w sanatorium, gdzie skierowano mnie po operacji biodra. Dziękujemy Wam za pamięć — za listy i za to, że nie zapomnieliście o nas układając napis na wstędze. Z całego serca dziękujemy. Wybacz, że piszę na kartce. Bałem się, że list wypadnie za krótki. Pewnie to zrozumiesz”.

Na tę śmierć nie byliśmy przygotowani. Nie tylko my tutaj, ale i oni, mimo iż oni widzieli jak choroba postępuje. W obu listach pod słowami ukryte jest zdumienie, że umarł ktoś tak żywy i bliski. I w obydwóch, zwłaszcza w drugim, J.M.R., jest dla mnie uderzające jak głęboko śmierć weszła w ich egzystencję. Zdaje mi się, że te dwie relacje łączy wspólna potrzeba równouprawnienia śmierci, uznania jej za uroczystą część życia jednoczącą przyjaciół i zbliżającą powszedniość do zaświatów. Informacyjny tryb obu listów podkreśla też mimowoli, że mnie tam nie ma i dlatego trzeba mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Przypuszczam, że w sumie zastępuje im to przeżycia, które uważa się za normalne. Czyli te, jakie mają ludzie w krajach uważanych za normalne. W liście J.M.R., pod koniec, wiele mówiące

są zdania o pustce. Pisał ten list już po usunięciu go z Instytutu Badań Literackich i Ewy z teatru.

Mnie tam nie ma. 4 grudnia minie cztery lata. Po ośmiu dniach wiedziałem już, że nie wrócę do Polski. To była pewność natychmiastowa i tak oczywista, jak w dawniejszych podróżach oczywistość powrotu. Przez te cztery lata nie miałem chwili wahania czy postąpiłem dobrze. Ale też gwarancji że moja decyzja okaże się dobra w sensie praktycznym. Co zaś do wartości moralnej... Pozostanie na Zachodzie nie wymagało poświęcenia ani odwagi większej niż powrót do Polski. Równocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że oboje nie jesteśmy silni i zdrowi. Przywieźliśmy małą sumę pieniędzy, byliśmy z dwiema walizkami i po sześćdziesiątce. Czytelników miałem przede wszystkim w kraju. Najbliższych przyjaciół także. Mogli odczuwać do mnie niechęć, bo nie dzieliłem z nimi udręk i niebezpieczeństw. A przy tym w Polsce mniej się bałem. Myślę o strachu, który się określa jako irracjonalny (a który jest racjonalny), o poczuciu zagrożenia bliżej nienazwanym złem. Zazwyczaj mówi się: lęk metafizyczny. Więc metafizyczne lęki prześladowają mnie głównie za granicą. Może dlatego, że za granicą jestem mniej włączony w zbiorowe działanie, bardziej osobny. Wszystko to są terminy niezbyt ściśle — lepszych nie mam — chodzi mi po prostu o przypomnienie sobie okoliczności własnej decyzji, która, powtarzam, ani materialnie ani duchowo niekoniecznie musiała i musi być korzystna.

Nie uważałem się za emigranta. Sądziłem, że ów tytuł nie należy mi się, bo moje pozostanie na Zachodzie wynikało koniec końców z przypadku. Gdyby stan wojenny ogłoszono nie 13-go, tylko 3 grudnia, najprawdopodobniej mieszkałbym dziś w Warszawie. Nie czułem się jak człowiek, który wyemigrował, lecz jak ktoś kto nie wraca. W moim odczuciu powrót oznaczałby zgodę na to, co się stało w Polsce, i byłby tak interpretowany. Mówię o pierwszym okresie. Do kraju wróciło w tym czasie sporo osób, wśród nich ludzie odważni i uczciwi. Dowiadywałem się o ich powrotach nieraz od nich samych, traktując je jak rzecz naturalną, aczkolwiek przeczyło to mojej racji niewracania. Kiedy żegnaliśmy się, mówiłem: więc do zobaczenia, do następnego razu w Paryżu. Pewność, że za rok czy dwa nadal będę mieszkał w Paryżu, była dla mnie tak samo naturalna jak czyjś wyjazd. Stopniowo uświadamiałem sobie, że nie wracam do Polski jeszcze z innych powodów i że te powody są istotniejsze niż dotychczasowa motywacja. W drugim, późniejszym okresie nadszedł list ze Sztokholmu od mojej tłumaczki. Była przekonana, że od dawna jestem z powrotem w Warszawie, zapewniano ją o tym wielokrotnie — ktoś mnie podobno widział na Krakowskim Przed-

mieściu. Możliwe iż celowo puszczono w obieg tę wiadomość. Odpowiedziałem na list. Prostując fałszywą pogłoskę wyjaśniłem, że powrót do Polski jest dla mnie nie do pomyślenia. Użyłem słów „choroba psychiczna”. Pisałem, że nie wytrzymałbym psychicznie, mając na myśli nie tylko ucisk systemu politycznego, ale także własnego środowiska. Zamiast „nie mogę wrócić” myślałem już: „nie chcę wrócić”.

Z lektur: *Le Mal français* Alain Peyrefitte'a (tytuł wcale niełatwy do przetłumaczenia) i Filipa Franka *Einstein, jego życie i czasy*.

Z prasy oficjalnej: „Brandys ma czelność twierdzić, że po wojnie był przesłuchiwany za udział w AK, tymczasem wiadomo, że w czasie okupacji handlował obrazami i dywanami”. Skąd to wzięli? Z *Ronda*. Mój bohater, akowiec, handlował obrazami, a po wojnie był przesłuchiwany za konspiracyjną działalność. Ja nie byłem przesłuchiwany. Dywanami żaden z nas nie handlował. Obrazy sprzedawałem, ale przeważnie rodzinne (m.in. Fałata ciotki, trochę wbrew jej woli).

Z cech niewątpliwie starczych: coraz głębsze pograżanie się w sobie, coraz częściej nie docierają do mnie słowa wypowiedane przez innych. W trakcie rozmów popadam w wewnętrzny ciąg skojarzeń i rozpamiętywań. Młodszy ode mnie nazywają to „główkowaniem” czy też „nawijaniem”, lecz jest w tym coś z majaczeń. Powoduje to czasem luki w przytomności. Wczoraj wracaliśmy z miasteczka i M. o czymś mówiła. Potakiwałem ze zrozumieniem. Ale kiedy nagle spytała — pewnie w związku z tym o czym mówiła — czy pamiętam w którym miejscu idąc z Obór mijaliśmy willę Żeromskiego, podciągnąłem lewy rękaw i odpowiedziałem: — Pół do szóstej.

Peyrefitte w swojej książce wspomina mimochodem, że „w XVIII-wiecznej rezydencji polskich hrabiów Branickich było w stajniach 200 koni a w bibliotece 167 tomów”. Klasyczne starofrancuskie wyobrażenie o Polsce.

W monografii o Einsteinie najbardziej mnie zaciękała jego niezdolność do utrzymywania bliskich przyjaźni, zwłaszcza z mężczyznami.

Przedwczoraj byliśmy w Verneuil, wczoraj u państwa Evrard. Verneuil jest pięknym miastem o starej normandzkiej zabudowie. Domy z jasnych kamieni z wbudowanym ciemnobrunatnym belkowaniem, w pasy albo na krzyż, dachy także brunatne i podobne do głęboko wsadzonych kapeluszy. W tym małym prowincjonalnym mieście rozciąga się po środku wielki plac o monumentalnej skali, zamknięty w zwartym czworoboku kamienic: rynek. To

Król Słońce narzucił spokojnej Francji wymiary olbrzyma. Nie daleko za Verneuil, w wersalskiej perspektywie, widać ogromne ruiny spalonego przez chłopów w latach Rewolucji pałacu księcia Saint-Simon, autora pamiętników. Państwo Evrard, potomkowie tych chłopów, mieszkają w Saint-Mard-de-Reno, pół kilometra od nas, w wiejskiej farmie zbudowanej w roku 1800 z takich samych kamieni jak uliczki w Verneuil. Dom stoi w dużym ogrodzie. Pan Evrard, dzisiaj emeryt, był szoferem ciężarówki, gospodarstwo odziedziczyła po przybranych rodzicach jego żona. Istnieje tu dawny obyczaj adoptowania dzieci z sierocińców przez rodziny chłopskie. Wchodzimy w ogród. Strzyżone trawniki, małe klomby, ścieżki, żywopłoty, clematisy, róże i pigwy układają się w nader wyszukaną kompozycję; jakby roślinny salon urządzony z poczuciem koloru i zmysłem dekoracyjnym. Oglądamy drzewa iglaste i szpalery zieleni, które pan Evrard sam zasadził. Ma 74 lata — wąski w biodrach, o długiej brązowej twarzy, w dżinsach i cyklistówce na bakier, wygląda młodziej ode mnie. Patrzę na nich oboje, nasuwa mi się myśl, że tacy ludzie właśnie ręcznie tworzą krajobraz, i mówię przy pożegnaniu: — Jestem bardzo zadowolony, że poznałem państwa.

Piątek, 30 sierpnia. Jutro wyjeżdżamy z Saint-Mard.

Przybyszewski: za życia geniusz, nadczłowiek, sławny w świecie, modlili się do niego. Dziś nie da się go czytać ani wystawiać.

Żeromski: miał pogrzeb jak monarcha, był wieszczem niepodległościowego pokolenia. Po śmierci już trzecie pokolenie kpi sobie z niego.

Norwid: odrzucony przez współczesnych, umarł w przytułku dla starców, dzisiaj jest czwartym wieszczem.

Witkacy: za życia uznawany przez nielicznych, dla większości dyletant, szarlatan, półwariat, jego sztuki padały po kilku przedstawieniach, dziś genialny prekursor, sławny w świecie.

Boy: mędrzec, instytucja społeczno-kulturalna, symbol walki z ciemnogrodem, formował świadomość polskiej inteligencji, wielbiony lub nienawidzony. Dziś intelektualści nim gardzą.

Wat: zdawało się, raczej postać literacka niż twórca, komunizujący futurysta bez dorobku, później omal nie zamęczony przez komunizm, dziś w aurze legendy jako poeta, człowiek, badacz myśli i pisma.

Więc skoro ta przewrotna gra narusza moje pojęcia o dobrych obyczajach, trzeba sobie wymyśleć inną. Może grę ze sobą o siebie.

Wróciliśmy do Paryża niezbyt zapełnionym pociągiem i na dworcu Montparnasse już na peronie zaczęliśmy się kłócić i szamotać o walizkę, którą postanowiłem nieść zamiast poszukać wózka. Ludzie na nas patrzyli. Jadąc taksówką zobaczyłem na skrzyżowaniu brasserię z ciepło oświetlonym tarasem i ladą na zewnątrz, pełną krabów. Pod lampionami siedziały dwie dziewczyny, jedna miała przyprawione wąsy, i chłopak z kolczykiem w uchu. Kiedy taksówka ruszała spod świateł, przeżyłem sekundę żalu, że nie ma mnie na tym tarasie. To złudzenie, nie byłbym tam szczęśliwy. Potem znowu walka przed domem, żebym nie dźwigał walizki. Stajemy się dziwną parą. Albo nagle i jednocześnie wypowiadamy te same zdania, albo przerywamy sobie dyskutując głośno, z nieopanowanymi gestami, często na ulicy. Zwykle chodzimy w pewnej odległości od siebie, ja z przodu, M. o parę kroków w tyle. Chodziliśmy tak na spacer w Saint-Mard budząc zaciekawienie. Dzieci i psy za nami się oglądały. W okolicy rzadko widać pieszych turystów. Do tego ja w płóciennym amerykańskim kapeluszu i z laską, pochylony, a za mną M. wyprostowana, w długiej żółtej sukni z falbanami i wielkich czarnych okularach. Brano ją w sklepach za Szwedkę lub Angielkę. Pewien sławny poeta, chcąc wyrazić swój zachwyt dla uroczej dziewczyny, którą pokochał na całe życie, wykrzyknął: — *C'est moi en femme!* — Można by przetłumaczyć: „To ja, gdybym był kobietą”. Z nami było odwrotnie, pociągnęła nas do siebie odmienność, nie tylko zewnętrzna. Jej optymizm — nie w widzeniu losu, ale na co dzień, od rana — jej nieugięta wiara w najlepsze co może się zdarzyć... „Gdyby Marysia B. znalazła się sama na Saharze i rozglądała się wokół — twierdziła nasza mądra krakowska przyjaciółka — możecie być pewni, że w tym momencie zajędzie wolna taksówka”.

Wieczorem po powrocie z Paryża siedziałem naprzeciw niej w fotelu przeglądając numer ilustrowanego magazynu i od czasu do czasu przypatrując się jak robi sweter na drutach. Ma szybkie, drobne ręce. Pierścionek z kameą, nieco za luźny, jest przytrzymany obrączką. W Nowym Jorku kupiliśmy za dolara w sklepie z rupieciami sztuczną perłę w oprawie z nieprawdziwego srebra i M. odtąd ją nosi na łańcuszku do swoich jasnych bluzek. Kilkanaście, a może dwadzieścia kilka lat temu narysowałem ołówkiem jej portrecik, uderzająco podobny, o dużych ustach i wysoko osadzonym małym nosie pod kreską między brwiami; oczy

trochę skośnie zmrużone uśmiechem. Rysunek gdzieś się zawie-
ruszył, po paru latach nie mogłem już go odnaleźć. Patrząc na
nią odwracam stronicę *Paris Match*'u i mój wzrok pada na dwie
sfotografowane twarze. Ronald Reagan i Nancy Reagan w mo-
mencie opuszczania szpitala, gdzie prezydentowi Stanów Zjedno-
czonych wycięto rakowaty nowotwór kiszek odbytowej. Reagan, ze
wskazującym i dużym palcem uniesionej ręki złączonymi w kółko,
śmieje się triumfalnie, jakby wygrał bieg: *fine!* Obok twarz
jego żony, także uśmiechnięta, o przerażonych oczach. Dzielną
para. Mężnie kreują obraz Ameryki, w której wygrywa się
z nieszczęściem.

Tę anegdotę o Balzaku opowiedział mi ktoś dawno temu, albo
zapisał, pewnie Boy. Młody człowiek aspirujący do literatury
pyta Balzaka, jak się pisze powieść, czy trzeba najpierw obmyślić
intrygę, a później ułożyć plan, czy postacie wzięte są z życia... itp.
— To bardzo proste — odpowiedział Balzak — bierze pan dwoje
zakochanych i wynajduje pan przeszkody w ich miłości.

Przeszkody były zależne od epoki: różnice stanowe w ustroju
feodalnym, majątkowe czy religijne w wieku XIX. My w naszej
epoce dowiedzieliśmy się, że główna przeszkoda jest ponaddzie-
jowa i tkwi w samej miłości. W jej przemijaniu. Po pewnym
czasie Romeo i Julia przestają sobie wystarczać. Mądre słowa:
„Gdyby to mogło wciąż płonąć i trwać... trwać i płonąć... A to
albo płonie, albo trwa”. Nasza historia była inna. Powiedzia-
łem kiedyś: — Przecież ty nigdy nie byłeś we mnie zakochana,
czułaś tylko, że razem przetrwamy, że nawzajem się uratujemy.
Bo zginęlibyśmy bez siebie. Ja także o tym wiedziałem.

Nie mam pewności, czy właśnie tak było. Ale czegoś istot-
nego dotknąłem — może najważniejszej prawdy o nas. Walczyliś-
my o siebie. Rzucaliśmy sobie w twarz najgorsze słowa. Po to
żeby się zmieniać, wyciągać się nawzajem ze wspólnych i osob-
nych grzechów. Przez wszystkie nasze lata walczyliśmy ze sobą
o własne dusze. O nic innego, nigdy.

W pamiętnikach nie jest wskazana daleko posunięta szczerłość.
Autobiografia, dziennik, listy stają się dla mnie interesujące nie
przez to, że się dowiaduję jakim człowiekiem był autor, lecz —
jakim postanowił być. Z listów Tomasza Manna lub z jego książki
Jak pisałem Doktora Faustusa wyłania się pewien system ludz-
kich zachowań, świadomie opracowany. Autor tych kilku tomów
jest osiągnięciem — czy rezultatem — własnej koncepcji człowie-
czeństwa. Pisarze w swoich dziennikach i zapiskach często stwa-
rzają sami siebie, podobnie jak w powieściach tworzyli swoich
bohaterów. Przypuszczalnie tak też jest ze mną w *Miesiącach*.
I chwala Bogu, bo inaczej zanudziłbym się pisać.

Wrzesień w tym roku przewiewny, świetlisty. W mieście jest tak pięknie, że ogarnia niepokój, czy długo jeszcze przetrwa ta uroda stworzona z pracy wieków. Chodzimy z M. na spacer do Ogrodu Luksemburskiego. W lewej, nie operowanej nodze czuję pierwsze jesienne pulsacje artrozy, którą wykazały ostatnie zdjęcia rentgenologiczne. Postanowiłem jednak mieć do tej nogi podobny stosunek jak Gide do swego fotela. Fotel był wysiedziany, obicia na poręczach przetarte, znać było na nim lata. Gdy któryś z przyjaciół wyraził zdziwienie, że Gide nie każe go naprawić, pisarz, który zbliżał się wówczas do 80-ki, odrzekł spokojnie, że to się już nie opłaca.

Z lektur: *Dziennik* Micheleta. Ten wspaniały człowiek nie potrafił zrobić z siebie głównej postaci dzieła. Marnuje dziesiątki stron na drobiazgowy relacje o chorobie kiszek dręczącej jego żonę. Szukałem śladów przyjaźni z Mickiewiczem. Znalazłem tylko krótkie wzmianki: „Mickiewicz o 5-tej”, albo: „O 5-tej u Mickiewicza”.

Na lewym brzegu chodzą rodziny Skandynawów. Wysokie, długonogie matki, młodzi ojcowie w obcisłych spodniach z żaglowego płótna, dzieci niesione w torbach na plecach lub piersiach. Wszyscy mają różowe twarze i białe włosy, a w oczach spokojny błękit. Sowieckie łodzie podwodne przypływają pod ich domy. Za tydzień wybieram się do Centre du Dialogue na odczyt Stefana Kisielewskiego pod tytułem „Czy Europa musi zginąć?”.

W Berlinie zmarł Witold Wirpsza.

Nad ranem bez powodu przypomniał mi się Himilbach, nieogolony Himilbach ze swoim ochrypłym głosem i przekrwionymi oczami, przemawiający do mnie na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej: — Panie Brandys, czy pan wie jaką pan ma żonę? Tylko raz spotkałem człowieka na takim poziomie, to był jeden kowal artystyczny pod Skarżyskiem. — Na Krakowskiem było ciemno, staliśmy na pustym chodniku niedaleko latarni i Himilbach wpierał we mnie wzrok. Wysoko cenił tolerancję i wielkoduszność M., w których odgadywał jej współczucie dla alkoholików. Wiedział, że może na nią liczyć, nie potępiała go, kiedy składał nam wizyty nocą; mówiła: — Dzień dobry, panie Janku — i zawsze, w najmniej konwencjonalnych sytuacjach, prowadziła z nim rozmowę, traktując go nie jak pijaka, lecz jak oczekiwanego gościa (nawet wówczas, gdy pewnego wieczoru odwiedził nas w towarzystwie prostytutki). Himilbach z czasem stał się dla mnie organiczną częścią warszawskiej szarości. Dzięki takim postaciom czuło się ukryte pod nią ciepłe kolory, takie postacie tworzyły urok marginesu, zwanego dawniej cyganerią, zastępującego wolność i potrzebnego również w komunizmie, po

to aby ubezwłasnowolnienie miało cechy powagi życiowej. Pijany Himilbach ozdabiał warszawskie życie, był dowodem, że można się w nim wykoleić albo żyć poważnie; myśmy żyli poważnie. A przy tym Himilbach dawał do zrozumienia, że mimo swej pozornie lekkomyślnej egzystencji głęboko odczuwa tragiczność naszych czasów. Kiedyś zjawił się u nas po nocy Sylwestrowej o 9-tej rano i oznajmił chrypiąc, że „Zdziś leży u ludzi i trzeba mu pomóc”. Do udzielenia pomocy Zdzisiowi konieczna była pewna suma: sto złotych. Zawahałem się, Himilbach patrzył na mnie z wyrzutem, po czym wziął banknot. Była 9.15 rano, dzień Nowego Roku, i w tym momencie zatelefonował Andrzejewski z życzeniami. Także nie wytrzeźwiały jeszcze po Sylwestrze zdziwił się niezmiernie, gdy M. go przeprosiła: — Jerzy, nie mogę dłużej rozmawiać, bo mamy gościa, jest u nas pan Himilbach. — Wówczas Himilbach, który już się żegnał, wzruszony i pewnie chcąc swoje najście usprawiedliwić okropnościami świata, zachrypiął przy drzwiach: — Panie Brandys, czy pan wie, co się dzieje? Tydzień temu w Radomiu siedmiu liliputów zatłukło się na śmierć.

Dowiedziałem się niedawno, że wstąpił do nowego Związku Literatów (w Warszawie mówi się ZLEP) i że wysunięto jego kandydaturę na prezesa oddziału warszawskiego.

Przyjacielem Himilbacha był aktor Zdzisław Maklakiewicz. Tworzyli ze Zdzisiem parę charakterystyczną, występowali razem w telewizji i filmie, a przy tym byli parą życiową, związaną nie tylko alkoholem, lecz także spirytualną filozofią istnienia. Dopuszczam i taką możliwość, że poważne — w głębszym sensie, w duchowym wymiarze — było życie Himilbacha i Zdzisia. Być może doznawali objawień, jakie nie wszystkim są dostępne, i żyli treścią dla wielu niewidzialną, ukrytą. Słyszałem, iż byli tak pochłonięci swoim istnieniem w innej płaszczyźnie zjawisk, że jedynie w rzadkich okresach wiedzieli, który jest dzień tygodnia, miesiąc, a nawet rok. Zdzisio był zdolnym aktorem i oryginalną postacią. W nieco trupiej i komicznej twarzy z wąsikami miał zarysowany uśmiech — smutny, wstydlivy, delikatny. Na pewno znał tajemnice, o których mnie się nie śniło. To było już chyba po roku 1975, kiedy przed hotelem Bristol w Warszawie zatłukła go banda awanturników wyrzuconych z nocnego lokalu.

Przeczytałem M. kilka stron tekstu. Wieczorem przystanęła w drzwiach mojego pokoju i powiedziała: — Kiedy piszesz, wszystko w naszym życiu jest na swoim miejscu.

W niedzielę przed południem w kościele na ulicy Cler pełnym ludzi odprawiona była msza za duszę Andrzeja Kijowskiego. Dzień pogodny, chyba taki sam, jaki opisał J.M.R. w swoim liście o

pogrzebie Andrzeja: „dużo błękitu i światła”. Kijowscy w Paryżu zatrzymywali się na rue Surcouf w domu Pallotynów i po którymś pobycie Andrzej wpisał się do książki pamiątkowej. W homilii ksiądz Modzelewski odczytał ten wpis Andrzeja:

„Nocując w tym gościnnym domu, miałem taki sen: umarłem, i Bóg dał mi dwa miejsca ostateczne do wyboru. W obydwu temperatura była jednakowo umiarkowana i krajobrazy łagodne. W pierwszym z nich byłem sobą takim, jak przed śmiercią, i byli tam ze mną wszyscy, których znałem i kochałem, kiedy żyłem, tacy sami, jak za życia. W drugim, ja sam i wszyscy byliśmy zupełnie inni, nie do poznania.

Zobaczywszy pierwsze miejsce powiedziałem Bogu: — Panie, dobrze mi tu być, bo jestem sobą, i wszystko jest na swoim miejscu.

A zobaczywszy drugie: — Panie, dobrze mi tu być bo wszystko jest inne i *piekielnie* ciekawe.

Bóg skrzywił się na to słowo i chyba trzepnął, bo się obudziłem, nie dowiedziawszy się, które z tych dwóch miejsc było piekłem, a które niebem.

Pozostawiając Księżom Pallotynom tę zagadkę do rozstrzygnięcia serdecznie dziękuję za gościnę ofiarowaną mojej żonie i mnie w powrotnej drodze z Hiszpanii do kraju. Wniebowstąpienie 1976”.

Prawdopodobnie był świadomy tego, że każde z owych dwóch miejsc może być niebem i piekłem i że człowiek nosi je w sobie, i niebo i piekło, gdziekolwiek się znajduje, bo w tej sprawie dużo mniej zależy od okoliczności zewnętrznych niż by się wydawało. Tego samego dnia po południu kolejką pod Paryż, gdzie urządzano przyjęcie z okazji nowego mieszkania. Na stacji Châtelet spotykamy XX-ów i Jana Nowaka, wsiadamy wszyscy razem i w wagonie przychodzi mi do głowy, że Kijowski, który byłby na pewno także zaproszony na przyjęcie, chyba jest gdzieś niedaleko. Jest? czy nie jest? Jadąc rozmawiamy z dyrektorem Nowakiem i XX-em o tym, kto chodził do jakiego gimnazjum w przedwojennej Warszawie. Lutosławski — do Batorego czy do Ziemi Mazowieckiej? Pewne, że Gombrowicz do Stanisława Kostki, a Rapacki, minister, do Mickiewicza. Mówimy głośno po polsku, trzej śmiejący się, łysi i siwi panowie budzą zdziwienie wśród biednych Francuzów, którzy nie mają pojęcia jakie kawały robiło się w gimnazjum Mickiewicza lub Czackiego w roku 1932. Dzień wciąż ciepły, słoneczny, większość gości na przyjęciu to ci sami, którzy rano byli na mszy żałobnej. Jednych znam, innych poznaję dopiero tutaj, np. korespondenta *Le Monde* Krau-

zego i Teresę Torańską, autorkę tomu rozmów z byłymi dygnitarzami partyjnymi, z których jeden opowiedział jej jak tańczył przed Stalinem walca z Mołotowem. W ogródku młodszy goście stojąc otaczają kołem siedzących na krzesłkach Józefa Czapskiego i Jana Nowaka (jakby Dąbrowskiego i Kościuszkę), ale wśród zaproszonych jest też dawny uczestnik bitwy pod Lenino, generał wojska polskiego i bohater ZSSR, miły człowiek. A także Stefan Kisielewski, przedstawicielka uczciwych Rosjan, Natalia Gorbaniowska, oraz ksiądz Superior. Nie mówiąc o działaczach „Solidarności” z żonami i dziećmi. Słowem Polska. Zachodnia, środkowa i wschodnia. Zona redaktora emigracyjnego pisma zjawiała się w niezwykle oryginalnej sukni, wyrafinowanej kombinacji dekolców z siecią rybacką. Pytam, czy to obecna moda paryska z Lewego Brzegu, i słyszę, że tę suknię przysłała jej z Warszawy przyjaciółka, tam w butikach propaguje się właśnie taki styl.

W roku 1965 było w Paryżu dwa tysiące Polaków, dzisiaj podobno jest dwadzieścia tysięcy. Kilkadziesiąt osób zebranych na ogrodowym przyjęciu stanowi mały ułamek tej liczby. Ale charakterystyczne, niektóre ogólne zjawiska widać tu wyraźnie. Przede wszystkim — pomieszanie emigracji z krajem. Trudno się zorientować kto tu jest na stałe, a kto na parę tygodni, albo przejazdem z Włoch czy Anglii w powrotnej drodze do Warszawy. Wśród Polaków, którzy zostali tu na lata, trudno odróżnić tych, co *spalili za sobą mosty*, od innych, którzy w każdej chwili mogą wrócić do Polski. Są tu polityczni uchodźcy, obywatele francuscy i posiadacze konsularnych paszportów. Tak samo trudno się połapać kto wyjechał z kraju przed stanem wojennym, a kto wylemigrował po amnestii. Istnieje milcząca konwencja nie zadawania pytań w tych sprawach. Przetasowane są również formacje i warstwy społeczno-polityczne, i to w sposób tak naturalny, że nikogo nie zdumiewa przyjacielska zażyłość łącząca córki komunistycznych działaczy z ich starymi wrogami ideologicznymi, ani fakt, iż były zetempowiec jest na ty z duchownym katolickim, urodzonym na wsi, której ojcu zetempowca nie udało się skolektywizować. Różne doświadczenia, wiary i poglądy ocierają się tutaj o siebie z talerzykami i kieliszkami w rękach. W końcu ktoś obdarzony wzrokiem historycznym mógłby zobaczyć na tym ogrodowym *party* unoszące się kłębowisko bitew, rewolucyjnych marzeń, kaźni i przekleństw — w górnym planie, jak alegoryczne niebo.

Po śmierci Wirpszy napisałem w liście do jego syna: „Zmniejsza się i ubożeje nasz świat. Jest jakaś pociecha w tym, że wy będziecie go kontynuować”.

Nieprawda, to nie jest żadna pociecha.

Październik

Od dziś znowu piszę po tygodniowej przerwie. Zaczęto już grzać w kaloryferach, ale pierwsze dni października są tak ciepłe, że na noc wyłączam. Lektury: *Europejczycy* Jamesa i pamiętnik Las Cases'a pisany na Św. Helenie. Pojechałem do agencji IBERIA, zwolniłem miejsce w samolocie do Madrytu i lekki wróciłem do domu autobusem z przystanku na placu Alma niedaleko pomnika Mickiewicza. Przedtem wysłałem list do biura kongresu. Autobus był wewnątrz rozgrzany, mijają po drodze tarasy pełne ludzi siedzących w rzędach jak w teatrze i zwróconych twarzami do słońca. U stóp jasnokamiennej wieży Saint-Jacques kręci się rokokowo-secesyjna, białoróżowozłota karuzela w kształcie pagody. To miasto bezustannie się reżyseruje. Wieczorem karuzela zapala się jak lampa. Przez cztery dni był Gorbaczow, nowy sekretarz generalny partii ZSSR. Pokazywali go w telewizji, udzielił wywiadu, przemawiał. Ktoś powiedział: taki sam pies i tak samo szczeka, tylko inaczej szczyrzy zęby. O tym że Gorbaczow się uśmiecha, paryscy spikerzy mówią z pełnym wzruszenia zachwytem. Wiele się też pisze o tym że wyszedł ze szkoły KGB, najpotężniejszej policji świata. Jeśli się okaże wybitny, potwierdzi to moją teorię, według której najbardziej utalentowani Rosjanie, tacy jak niegdyś Tołstoj, Dostojewski, Gogol, dzisiaj nie stają się pisarzami, lecz wstępują do KGB, gdzie możliwości dla prawdziwych talentów są bez porównania większe niż w sowieckiej literaturze. Niski, krępy, z łysiną, Gorbaczow fizycznie jest doskonałym egzemplarzem gatunku *homo sovieticus*, włącznie ze stałą w oku, kiedy mówi: *Sawietiskij Sajuz...* Przyjechał z żoną, o której dziennikarze tutejsi piszą w upojeniu, że jest szczupłą.

Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że w Warszawie redaktor prorządowego tygodnika został usunięty za artykuł o Czaadajewie, pierwszym rosyjskim intelektualistcie oddanym z nakazu rządu pod nadzór psychiatryczny. Półtora wieku temu! Ciekawe, jak nagle wywołana przeszłość mści się złośliwie i duch wali w głowę tego, co go wezwał. Słyszę, że zdymisjonowanego redaktora od-tąd inaczej się ocenia: „kolaborant-wariat”. Przedtem mówiono o nim prościej: „świnia”. Takie są moje najświeższe informacje. Podobno w Warszawie wszyscy sądzą wszystkich i to jest zrozumiałe, bo jest po kłesce. Przypuszczam, że i mnie tam osądzają. Zresztą ja także osądzam.

Z pamiętników Las Cases'a dowiedziałem się o niektórych mało znanych pomysłach Napoleona. W czasie pobytu na Św.

Helenie mówił, iż żałuje kilku swoich nieureczywistnionych projektów. Jednym z nich były obozy pracy przymusowej dla jeńców wojennych. Twierdził, że jeńca nie może spotkać nic bardziej zbawionego niż praca na świeżym powietrzu, roboty ziemne, budowa mostów... Był niewątpliwym prekursorem. Marzył o państwie totalnej demokracji, w którym życie społeczne zastąpiłaby armia. Rzemiosło, sądy, szkoły, przemysł, medycyna, wszystko powinno stać się formacjami militarnymi, podobnie jak artyleria czy saperzy. Jego umiłowanym wzorem żołnierza był rzymski legionista, który miał w tornistrze ręczny młynek do mielenia zboża i sam wypiekał sobie chleb. Na Św. Helenie wygłaszał monologi w szlafroku, z głową owiniętą ręcznikiem, chodząc po pokoju o zwisających tapetach, spleśniałych z wilgoci; raz z jego kapelusza leżącego na stole wyskoczył szczur. Monologował także w czasie posiłków. Kiedyś przy kolacji wypowiedział się o sprawach rosyjskich. Twierdził, że Rosji nie można podbić, bo jest za rozległa, natomiast Rosja z łatwością mogłaby podbić Europę. Mówił, że jeśli władzę nad tym imperium obejmie mądry i energiczny cesarz, to w ciągu miesiąca armia rosyjska dojdzie do Calais. Dziwił się, że to się jeszcze nie stało i dawał do zrozumienia, że on by tak postąpił. Gdy zapytano go, w jakim celu, odpowiedział z uśmiechem: — Żeby zmienić porządek świata. — Po kolacji do późna w nocy czytał na głos dramaty Ajschylosa, napominając słuchaczy, aby nie zasypiali. Miał chyba z wszystkich poprzednich i późniejszych tyranów największą siłę uwodzenia ludzi. Filip II, Ludwik XIV, pruski Fryderyk, Bismarck, Lenin, Hitler i Stalin wydają się przy nim groźnymi kukłami. O pani de Staël, którą wygnał z Francji, mówił do Las Cases'a z życzliwym uznaniem. Również o Marii Antoninie wyrażał się z sympatią, aczkolwiek bez głębszego współczucia; prawdopodobnie jej koniec uważał za nieunikniony.

W bibliotece niedawno trafiłem na inne jeszcze relacje o dniu jej egzekucji. Wieziono ją przez ulicę Saint-Honoré. Pod czepkiem widać było jej siwe włosy (żyła 38 lat). Tłum stał w milczeniu, jak gdyby zażenowany. Patrzyła obojętnie na ludzi tłoczących się w oknach. W miarę jak konwój zbliżał się do miejsca gilotyny, zaczęły padać okrzyki i przekleństwa. — Francuzi jednak są źli... — szepnęła, co usłyszał siedzący przy niej ksiądz. Narysował ją z okna David i ten rysunek — profil starej kobiety wyprostowanej na wózku — jest trudny do zapomnienia. W dwadzieścia lat później niedaleko dzisiejszego bulwaru Haussmanna odkryto miejsce, w którym zakopano jej ciało. Odgrzebano też zwłoki Ludwika XVI. Leżeli oboje wśród trzech tysięcy trupów, ofiar lat Terroru. Odnaleziono tam prawie wszystkich: Dantona,

Charlotte Corday, panią Roland i madame Du Barry, Filipa Egalité, małżeństwo Desmoulins, Bailly'ego, Lavoisiera... I nawet Héberta, który najohydniej oskarżał ją na procesie. Ich kości leżą do dzisiaj w śródmieściu Paryża, szczątki pary królewskiej Burbonowie przenieśli do Saint-Denis. Makabryczny cmentarz. Rewolucja grzebała tu pożarte przez siebie własne dzieci razem ze swymi wrogami.

Sprawą, co do której przydałoby się więcej pewności, jest to, czy wspominając zmarłych, myśląc o nich, współczując im — czy nasza pamięć i litość mają znaczenie w ich pośmiertnym życiu i czynią je łatwiejszym. Nie umiem się modlić za zmarłych, ale przecież myślę o nich. Usilność tego myślenia odczuwam nieraz jak narzuconą mi przez nich wolę, obecność duchów jest czasem bliska, prawie fizyczna. Kiedy indziej oddalają się lub ustępują miejsca innym. W różnych okresach obcuję z kilkunastu zmarłymi, na przemian albo równocześnie, i wymienię ich według częstotliwości obcowania: ojciec, Piłsudski, Inge-Albertyna, Słowacki, Wilek Mach, książę Józef, matka, Staś Dygat. W Paryżu przyłączyli się do tego grona Maria Antonina i Mozart.

Przed wieczorem telefonowałem do Mariana. Znów to samo wrażenie braku odległości. Po kilku zdaniach przeprosił mnie — musiał otworzyć komuś drzwi — i usłyszałem jak mówi: — Wejdźcie, siadajcie, rozmawiam właśnie z bratem... — Potem zbliżające się głosy: — Może przeszkadzamy? — i jakby skrzypienie podłogi, przysuwanie krzeseł... O półtora tysiąca kilometrów, w mieszkaniu na Marszałkowskiej. To niemal seans spirytystyczny. I raptem przelatuje przeze mnie lęk. Ale czy to jest odpowiedni wyraz — lęk? Chciałoby się wynaleźć nowe słowo, które by oddało istotę tego wzdrygnięcia, tej nerwicy oddalenia. Nagle poczułem cały niepokój bycia tutaj i nie bycia tam, obawę przed wszystkim i niczym, którą w rozmowie z M. nazwałem kiedyś *emigrozą*, a która musi być podobna do wiecznego strachu kaleki przed poślizgnięciem na gładkim parkiecie (nasuwają się też inne skojarzenia: jazda bez biletu, teatr, w którym siedzi się na cudzym miejscu), i wskutek niej Polska jawi się chwilami jak ciepły przytułek. Kiedy dzwoniłem, Halina była pewnie w swoim pokoju. Jest chora, parę tygodni temu ją operowano.

Nagrodę literacką Nobla dostał w tym roku Francuz, Claude Simon. Kilkakrotnie próbowałem go czytać, ostatnio powieść *Georgiki*. To jeden z tych artystów, którzy oderwali sztukę od ludzi. Nazwisko zanotują historycy literatury, a książki przepadną i za trzydzieści lat mało kto będzie pamiętał ich tytuły. Krytycy wymieniają go wśród kilku najważniejszych autorów „nowej po-

wieści". To prawda, że literatura się zmienia. Zmienia się także zła literatura. Istnieje nowoczesna grafomania, zrodzona z głębokich przemian w sztuce naszych czasów i obdarzona wybitną zdolnością tworzenia pozorów. Często powtarzam, że nie jest trudno odróżnić dobrą literaturę od złej, dużo trudniej odróżniają się stare formy. Bardzo szczęśliwe to są lata dla teoretyków i nieutalentowanych artystów. Teraz, w chwilę po napisaniu tych słów i może w związku z nimi, przypominają mi się dwie uwagi wypowiedziane przez dwóch myślicieli. Jeden był zdania, że prawdziwą tragedią pisarza nie jest zawiść lub niezrozumienie współczesnych, lecz to że sądzą go głupcy. Drugi, kiedy przemówał na pogrzebie w czasie ulewy, stwierdził, że jeśli chce się powiedzieć, że pada deszcz, trzeba powiedzieć: pada deszcz. Pierwszą myśl zapisał Wolter, drugą La Bruyère, dwaj Wielcy francuskiej literatury.

Widziałem jak ładna młoda kobieta zajęchała na białym skuterze przed duży sklep samoobsługowy Franprix. Zostawiła skuter przy krawężniku i weszła do sklepu. Krótka ostrzyżona, z hełmem w ręku, spodnie opinały jej pełne uda. Nie było wiele czasu, aby jej się przyjrzeć, zauważyłem tylko, że miała szare, poważne oczy i w rysunku ust trochę smutku. W kilka minut później spostrzegłem jak uciekała. Gonił ją niski kędzierzawy mężczyzna, drugi wypadł ze sklepu zaraz za nim. Biegła szybko, oddalając się od skutera i kołysząc biodrami, wciąż z hełmem w ręku. Na chodniku było tłoczno, zdawało się, że jej nie dopadną i ten kędzierzawy właściwie już zrezygnował, ale drugi, wyższy przebiegał się energiczniej, skacząc i rozgarniając ludzi. Po chwili zobaczyłem jak wracali we troje, spokojnie, ona w swoim poważnym zamyśleniu, z hełmem przewieszonym przez ramię, dwaj mężczyźni z obu jej stron, nieco z tyłu. Razem weszli do Franprix bocznymi drzwiami. Dowiedziałem się potem, że ukradła dwie paczki kawy i myślę o niej z prawdziwym współczuciem, jakim nie często obdarzam moich bliźnich, gdy popadają w tarapaty nie ze swojej winy. Trudno mi jednak znaleźć racje, które by mogły to współczucie uzasadnić. A zarazem myślę o niej z odrobiną wstrętu i chyba podobnie mieszane reakcje budziłby widok nietoperza złapanego w siatkę na motyle. Po południu na kawie para z Warszawy, dwoje pracowników naukowych. Opowiadali o życiu w Polsce. Wracają za trzy tygodnie, mówią: beznadziejność dusi — i mówią to z uśmiechem, by po chwili także z uśmiechem opowiedzieć o pielgrzymce studentów na Jasną Górę. Oboje mają krzyżyki zawieszane na szyi. Młodzież wędrująca drogami do obrazu Madonny z bliźną na policzku, przy

dźwięku gitar i śpiewach, tak, to działa na imaginację. Słyszę: Zachód jest zmaterializowany, czy pan nie uważa, że nagromadzenie takiej masy towarów to nieprzyzwoitość? Nie, tu się nie uważa masy towarowej za nieprzyzwoitą... — urywam, bo wiem że w roli zwany spraw wolnego rynku będę nieporadny. Zresztą rozmowa przeskakuje na gazetki podziemne, wymieniam tytuły i nazwiska, oboje zapalają się, potem o grobie zamęzonego księdza i biciu w więzieniach. Rozumiem, że ich nie obchodzi Zachód ze swymi problemami, tylko tamten odpływający od Europy kawał ziemi, na którym osiadą za trzy tygodnie. I myślę, czy kiedyś nastąpi tam wybuch mistycyzmu i zabrzmi spór z Bogiem. Bo to, co jest dzisiaj narodowe w Polsce, wydaje mi się stąd bardziej dewocyjne niż mistyczne.

W każdej liturgii wypowiada się słowa i wykonuje gesty, które wprawiają mnie w zażenowanie, ponieważ nie wiążą mnie z nimi głębokie przeżycia i nie odczuwam ich potrzeby, tych słów i gestów. To jest nieblahe pytanie, czy niewierzący w Przemienienie powinni klęczeć w chwili spełniania się Ofiary. Stoje wtedy z pochyloną głową, chcąc uszanować cudze uczucia religijne, a jednocześnie zaznaczyć, że jeśli ich doznaję, to w innych okolicznościach i w inny sposób. Zbiorowy obrzęd jest dla mnie widowiskiem — pięknym, jak nieraz msze w kościołach lub chóry synagogalne, ale nie potrafię uczestniczyć w Tajemnicy, jestem tylko widzem. Wszelka obrzędowość zawsze miała dla mnie cechy naiwne i może dlatego najlepiej mieściła się w folklorze, w wiejskim kościółku bądź w żydowskim miasteczku. Dziwiło mnie natomiast, że profesor uniwersytetu żegna się dłonią umoczoną w wodzie święconej lub nakłada masonski fartuszek. Również dzisiaj wydaje mi się to niezupełnie zrozumiałe i pytam w myśli: po co? czy ludziom dla utwierdzenia w sobie własnych przekonań i wierzeń naprawdę są niezbędne zbiorowe ruchy i znaki? W latach gdy należałem do studenckiej organizacji lewicowej, a później do partii komunistycznej, nieodmiennie czułem skrępowanie w chwili kiedy intonowano wspólny śpiew — *Czerwonego Sztandaru* albo *Międzynarodówki* — bo zbiorowy śpiew, zwłaszcza męski, nieco mnie śmieszył i przypominał szkołę. W okresie „Solidarności”, gdy po każdym zgromadzeniu śpiewano *Boże coś Polskę*, przeżywałem zbliżone uczucia. Myślę, czy ludziom mądrym i odważnym wspólny śpiew istotnie jest potrzebny. Dziś w Polsce brzmia pieśni w kościołach, nad grobami i na drogach pielgrzymek. Telewizja francuska dość często pokazuje wnętrza kościelne wypełnione śpiewającym tłumem i to jest już niemal obowiązkowy szablon, tak się Francuzom przedstawia współczesny polski folklor. Ale ja w tym śpiewającym tłumie dostrzegam twarze inte-

lektualistów, dla mnie to nie jest folklor. Naturalnie, zdaje sobie sprawę z wszystkich przyczyn, jakie doprowadziły do wzrostu praktyk religijnych wśród inteligencji. A jednak zastanawiam się: co będzie dalej, co będzie z myśleniem, co z życiem umysłowym — czy „drugi chrzest Polski” nie uczyni z Polaków narodu odprawiającego swoje patriotyczno-religijne obrzędy i nie rozumiejącego spraw świata.

W czasie nabożeństw studenci śpiewają pieśni konfederatów barskich. Jest w nich staropolska nieforemność języka i czysty, przejmujący ton. Śpiewali je Rycerze Maryji przeszło dwieście lat temu w pierwszym z polskich powstań narodowych. Rycerze Maryji to była dzielna, pocziwa młodzież szlachecka, nienawidząca Rosji i Familii z narzuconym przez nie królem Ciołkiem. Rycerze Maryji nienawidzili także reform społeczno-politycznych. Bronili złotej wolności wraz z *liberum veto* i czuli najgłębszy wstręt do wszystkiego, co zostało później nazwane polskim Oświeceniem. Pod względem umysłowym Konfederacja Barska była katastrofą. Bohaterską katastrofą. Konstytucja 3 Maja wyszła z obozu jej wrogów, ze stronnictwa reform. Potem nadciągnęła Targowica. W jednej z rozmów paryskich Mickiewicz, gdy towarzystwo potępiało Targowicę w zgodnym oburzeniu, przypomniał że wśród szlachty, która ją poparła, było wielu dawnych konfederatów barskich, szczerze przekonanych, że nadal bronią patriotycznych i religijnych swobód. Byli to ówczesi Prawdziwi Polacy.

Wciąż mam w uszach głos wołający do mnie przez telefon: — Słuchaj, może nie powinnam tak mówić, tu wszystko się pomieszało, wszystko zalane wodą święconą z alkoholem, i my się z tego nie wydobędziemy! jeszcze długo z tego się nie wydobędziemy...! — Ktoś się upił w Warszawie i nie zważając na podsłuch chciał z siebie wypłuć jakąś wewnętrznie ocenianą prawdę.

Wielu dawnych konfederatów barskich walczyło przeciw Targowicy i w Powstaniu Kościuszkowskim, a przedtem, jak Pułaski, w wojnie o niepodległość Ameryki Północnej (to jakby dzisiaj Bujak nagle się objawił w Salwadorze na czele lewicowej partyzantki). Zagmatwane są polskie dzieje i tym bardziej upiększa się je retuszami, usuwając to co nietwarzowe. Dziś nietwarzowa jest czerwień, *czerwony* oznacza śmiesznego diabła, reżim sowieckich agentów. Tej barwy nie da się jednak z polskiej historii wywabić, bo byli czerwoni Styczniowcy i czerwony sztandar PPS. W roku 1945 była czerwona łódzka *Kuźnica*, która wzięła nazwę po Kołtatajowskiej. Na tej łódzkiej *Kuźnicy* wychowywało się pokolenie, które niebawem — jak Kołakowski i inni — odrzuciło

marksizm, a jej roczniki po latach wertował z przejęciem Adam Michnik.

Piszę tu o gestach liturgicznych, o śpiewach i znakach. W moich latach uniwersyteckich nieraz przed południem szedłem w pochodzie, wznosząc z zaciśniętą pięścią okrzyki przeciw faszyzmowi, a po południu u państwa Zenowiczów odstukiwałem w nieomalowane drzewo, ilekroć w rozmowie nieopatrznie wymknęło mi się beztróskie słówko. Rodzice M. byli przesądni. Obydwa gesty — zaciśnięta pięść i stuknięcie knykciem — miały na celu odpędzenie złych mocy. Pierwszego nauczyłem się od socjalistów, drugiego od Zenowiczów. Znakiem krzyża w domu M. kreślono się jedynie w chwilach doniosłych, w chorobie albo przed podróżą, i również to sobie przyswoilem. Kiedy osiem lat temu przywiozłem M. z zachodniego Berlina na operację do Warszawy, położono ją w trzyosobowym pokoju ze starszą panią, Wilnianką, i robotnicą z Ursusa. Przed operacją zjawił się ksiądz pełniący w szpitalu kapłańskie obowiązki. M. uprzejmie odmówiła spowiedzi. Ksiądz nie okazał się dobrym psychologiem: zaczął ją straszyć piekłem, dając do zrozumienia, że operacja jest poważna. Wówczas M. jeszcze uprzejmiej odmówiła. W tydzień po operacji, myjąc się w łazience przyległej do pokoju, usłyszała jak robotnica z Ursusa przemawia do starszej pani z Wilna: — Co mi tam pani mówi „niewierząca”! Żydowica i tyle. A on nie. Bo jak ją wieźli na operację, to ją przeżegnał.

W małym normandzkim kościele, w ścianie kaplicy jest wmurowana płyta ku czci okolicznego magnata, który w XVII wieku zapoczątkował eksport perszeronów do Kanady. W kościółku na Podhalu nie byłoby łatwo wmurować tablicę upamiętniającą zasłużonego hodowcę baranów. Odwieczne i nieprzyzwoite zmateralizowanie Zachodu... Dlaczego akurat teraz mi się to przypomina, nie mam pojęcia. Pisałem o zbiorowych gestach. Kiedy wykonują je wszyscy razem i jednocześnie, „nie jestem zadowolony”, jak mówił w szpitalu pan Badi. Na szczęście w Polsce narodowy humorek często pokrapia symbole i wygasza patos. W zeszłym roku kilkaset osób zebranych przed kościołem na Żoliborzu witało Adama Michnika, który tylko co wyszedł z celi. Wznoszono okrzyki na jego cześć, Michnik był trochę zmieszany. — Adaś, pokaż zając... — szepnął wówczas ksiądz Popiełuszko. W polskim alfabecie podobno nie ma znaku zwycięstwa, za to w mazowieckim pejzażu jest zając. Cóż to za scena. Płomienny inteligencki synek z polsko-żydowsko-marksistowskiej rodziny i żarliwy kapłan, syn chłopski, złączeni wspólną wiarą i dowcipem, obaj z *dawnych bohaterów*. Dzisiaj jeden znów jest w celi, a drugi, męczennik, w grobie przed tym samym kościołem. „Wszyst-

kie nasze codzienne sprawy...” śpiewaliśmy w klasie. Takie są polskie codzienne sprawy. Wypełniając tu w różnych formularzach rubrykę *nationalité*, wpisuję *polonaise* i przez chwilę się zastanawiam. Od dawna utożsamiam moją narodowość z przynależnością do polskiej inteligencji, a ściślej do jej części wyzwolonej z nienawiści i przesądów. Nazywano ją kiedyś postępową. Była to — i może jest nadal — jakby osobna społeczność w narodzie, o własnych obyczajach, sposobie odczuwania i myślenia. *Solidarność* znacznie poszerzyła moje pojęcia o tej społeczności, zetknąłem się z inteligencją katolicką i z typem inteligenta-robotnika. W owym czasie wiele spraw się odsłoniło, różnych, dobrych i mniej dobrych. W zadumie nad formularzem zadaję sobie pytanie, jak określiłaby moją narodowość robotnica z Ursusa, albo działacz Ruchu Młodej Polski czy Konfederacji Polski Niepodległej, jak określiłby ją urzędnik prokuratury generalnej lub major wojska polskiego — jak by ją określili, gdyby zapoznali się z wszystkimi moimi poglądami i metrykami rodzinnymi. Dowiedziałem się z prasy emigracyjnej, że korespondent warszawski *New York Times* zapytał na konferencji prasowej rzecznika rządu, czy uważa za słuszne, że na procesie Adama Michnika w Gdańsku określono go jako obywatela polskiego narodowości żydowskiej, gdy tymczasem Michnik sam określa swoją narodowość jako polską. Rzecznik rządu wyjaśnił: — Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy każdy obywatel polski ma prawo sam określać swoją narodowość, czy też uznaje się narodowość za fakt obiektywny. — Po czym zwrócił się do korespondenta: — Czy pan, panie Kaufmann, uważa to za rzecz uwłaczającą? — Aby w pełni odczuć demonizm tej scenki, trzeba by wiedzieć że nie tylko Michnik jest Żydem z pochodzenia, i nie tylko korespondent *New York Times*, lecz również rzecznik rządu.

Gdybym umiał się modlić, tak bym się pomodlił: „Panie, moją ojczyzną wolną są ludzie uznający moją narodowość, którą sam określiłem, moja ojczyzna jest tam, gdzie wolno mi wypowiadać moje własne, indywidualne słowa i wykonywać moje własne, prywatne gesty”.

Listopad

Przed dwoma tygodniami przysłało mi numer warszawskiego miesięcznika z jubileuszowym artykułem wstępnym. Moje nazwisko znalazło się w końcowym fragmencie: „Przecież wszyscy nasi twórcy cieszący się dziś jakimś rozgłosem w świecie zawdzięczają to książkom, sztukom, filmom, obrazom, plakatom i party-

tuom tu w Polsce powstałym. Dotyczy to także nie wydawanych niegdyś w kraju Miłosza i Gombrowicza. Nie istnieliby, tak jak istnieją w kulturze świata, gdyby nie byli tu, dla nas, w Polsce, ważni i znaczący. Wydawcy zachodni, wydawcy, nie politycy, jeśli zasięgają ich opinii o książkach krajowych, to częściej jeszcze zasięgają naszej o ich produkcji". Prócz oczywistych przeinaczeń w przypadku Gombrowicza i Miłosza (począwszy od *Transatlantyku* i *Zniewolonego umysłu* cała ich twórczość powstała na emigracji) razi w ostatnim zdaniu zła polszczyzna. Ale cytuję dalej: „Czy np. istnieje w świadomości kulturalnej Zachodu londyńska pisarka Herminia Naglerowa, nie gorsza przecież rangą od Kazimierza Brandysa? Nie istnieje, bo nie istniała nad Wisłą, bo jej twórczość nikogo tu nie obchodziła". I nieco dalej: „Tu, u nas, stoją szafy biblioteczne polskiej literatury, tu porządkuje się jej zasoby i tu ustala się rangi pisarskie na całym świecie obowiązujące. Nie w kawiarni, nie w kościele, nie w KC. A raczej i w kawiarni, i w kościele, i w KC. Jakos to się później wypośredkowuje i na ogół jednak dobrze wiadomo, kto jest kto i na ile się liczy".

Rzecz jasna, uderzyła mnie wzmianka o Herminii Naglerowej. Została przedstawiona jako londyńska pisarka nie gorsza rangą ode mnie, lecz nie istniejąca w świadomości kulturalnej zachodniej i polskiej. Intencja niezycliwa w stosunku do niej i zapewne do mnie, ale coś się tu chyba źle wiąże. Bo skoro Herminia Naglerowa nie istniała nad Wisłą i dlatego nie istnieje w świadomości kulturalnej Zachodu, a jest „nie gorsza przecież rangą od Kazimierza Brandysa" — to czy należy przez to rozumieć, że literacko jesteśmy tyle samo warci, z tą różnicą, że moimi książkami interesowali się zachodni wydawcy, ponieważ istniałem nad Wisłą? To byłoby pocieszające. Najzabawniejsze, że autor tych uwag tłumaczył na francuski moją prozę.

Dodam jeszcze, że mojej twórczości nie lansowali na Zachodzie krajowi opiniodawcy. Po Październiku 1956 redakcja *Les Temps Modernes* postanowiła wydać numer poświęcony współczesnej literaturze polskiej i Jan Kott przywiózł do Paryża wybrane w Warszawie materiały. Kiedy redakcja *Les Temps Modernes* odrzuciła główną pozycję prozy, kilkudziesięciostronicowe opowiadanie zarekomendowane przez Kotta, powstała luka w numerze. Wówczas Kott niechętnie — jak sam mi opowiadał — wyciągnął z teczki *Obronę Grenady*. Taki był początek mojej współpracy z *Les Temps Modernes* i obecności moich książek na zachodnich rynkach wydawniczych. Nie wszystko się wypośredkowuje między kawiarnią, kościołem i KC.

Pośrednikami między fałszem a prawdą nazywam ludzi celu-

jących w zacieraniu granic, w zmiękczeniu zasad i swataniu przeciwników. Z czasem ta wypośrodkowująca umiejętność staje się ich prawdziwym fachem. Znałem kilkunastu niezmiernie zręcznych swatów i kilka wybitnych stręczycielek. Były to osoby nadzwyczaj towarzyskie i często sympatyczne. Nieraz w rozmowie przytaczam dawne rodzinne powiedzonko, zapamiętane z dzieciństwa: „Wóz mu odjechał”. Chodziło o chłopa, który na jarmarku załatwiał się za wozem. Pośrednicy i swatki w roku 1980 znaleźli się w drastycznym położeniu. Przez lata załatwiali na jarmarku swoje sprawy między dwoma wozami i raptem obydwa rozjeżdżały się w przeciwną stronę.

Miesięcznikiem jest oczywiście *Twórczość*, dla której zachowałem nieco ciepłych uczuć choćby przez pamięć moich książek drukowanych w jej zeszytach od roku 1945, w całości lub fragmentach. A także przez sentyment dla Iwaszkiewicza. Nie zapomnę, jak przyszedłem do redakcji na Wiejskiej po złożeniu rękopisu *Matki Królów* i Jarosław przyjął mnie z kwaśną miną. — A, napisałeś paszkwil na partię i nie używasz *który, która, które!* — W drugiej sprawie miał rację. Czułem wtedy niechęć do tego zaimka.

Prawdopodobnie obecną misją *Twórczości* jest stwarzanie wrażenia, że literatura w kraju prosperuje normalnie, że nic się nie stało cztery lata temu w grudniu, a jeśli ktoś ubył, to znaczy że nie miał wybitnej rangi. Kilka poważnych nazwisk autorskich w numerze jubileuszowym zdaje się potwierdzać ów stan rzeczy. Jednakże w numerze brak wielu innych ważnych nazwisk — pisarzy, którzy od lat drukowali swoje utwory w *Twórczości*, a teraz drukować w niej nie chcą. Zasypywanie rowu nie idzie tak łatwo, wbrew pozorom. Używam tego określenia, „zasypywanie rowu”, bo użyto go wielokrotnie w trakcie chaotycznej dyskusji, jaka odbyła się tutaj w prywatnym mieszkaniu, bodaj jeszcze we wrześniu, z udziałem około trzydziestu osób. Takie dyskusje urządza się co pewien czas, zwykle z okazji czyjegoś przyjazdu z kraju. Tym razem przyjechał znany dziennikarz, były członek zespołu *Polityki*. Wyszedłem z tego spotkania poirytowany, zwyczajnie mówiąc: wściekły, gdyż przez trzy godziny trwało coś w rodzaju sejmiku, z przekrzykiwaniem się, z niedorzecznymi pytaniami i wnioskami. Jakiś nietrzeźwy mężczyzna bezustannie przerywał mówcom, domagając się, aby każdy z dyskutantów wymienił swoje nazwisko i zawód (nie wszyscy mieli ochotę, bo na takich zebraniach są również osoby z kraju i te często wolą zachować incognito). Ktoś inny natarczywie dowiadywał się o przyczyny rozpadu życia małżeńskiego pewnej osobistości politycznej. Pod koniec część zebranych wyniosła się do przyległej kuchni, gdzie

opróżniono lodówkę gospodarzy, i dyskusję uniemożliwiły odgłosy wesołej pijatyki, którą przyciszano okrzykami: — Hej, trockiści, uspokójcie się!... — Miałem uczucie, że wróciłem do PRL i znowu tkwię w niechlujnym bezsensie. Na początku jednak w pytaniach często się przewijał temat „zasypywanego rowu”. Kilka osób wyraziło niepokój, czy rów dzielący władzę od społeczeństwa nie staje się płytszy, czy nie zasypują go ludzie skłonni do kompromisów i zamazywania różnic. Wymieniono parę nazwisk, mowa była także o kabarecie *Pod Egidą* i tygodniku *Polityka*, który nadal istnieje mimo opuszczenia redakcji przez znaczną część zespołu po 13 grudnia. Padły uwagi o reportażach i artykułach pozorujących krytykę reżimu, o satyrze chłoszczącej rząd w salce, w której najlepsze miejsca rezerwuje się dla ministrów przydzielających mieszkania i samochody. I o innych przejawach zmiękczenia, pośredniczenia, przejednywania i tworzenia atmosfery „najlepszego ze światów”. Przypuszczalnie do rzędu tych zjawisk należy również *Twórczość* ze swoim eklektyzmem i apolityczną literackością (pałki nie mieszczą się w czystej sztuce). W pewnej chwili poprosiła o głos pani siedząca nieco z boku, przedstawivszy się jako lekarka z kraju. Sens jej uwag był taki: ludziom jest potrzebna do życia tkanka łączna — to, co nazwano tutaj „zasypywaniem rowu”, często jest wypełnianiem próżni — jej znajomi rozchwytyują nagrania kabaretu *Pod Egidą* — czy byłoby lepiej, gdyby podobne teatryki nie istniały? Osobę tę zakrzyczano.

Dopiero po powrocie z zebrania uświadomiłem sobie, że mimowoli została stwierdzona przez tę panią rzecz charakteryzująca lata codzienności w Polsce Ludowej. Zasypywanie rowu, wypełnianie próżni... Właściwie od początku trzeba było zasypywać i wypełniać. Życie wybuchało na krótko co kilkanaście lat, w październiku, w marcu, w sierpniu, po czym znowu wypełnialiśmy próżnię i zasypywaliśmy rów. Tygodnik *Polityka*, zanim opuściła redakcję uczciwsza część zespołu, spełniał przez dwadzieścia pięć lat identyczną rolę w grze tworzenia pozorów obywatelskiego krytycyzmu, jaką spełnia dzisiaj. To samo dałoby się powiedzieć o scenie *Pod Egidą* z jej antyrządowymi kupletami. I przez wszystkie te lata — niestety — ludziom było to potrzebne. Było potrzebne zapełnianie pustki, pośredniczenie między fałszem a prawdą i zmiękczenie przeciwieństw, bo dla większości ludzi to był najlepszy sposób na życie, a może inaczej: najbardziej podobny do życia. Mówię o sposobie czy rodzaju istnienia w systemie zamkniętym od góry i z zewnątrz. Ale mówiłem także o „uczciwszej części zespołu”. Dla życia — w najważniejszym znaczeniu tego słowa — jest konieczne, aby istniała uczciwsza

część zespołu (z *Polityki* ta uczciwsza część przeszła do pisma związku niewidomych, w czym kryje się pewnie jakaś alegoria). Na razie obecna *Polityka* ma swoją publiczność, najpewniej taką jak poprzednia; w systemie, który jest przekleństwem dla ludzi, publiczność zachowuje niektóre naturalne zwyczaje i odruchy, np. kupowania gazet. Być może powinienem jeszcze dodać, że cała ta gra, polegająca na tworzeniu zastępczego życia, nie byłaby do wytrzymania dla większości ludzi, gdyby nie zbiorowe poczucie, że nad ich głowami toczy się walka między dobrem a złem, która za jakiś czas spowoduje kolejny wybuch życia autentycznego.

Dziś nadeszły dwa listy, jak gdyby aneksy do tych uwag. Jeden pisany w Nowym Jorku po występie dawnego kabaretu *Pod Egidą*, który przyjechał z kraju na całkowicie oficjalne amerykańskie *tournee*: „Ogromna sala była wypełniona po brzegi — dostawiane krzesła. Dawno się tak nie śmiałam. Cała sala po prostu ryczała z radości, brawa nieomal po każdej kwestii. Po wyjściu Monika słusznie zauważyła, że właściwie należało płakać nad niedolą tego kraju, upodleniem, zakłamaniem, zapiciem. Wszystko z czegośmy się śmieli — głęboko tragiczne”.

Drugi list przekazano mi od przyjaciela z Warszawy: „Piszesz, że ciężko przeżywasz sprawy publiczne, i pytasz, czy ja mam jakąś nadzieję. Na pozytywne przemiany w kraju, zwłaszcza zaś w niedalekiej przyszłości — nie mam. Ta, którą mam, dotyczy tego, co już jest i nie wygląda na to, żeby mogło zostać zdławione (przy obecnej skali terroru; bo, oczywiście, masowe mordy i wywózki na Sybir załatwiłyby wszystko, ale z kolei wątpię, czy się na to zdobędą). Chodzi mi o to „drugie życie”, które rozwinęło się w Polsce w o wiele szerszych niż 7-8 lat temu środowiskach i które dla wielu jest życiem pierwszym i nieomal że jedynym, mimo istnienia za oknem, w gazecie i telewizorze tego oficjalnego, ostentacyjnie obrzydliwego. Powstały takie związki międzyludzkie, takie „struktury” (nie lubię tego słowa), takie uporczywe aspiracje i realizacje — w domach prywatnych, w kościołach, w sieci redakcyjno-wydawniczo-kolportażowej, w gronach zawodowych (np. plastyków, lekarzy, kolejarzy), i nie tylko w takich, że wprawdzie nie jest to w sumie „państwo podziemne”, ale jest „inne życie”, w którym tkwiąc można wytrzymać, a nawet można niekiedy czuć się szczęśliwym”.

Nie dość wyraźnie omówiłem tu sprawę mojego udziału w zasympywanu rowu. Powieść *Obywatele* i przedtem *Człowiek nie umiera*, obydwie te książki były cegłami zamurowującymi próżnię. To, że *Obywateli* w roku 1954 naprawdę czytano, niczego nie zmienia. Już po roku w Szczecinie ktoś, kto chciał nabyć wiadro w spółdzielni, musiał równocześnie kupić moją książkę. Zawia-

domiła mnie o tym żona znajomego plastyka w czasie wakacji nad morzem. Należałem do uczciwszej części zespołu, niemniej byłem przeświadczony, że rodzi się — w bólach — nowe, obywatelskie społeczeństwo. Nie będę tłumaczyć, jak to było i dlaczego tak było. Zaniepokojonych i spragnionych wyjaśnień mógłbym zapewnić, że uważam to za swoją winę, a także opowiedzieć dalszy ciąg. Bo jest istotne, co się później robi ze swoją winą. Parokrotnie jednak, kiedy dotknąłem tych spraw, przekonałem się, że ówczesnych mechanizmów psychologicznych nie da się dziś zanalizować tak, aby stały się możliwe do pojęcia dla studentów zainteresowanych niedawną przeszłością. W każdym razie, jeśli się do tej przeszłości wraca, nie można jej zbywać takimi epitetami jak „zdrada narodowa” lub „agenci Moskwy”. Lepiej używać zdań złożonych. Na przykład Kundera w kilku swoich esejach i wywiadach twierdził, że totalitaryzm to nie tylko piekło, lecz równocześnie sen o raju — stare marzenie o świecie, w którym wszyscy żyją połączeni wspólnym szczęściem i wiarą — i gdyby totalitaryzm nie eksploatował tych marzeń, tkwiących głęboko w nas wszystkich i zakorzenionych we wszystkich religiach, nie zdołałby przyciągnąć tylu wartościowych ludzi.

W zeszłym tygodniu otrzymałem w kopercie nadanej z Warszawy stronicę wyciętą z pisma *Przegląd Tygodniowy*. Piotr Kuncewicz cytuje pierwsze zdanie mojej powieści napisanej trzydzieści pięć lat temu, zdanie, w którym złorzeczę generałowi Borowi-Komorowskiemu za jego rozkaz wydany 1 sierpnia 1944 roku. Nadal uważam ogłoszenie powstania w Warszawie za decyzję nieodpowiedzialną. Pisałem wówczas te słowa w zgodzie ze sobą samym, w przeświadczeniu o swojej racji i wbrew przeświadczeniu większej części społeczeństwa. Zdanie brzmi strasznie. Nazywając mnie „autorem wielkich win i niemałych zasług” Kuncewicz pisze tak: „Nie zawsze jest to twórczość sympatyczna — na to autor jest nadto pewny siebie. Ale bez uwzględnienia jego przygody duchowej, jego pychy, jego opinii i dokonań literackich rozmowa o inteligencji polskiej jest rzeczywiście niemożliwa. Inteligencji przez niego równie wyklinanej, co ubóstwianej, prawdziwej soli ziemi i nadziei świata”.

Rozumiem, mogę być niesympatyczny. Ale ja — i pycha? Miło być posądzonym o wadę, której brak zarzuca się sobie samemu.

W Polsce mają nastąpić zmiany w rządzie po wyborach, których społeczeństwo nie wygrało. W pierwszą rocznicę śmierci na grób księdza Popiełuszki ściągnęło dwadzieścia tysięcy ludzi (na pogrzebie było pół miliona). Słyszałem przez radio jak śpiewano nową pieśń: „Ojczyzno ma!...”. Był to potężny ryk, grzmot,

zdawało się, że żywioł o takiej sile zdruzgotuje wszystko, co stanie mu na drodze, i przypuszczalnie to jest jedyne czego rząd jeszcze się boi.

Szkie fabularne zarysowują mi się najczęściej w snach. Po przedniej nocy sześliśmy z Marianem i z grupką francuskich elewów wojskowych w błękitnych kepi na jakąś rewię czy akademię. Szliśmy przez wiejski krajobraz, Marian bardzo młody i przedwojennie ubrany, w dużym beżowym kapeluszu, a obok nas milcząca dziewczynka w pelerynie prowadziła na smyczy psa, owczarka. Potem Marian zniknął, szukałem go i nagle w dole, u podnóża góry, widzę stojącą małą figurkę matki. Zstępujemy z Marianem ze wzgórza, ostrożnie, żeby jej sylwetka się nie rozwiała. Za nami schodzi dziewczynka z psem. Raptem pies zrywa się ze smyczy i pędzi w dół wzniciając kłęby kurzu. Gdy kurzawa opadła, matki już nie było.

Cała młodsza część życia, ta spędzona z rodzicami, staje się coraz bardziej upoetyzowana i jakkolwiek nie zawsze była przyjemna, teraz nabrała cech baśniowych. Sen, który tu opisałem, stopniem fantastyczności i tajemniczym nastrojem niewiele się różni od moich wspomnień. Praca pamięci, ewokując prawdziwe fakty i sceny, wytwarza sentymentalną nadwartość; dzieciństwo, park, szkoła przemieniają się w niewiarygodne, bajeczne obrazy i czasami trudno wyznaczyć granicę pomiędzy myślą o przeszłości a snem. Przy czym zarówno w snach jak i wspomnieniach podlega się biblijnym przekazom, osoby matki, ojca i brata są podniesione do rzędu świętości, są Matką, Ojcem i Bratem. Obserwuję niemal z podziwem, jak — mimo trzeźwej i dość krytycznej pamięci — te wczesne lata ukazują mi się oczyszczone z wszystkiego, co nie jest potrzebne do bajki, i jak moje dzieciństwo, na mocy praw starszych i silniejszych ode mnie, wchodzi w psychosferę mitu. To jest nowe doświadczenie, chociaż można je było przewidzieć, bo zostało opisane. Podobno wszystko już było opisane, a jednak do końca jest zaskakujące i człowiekowi, któremu na starość przypadł los Króla Lira, nie ma co tłumaczyć, że dawno opisał to Szekspir.

W Zaduszki pojechaliśmy na cmentarz Montmartre, gdzie jest grób Stendhala. Na płycie leżało parę zakurzonych sztucznych kwiatów — widocznie czytelnicy *Czerwonego i czarnego* rzadko tu przychodzą. Pisał tę książkę niezbyt daleko stąd, na rue de Richelieu; także niedaleko stąd poraził go na chodniku udar mózgowy. Grób jest zaniedbany, tablicę z płaskorzeźbą ufundowali wielbicieli w pięćdziesiąt lat po jego śmierci. Próbowaliśmy wyobrazić sobie jego pogrzeb, na którym było mało osób. Długo nie mogłem odejść. Czułem to, co się zwykle przeżywa w takich

razach: trochę przejęcia i smutku (nagrobek sprawiał wrażenie, że leży tu ktoś całkowicie zapomniany), daremny wysiłek, żeby usłyszeć czyjś głos sprzed półtora wieku, litość dla siebie i zmarłego, myśl o czasce, piszczelach, robakach... Nad grobem Stendhala doznałem ponadto uczucia zbliżonego do pocieszenia i nieoczekiwanej satysfakcji. Było to zdanie jak gdyby wyszeptane za moimi plecami: „dał się nabrać Napoleonowi...”. To, że taka myśl przyszła mi do głowy nad grobem autora *Pustelni Parmeńskiej*, może się wydać niestosowne, ale fakt pozostaje faktem: człowieka tak inteligentnego i nieskłonного do złudzeń urzekł bonapartyzm, włącznie z cesarstwem, tyranią i straszliwym przelewem krwi, uważanym przez niektórych historyków za ludobójstwo *avant la lettre*. W chwili upadku Napoleona Stendhal miał 32 lata. Był człowiekiem, który lubił życie. Odstawiwszy na bok paru gigantów, takich jak Dante czy Szekspir, pisarzy można by podzielić z grubsza i prywatnie na tych, co lubią życie, i na tych, w których życie budzi odrazę. Jednych od drugich najlepiej odróżniają postacie kobiet w ich twórczości — panna de la Mole, panie Rênal i San Severina, każda z nich uosabia sympatię Stendhala do życia. Zdaje się, że ci, którzy czują sympatię do życia, łatwiej dają się nabierać despotom i prorokom. Przeczytałem niedawno tom esejów Orwella. Trudno w nich zauważyć ciepły stosunek do życia, ale z pewnością ich autor był pisarzem, który nie dał się nabrać. W czasie gdy intelektualści ulegali zbiorowym psychozom, kiedy poetów hipnotyzowały dyktatury i komunizm, Orwell dostrzegał pozerskie fałszy i małości, przewidywał rzeczywiste niebezpieczeństwa i we wszystkim miał rację. Rzadko się zdarza, aby ktoś do tego stopnia się nie mylił, aby miał rację tak nieodpartą a zarazem wyrażoną w sposób tak spokojny i logiczny. W trakcie lektury zdawało mi się, że mówi do mnie komputer zaprogramowany na niesympatyczne prawdy o świecie. Przypuszczam, że Orwell był właśnie tak zaprogramowany — jakby natura uodporniła go na wszelkie iluzje i nadzieje, dając mu od urodzenia wiedzę o prawach życia. Niewielu autorów przekazało równie przygnębiający obraz swych lat szkolnych i niewielu wyciągnęło z nich tak zdecydowane wnioski: „Gdzieś od czternastego roku życia wierzyłem w Boga i w to, co o nim opowiadano. Ale świetnie zdawałem sobie sprawę, że Go nie kocham. Wręcz przeciwnie, nienawidziłem Go, tak jak nienawidziłem Jezusa i patriarchów hebrajskich. Jeśli miałem jakieś uczucia sympatii dla postaci ze Starego Testamentu, to dla takich ludzi jak Kain, Jezabela, Haman, Agag i Sysara. W Nowym Testamencie moimi przyjaciółmi, jeżeli ich w ogóle miałem, byli Ananiasz, Kaifasz, Judasz i Poncjusz Piłat”.

Naturalnie takie wyznania o dziecięcych latach zazwyczaj są nieco żartobliwe i nie należy ich traktować dosłownie. Chyba jednak w tym przypadku wynikały z przeżytych doświadczeń. W szkole wstępnej St. Cyprian's kilkunastoletni chłopiec odkrył zasadę świata — przemoc wobec słabych i upokorzenie biednych. Nie sądzę, aby mały Orwell naprawdę nienawidził Jezusa, lecz najpewniej z tych lat pozostało mu zrozumienie nienawiści: rozumiał, czym są jej męczarnie. Również w tym względzie potrafił być obiektywny i mówić rzeczy przykre. W recenzji z *Mein Kampf*, pisanej w roku 1940, oświadczył, że nigdy nie udało mu się znienawidzić Hitlera, gdyż czuł w nim coś głęboko pociągającego. Tak pisał o jego fotografii: „Widać na niej żalosną psią twarz człowieka cierpiącego męki nie do zniesienia, podobną do twarzy Chrystusa ukrzyżowanego, lecz bardziej waleczną, i niewątpliwie Hitler sam siebie tak właśnie widzi. Można się tylko domyslać pierwotnej przyczyny jego osobistego żalu do świata; ale bez wątplenia żał ten w nim istnieje. Jest męczennikiem, ofiarą, Prometeuszem przykutym do skały, bohaterem, który poświęca się tocząc w pojedynkę nierówną walkę”. To nie oznacza, że Orwell kochał Hitlera, to znaczy tylko, że rozumiał jego nienawiść (podobnie jak rozumiał wściekłość Céline'a i obrzydzenie Henry Millera). Może trzeba było rozumieć tak nieprzyjemne sprawy i mieć tyle odporności na sugestie i pokusy świata, aby napisać *Rok 1984*.

George Orwell był przenikliwym i nieugiętym człowiekiem. Pozostawił po sobie najgroźniejszą wizję nowoczesnej cywilizacji niewolniczej. Czytając jego książki zaczynam gwałtownie tęsknić za opisem letniej nocy w miasteczku Verrières, kiedy Julian w ciemności dotknął ręki pani de Rênal. Dawno temu w Mediolanie znajomy wydawca przekonywał mnie, że wizja Orwella nigdy się nie spełni, przeciw czemu oponowałem powołując się na ówczesne osiągnięcia chińskie. Nie wiadomo kto miał rację. Dobrze pamiętam tę rozmowę, ponieważ byłem wtedy w czarnym garniturze z błyszczącej i niezwykle cienkiej alpaki, zakupionym na bazarze w Rembertowie, i gdy w trakcie wymiany poglądów założyłem nogę na nogę, materiał pękł i z pęknięcia wyjrzało moje nagie kolano.

Z docierających relacji o kraju nie wyłania się monumentalna wizja orwellowska. Francuskim intelektualistom katolickim, którzy byli niedawno w Polsce, częściej narzucały się analogie z reżimem vichystowskim we Francji. W opróżnione miejsca wlało się błoto, ludzie nędznego autoramentu objęli stanowiska w administrowanej nauce i kulturze. Po raz pierwszy od lat niemieckiej okupacji jest w użyciu termin *kolaborant*, a umundurowany szef

państwa podobno wkrótce ma zostać marszałkiem. Nie lubię źle wróżyć, obawiam się jednak, że większość społeczna zacznie ulegać potrzebie życia i godzić się ze stanem rzeczy, jaki istnieje i jaki będzie istniał. Przyjmie życie zastępcze. Niejednej kabaretowej piosenki jeszcze posłuchamy, gdy *Żeby Polska była Polską* stanie się już hymnem PRON-u. Można się pocieszać tym, że lawa nie ostygnie i mniejszość będzie tworzyć własne zastępcze życie. Widocznie życie normalne nie jest w polskich obyczajach.

Z 70 stron maszynopisu wybrałem fragmenty, około 30 stron, i zrobiłem z nich montaż dla *Kultury*.

Złożono mi kolejną propozycję rozmowy o latach 1949-1953 w literaturze, z uwzględnieniem mojej ówczesnej postawy, i po raz któryś z rzędu odmówiłem, tak jak w swoim czasie Trznadłowi, który zdaje się miał o to do mnie urazę. Myślę, że takie rozmowy lepiej prowadzić ze sobą samym. Wiele pisałem i piszę o tych sprawach w moich książkach, również w *Miesiącach*.

Był ktoś z Warszawy i opowiadał, że nasz bliski znajomy, starszy pan o niepospolitym umyśle i świetnej elokwencji, stracił mowę na skutek wylewu mózgowego i wymawia tylko jedno słowo: Pił...suds...ki...

Z kroniki towarzyskiej. Wczoraj odmówiłem pójścia z wizytą do 80-letniej pani Milly S., twierdząc że i tak niebawem spotkamy się w czystcu. Ale nie unikałem *party* u państwa W. Zimny bufet. Dotychczas ani razu nie udało mi się stać z kieliszkiem, talerzykiem i widelcem i równocześnie prowadzić inteligentną rozmowę. Męczarnia zdawkowości, z przewijającym się wątkiem chorób. W chwili gdy zaczęto rozmawiać o sześćdziesięcioletniej zakonnicy, która umarła na grasującą wśród homoseksualistów chorobę SIDA, wziąłem nogi za pas. Idąc ulicą wysychałem na deszczu. Nazajutrz z wizytą u nas Jan Strzelecki, z którym wspominamy przedwojenne i powojenne sprawy, mówimy też o własnych, osobistych. W rozmowie powracam do daty naszego wyjazdu z Warszawy 4 grudnia 1981 i zaproszenia, które przyszło wówczas z USA. Opowiadam, że ze względu na zdrowie M. mieliśmy do wyboru — albo spędzić zimę w Konstancji, albo w Nowym Jorku, ale dojazd do Nowego Jorku był łatwiejszy, bo stały już wtedy długie ogony po benzynie. Strzelecki śmieje się i mówi: — Powinieneś to zapisać z swoich dzienników. — Myślał, że żartuję, a przecież naprawdę tak było.

Z przejawów zachodniej hipokryzji. Rozmawiam z Francuzem, intelektualistą i animatorem jednego z lewicowych pism,

z Francuzem, który mówi mi tak: — Wasza „Solidarność” musiała upaść, bo jej koncepcja społeczna od początku była anachroniczna. Samorządy, to trąci średniowiecznymi korporacjami. Węgrzy wymyślili nowocześniejszy model: częściowej repywatyzacji kontrolowanej przez państwo. No i to się utrzymało. — Odpowiadam, że jeżeli coś się utrzymało na Węgrzech a upadło w Polsce, to nie przez to, że na Węgrzech koncepcja była dobra a w Polsce zła, tylko dlatego że na węgierską koncepcję zezwoliło sowieckie biuro polityczne a na polską nie. Wtedy Francuz zmienia temat. Wiem, że go nie przekonałem. Nie wiem jednak ile w nim świadomej obłudzie, a na ile wierzy w to co powiedział. Przypuszczam, że zabrnął gdzieś między kłamstwo i dobrą wiarę, w stan ducha, który po polsku nazywa się zakłamaniem, co przetłumaczyć na francuski dosyć trudno.

Z życia literackiego w kraju. Czytając prasę kulturalną, tę przychodzącą z kraju, zaobserwowałem, że reżimowa krytyka literacka przemilcza lub deprecjonuje takich autorów jak Wat, Herling-Grudziński, Marek Nowakowski, Jan Józef Szczepański, których uważa za antykomunistycznych, a w tym samym czasie krytyka literacka związana z opozycją przemilcza innych pisarzy, których uznaje za prokomunistycznych, takich jak Tuwim, Gałczyński, Różewicz. Świadczy to nie tylko o wysokim stopniu politycznego napięcia po obu stronach, ale też o szerokim polskim geście. Mało kto w świecie pozwala sobie na tak pochopne wyrzucanie za burtę dorobku własnej kultury.

Z życia teatralnego. Telefonowała znajoma krakowska aktorka i umówiliśmy się, że przyjdzie w środę. Przyszła z siostrą. Dwie śliczne wysokie pannie (nie używa się już tej nazwy, a była dobra, obrazowa), obydwie refleksyjne, ze świetnym wychowaniem i wysłowieniem — najlepsza kobiecość i polskość. Aktorka mówi z ładnym, nieco smętnym namysłem, jak gdyby dbając o postawienie właściwej diagnozy nad łóżkiem chorego. Mówi o życiu teatralnym w Polsce. O tym, że są trudności repertuarowe, i to osobliwej natury, bo sztuki, które można by wystawić, dziwnie się nie wiążą z nowym stanem rzeczy — tu pada niestety termin „kontekst rzeczywistości” — i byłyby rozminięciem się, nietaktownym a zarazem niedorzecznym rozminięciem z prawdziwym życiem społeczeństwa. Po aresztowaniach, pałkach i zabójstwach co wystawiać: Zapolską, Ionesco, Fredrę? Aktorom coraz mniej chce się grać. Duch narodowy nas dopadł i reżyseruje *happening*’i, jakim żaden teatr nie sprosta.

Z życia filozoficznego. Myśl, którą wyraził niedawno w wywiadzie pewien młody utalentowany autor, jest z rodzaju niemądrych mądrości. Stwierdził, że życie nie ma sensu, gdyż śmierć

mu go odejmuje. Doprawdy? Chyba odwrotnie: śmierć nadaje sens życiu. Bez śmierci nie znalibyśmy pojęcia losu i jeśli w ogóle chcemy mówić o sensie w naszym ludzkim wymiarze, to musimy uznać, że istnieje koniec. Nie tylko początek. Chciałoby się powiedzieć, że do posiadania sensu życia bardziej jest potrzebna śmierć niż urodzenie. Tymczasem autor, który chcąc nie chcąc należy do środowiska warszawskich intelektualistów, oświadczył, że wobec nieistnienia sensu życia za jedynie sensowne wartości trzeba uznać pieniądze, mieszkanie i dziewczyny (niegdyś „kobieta, wino i śpiew”). Zdaje się, że ów kamień filozoficzny leży u fundamentów myślowych realizmu politycznego. Sporo świństw popełniono w imię bezsensu istnienia.

Z poczty. List od znajomej Polki z Brazylii, żony Greka, sprzedawcy ikon, która przetłumaczyła na angielski trzy wiersze Konopnickiej. W liście przywiezionym z Warszawy: „Jest tak jak po upadku Powstania Styczniowego, tylko Zosia jeszcze o tym nie wie”.

G r u d z i e ń

W środę o 9-tej rano autobusem na plac Inwalidów, gdzie przed ambasadą PRL zebrało się około tysiąca osób, aby protestować przeciw głowie rządu polskiego zaproszonej przez prezydenta Francji. Przyszli Polacy i Francuzi. Wśród transparentów niesiono duże czarne okulary. Ruszyliśmy pochodem w stronę Pałacu Elizejskiego, gdy nagle przy moście cara Aleksandra III zatrzymał nas kordon policji w hełmach i z pałkami. Staliśmy na esplanadzie Inwalidów czekając aż pochód znów ruszy. Wdałem się wtedy w rozmowę z dwoma francuskimi dziennikarzami, którzy pytali mnie o bardzo kulturalne sprawy; jednego zwłaszcza interesowały przekłady klasyków literatury francuskiej na język polski. Wspomniałem o Boyu. Nie wiedzieli kim był i nie słyszeli o jego przekładach. Wymieniam więc autorów, których dzieła przetłumaczył: Villona, Montaigne’a, Rabelais, Brantôme’a, Racine’a, Pascala, Moliere’a, La Bruyère’a, Rousseau, Chamforta, Laclos, Musseta, Constanta, Stendhala, Merimée’go, Prousta... — A oprócz tego — mówię — był jeszcze autorem wielu znakomitych książek, krytykiem teatralnym, satyrykiem, lekarzem, wydawcą, działaczem społecznym, walczył o prawo do przerywania ciąży... — Kiedy skończyłem, obaj dziennikarze przyjrzeni mi się, a gdy dodałem: — Przełożył jeszcze w całości Balzaka — uśmiechnęli się grzecznie, po czym tłum nas rozepchnął. Zostałem z tym Balzakiem, znowu ktoś nie uwierzył w polską europejskość. Około

południa pochód się rozwiązał i wsiedliśmy do samochodu z Piotrem Słonimskim, który znalazł kawiarnię niedaleko Inwalidów. Tam oglądaliśmy pożyczony numer *Życia Warszawy*, gdzie piszą o ofensywie zimy na miasta. Czytam: jeździe po raz pierwszy będą pokryte śniegiem — odśnieżanie jest zbyt kosztowne — kto nie umie prowadzić pojazdu na śniegu, powinien go odstawić — poruszanie się pieszych będzie utrudnione, gdyż ograniczy się wywożenie śniegu z chodników — nie należy się spodziewać ogrzewania wewnątrz autobusów i tramwajów — pasażerowie muszą zadbać o ciepłą bieliznę i okrycia — zakładom pracy obcięto zamówienia na paliwa, energię elektryczną i opał — w mieszkaniach jest zimno — włączanie piecyków elektrycznych powoduje natychmiastową awarię sieci. Tytuły: „Autobusy w zaspach”, „Opóźnione pociągi”, „Zamarznęte ładunki”, „Transport w walce z żywiołem”. Dopiero na piątej kolumnie jest pocieszający artykuł pt. „Moskwa w 2000 roku”. Otóż w Moskwie liczba pokoi w mieszkaniach odpowiadać będzie łącznej liczbie członków rodziny plus jeden, wszystkie mieszkania zostaną podłączone do telewizji kablowej i zaopatrzone w videofony, na każdego mieszkańca Moskwy (redakcja *Życia Warszawy* używa nazwy „moskwianin”) będą przypadać 24 metry terenów zielonych, a na północnym wschodzie powstaje jeden z największych w Związku Sowieckim parków przyrodniczych z unikalnym krajobrazem, florą i fauną...

Zamyśliłam się, Piotr mówi pykając fajką: — Warto by sprawdzić co oni założą w tym parku z unikalnym krajobrazem, bo mój kolega spędził dziesięć lat na północnym wschodzie i krajobraz był także unikalny. — Po południu dowiaduję się z radia, że pracownicy *bateaux-mouches* odmówili przyjęcia na pokład cywila w czarnych okularach, który chciał popłynąć wzdłuż brzegów Sekwany. Wreszcie znaleziono jakiś stateczek, by obwieźć go wokół Wyspy i Cité. Przed swoją wizytą w Paryżu usunął ze stanowisk rektorskich i dziekańskich 70 profesorów wyższych uczelni w Polsce.

Francja odwróciła się do niego plecami. W gazetach ukazały się nagłówki *Voyage de honte* oraz fotografie przedstawiające twarz i sylwetkę człowieka w wizytowym ubraniu („człowieczka” — tak nazywał go socjalista Jospin — *ce petit homme...*). Wygłaszając przemówienie stał między tłumaczem-gorylem a majorem Górnickim. Górnicki pośpiesznie notował. Był także w cywilu i jak zawsze w wyglądzie miał coś z nietoperza. Górnickiemu przypatrywałem się specjalnie. Pamiętam, że w 1968 protestował przeciw interwencji w Czechosłowacji i fali rządowego antysemityzmu w Polsce. Gdy odwołano go z placówki prasowej w Nowym Jorku, spotkaliśmy się na premierze *Kordiana* w teatrze

Hanuszkiewicza. Po przedstawieniu Górnicki postanowił nas odwiedzić i w samochodzie zapytał dlaczego jeszcze nie wyjechałem z Polski. — Tu nie dadzą panu pisać, na co pan czeka? — Aparatem rządził wówczas inny generał, ten który splugawił kraj, zaszczuł resztkę Żydów i wyrobił Polakom światową markę antysemickiego narodu. Ten generał o siwych kędziorach spaceruje dzisiaj na Frascatti. Górnicki nie z nim się związał po swoim odwołaniu z USA. Myślę, że nie odpowiadał mu typ szefa bezpieki, półinteligenta. Sprzągł się dopiero z obecnym szefem rządu i partii, naczelnym dowódcą polskich wojsk Paktu Warszawskiego w czasie dobrosąsiedzkiej napaści, przeciw której Górnicki protestował. Potrójna edukacja generała-premiera (gimnazjum ojców zakonnych, gułag i sowiecka akademia wojskowa) wyszkoliła go na zdyscyplinowanego *homme-machine* o mózgu sztabowca. Górnicki, dziennikarz, latami majstrujący w domu komputery, mógł uwierzyć, że nowy szef państwa jest komputerem bezbłędnie zaprogramowanym, który zbawi PRL. Zaczął mu pisać przemówienia. Musiały zadowalać mówcę szlachetną polszczyzną i retoryką patriotycznej racji stanu. Teraz stali obok siebie, a ja patrząc na nich myślałem co zrobić, żeby im stanąć kością w gardle.

Deszcz. Czytam autobiografię Koestlera. Był Węgrem i Niemcem, syjonistą i komunistą, nieśmiałym sensatem i wiedeńskim burszem, Żydem, który nie lubił Biblii i Talmudu, bojownikiem przyszłości, który wróżył koniec świata. Píše o swojej przepoławionej duszy i można się domyślać, jak bardzo go nękała podwójność bytu, zazębianie się dobrych i złych znaczeń. W marksizmie, w żydostwie, w przyrodzie, we wszystkim jest sprzeczna podwójność, nawet w słońcu. Wszystko ma ciemne i jasne znaczenie. Gdyby słowu *dwuznaczny* odjąć ujemny sens i nie pragnąć jednoznacznych odpowiedzi *tak czy nie*, życie stałoby się mniej niepojęte. W deszcz odbyła się potężna manifestacja antyrasistowska, sto tysięcy ludzi szło, biegło, krzyczało od placu Bastylli do placu Opery. Nowy styl: skanduje się hasła melodyjnie, jak refren piosenki, olala! tralala! — i biegnie w miejscu trzymając się pod ręce. Masa młodzieży, różnokolorowa, wrzeszcząca, rozbaawiona, późno już było, szli w półmroku, wśród zapalających się świateł połyskiwały mokre włosy i dresy. Bił od nich silny, gorący prąd i być może, gdyby padł rytmicznie wyskandowany okrzyk, poszliby zabijać rasistów. Ale była w nich także republikańska waleczność, jak pół wieku temu w latach pogardy i nadziei, kiedy zwierzę dopiero podnosiło łeb. Patrząc na nich z chodnika wyobrażałem sobie jak by to było, gdyby dzisiaj w Warszawie tłum

mógł pójść ulicami i wykrzyczeć, wytańczyć swoją prawdę. Ludzi opętałoby, wpadliby w szaleństwo.

Przyjechał Konwicki, miał wieczór w Centre du Dialogue. Salka pękała, ledwie dopchaliśmy się z M. i Olga. Konwicki — jak byśmy widzieli się przed tygodniem, taki sam. Leśno-kawiar-niany, zawsze mi się wydawało, że do stolika na Wiejską przycho-dzi wprost z uroczyska, cały w ochronnych barwach, szary, zie-misty, w kolorze drzew i tłumy, oczy patrzące jak z zarośli. Konwicki — wspaniały w swoich zagniewaniach i czarnowi-dzeniach, niebezpieczny w przyjaźniach. Lubimy się, z napadami wzajemnej złości i słodyczy, przywizały nas do siebie lata pchane razem jak taczki. Mówiłem w chwilach rozdrażnienia: nieszcze-ry Żmudzin, obejmuje pod kolana, żeby ugryźć w łydkę, czterysta lat dłużej czcili bałwany na tych litewskich uroczyskach. Cza-sami, posądzając go o zawiść, myślałem: najbliższy z moich wro-gów. Zanim odbył się jego wieczór na Surcouf, byli u nas oboje i zaczarował mnie. Na jednej strunie wybrzdąkał schrypniętym głosem swoje zaklęcia i wróżby, nikt przez te cztery lata nie ukazał mi Polski tak ostro, z taką widzialnością. Tak zajadła, czuła i bolesna może być tylko miłość bez zakłamań, wściekła, z ner-wami na wierzchu. Kiedy zegnaliśmy się wymęczeni, spytałem go: — Powiedz, skąd tyś się taki wziął, przecież wymarli albo wyginęli do ciebie podobni — na co Konwicki nic nie odpowie-dział, spojrzął w ścianę.

Na jego wieczorze pod koniec zadano mu pytanie w sprawie Rosjan, stosunku Polaków do Rosjan. Właściwie tylko w polskich dyskusjach mówi się dziś „Rosja” mając na myśli ZSSR. Sowie-tolodzy wytykają to jako niebezpieczny błąd, a rosyjscy emigranci czują się urażeni. Człowiek rozsądny powinien się z tym liczyć. Nie ma dziś Rosji — jest ZSSR. Nie należy mówić o Rosjanach, lecz o sowieckim totalitaryzmie. Wszelkie racje, jakie za tym stoją, rozumiem. A jednak trzeba mówić o Rosjanach. Są jedynym na-rodem, który mógłby uwolnić świat od sowietyzmu. Gdyby ustrój komunistyczny został obalony w Jugosławii, Chinach, lub na Kubie, sowiecki totalitaryzm istniałby nadal. Ale gdyby obalili go u siebie Rosjanie, komunizm nigdzie by się nie utrzymał i zniknąłby z powierzchni ziemi. Dlatego mówię o Rosjanach. Ostat-nio — z katolickim intelektualistą, Chirpazem, profesorem filo-zofii na uniwersytecie w Lyonie. Przeczytał francuskie wydanie *Miesiący* i zainteresował go stosunek Dostojewskiego do Pola-ków. Opowiedziałem mu, jak Dostojewskiemu działali na nerwy polscy zesłańcy, współkatorznicy. Patrzył na nich spode łba, ich moralny katechizm, niezłomność, dumne cierpienie za Boga i Ojczyznę, dla niego, który już wiedział ile jest mroku w czło-

wieczństwie... musiało go to drażnić, pewnie ich uważał za szlachetnie zakłamanych głupców. I pewnie nie tylko on. W 1863 Tołstoj, wtenczas już ojciec rodziny, znany pisarz i światły ziemianin, rwał się na ochotnika do armii tłumić polski bunt. Nie zdążył, powstanie upadło. Podobnie dziś wielu Rosjan widzi w polskich zrywach wolnościowych prowincjonalne fuchy, chęć wywyższenia się ponad ogólnoludzką i rosyjską los. Nawet w utworach niektórych dysydentów rosyjskich (Zinowiew) słychać pouczającą nutkę: tak, człowiek sowiecki ma coś z wieprza, ale stoi za nim imperium, i niech wam się nie zdaje, że jesteście lepsi. Polacy wiedzą o tym wszystkim instynktem, przez skórę i zwiększa się przez to ich kompleks wyższości. Mówią: ruscy. Pawizm i papugizm, snobizmy, naśladownictwa, wszystko prawda, a jednak Polacy są europejskim narodem, psychologicznie bliższym Francuzom niż Rosji. W polskim odczuciu życie nie jest chorobą niszczącą duszę, lecz zmiennym i niedoskonałym stanem rzeczy. To jest odczucie zachodnio-chrześcijańskie, takiego stosunku do życia często mi brak w rosyjskich arcydziełach. I wtedy mówię: Rosjanie.

Dowiaduję się, że nasz znajomy, młody naukowiec, dostał paszport po audiencji jego matki u ministra spraw wewnętrznych. Minister przyjmuje na Rakowieckiej. Pod biurkiem ma ukryty komputer, na który zerka w czasie rozmowy: „Pamiętam panią z Łodzi, to było w 1951, pracowała pani w *Książce i Wiedzy*”. Komputer pokazuje dane biograficzne starszej pani, która prosi o paszport dla syna wypuszczonego z więzienia. Minister jest do brzo poinformowany o życiu intelektualistów, przy pożegnaniu całuje w rękę („Trzeba było do mnie przyjść od razu, nie mieliby państwo trudności...”) i może w tym samym momencie kończy się budować sześćset sześćdziesiąty kościół. W Polsce przez ostatnie lata wzniesiono ponad sześćset nowych kościołów, w budowie jest około trzystu. Porównanie tej liczby z ilością nowych szpitali dałoby pojęcie o stosunku między pomocą dla ciała i dla duszy w Polsce. W tych samych latach wybudowano osiedle, w blokach zamieszkali ludzie, nie zaprojektowano kina, czytelnicy ani klubu — ośrodkiem życia umysłowego i towarzyskiego stał się nowo postawiony kościół. Być może o tej samej godzinie, kiedy wybudowano sześćset sześćdziesiąty kościół, odbywa się narada w gmachu KC, na której zapadnie uchwała o zastrzeleniu walki z Kościołem i w puławskim osiedlu wkrótce stanie Dom Kultury, gdzie będą pisma Lenina i wódka. Możliwe, iż w chwili gdy zapadnie uchwała KC, mieszkający w osiedlu młody naukowiec, który nie ma chęci uczestniczyć w rekolekcjach, czytać Lenina, pić wódki ani iść do więzienia, zacznie się starać o paszport i po odmownej

decyzji jego matka poprosi o audiencję ministra spraw wewnętrznych.

Styczeń-luty 1986

W prezencie noworocznym ofiarowałem sobie fragment *Dżokera*, kilka stroniczek, które lubię. Z pewnością już zapomniane, niemalże inedita — od dwudziestu lat nie wznawia się tej prozy. Czemuż by jej nie wznówić w *Miesiącach*? Przytaczam ten fragment belgradzki, pisany zimą 1964 w Chiavari:

„Przemawiają każdy w swoim języku (tylko Rumun, przystojny, z chusteczką w kieszonce, odczytał tekst po francusku) i na ogół z kartek. Ponieważ nic sobie nie przygotowałem, będę improwizował. Krótka narada z tłumaczką. Razem wychodzimy na trybunę, nogi mnie słabo niosą — uśmiech, ukłon, uśmiech. Po chwili brzmi mój polski język, dziwnie dobitnie, jakby z przyciskiem, i od razu mam wrażenie, znane mi już zresztą, że polszczyzna mówiona głośno wybija się klockowatym stukotem, jak meble z ciężkiego drzewa, trochę skrzypiące, lecz gięte, z zakręconymi poręczami. Później przy kolacji Oscar Daviço mi powiedział, że nie wie, o czym mówiłem, ale z przyjemnością słuchał moich *ę* i *ą*: jedyny słowiański język, który zachował nosowe samogłoski. W każdym razie znów stwierdzam to samo co zawsze, ilekroć zabieram głos po polsku w sali, w której przeważają obce języki, że fonetyka polszczyzny ma swoją odrębną siłę wyrazu, szorstką, niewdzięczną, ale niczym nie spieszczaną: żadnych czarów, żadnej śpiewności. Bo te nosowe zakrętasy są tu czymś zgoła innym, raczej ideowym, pryncypialnym: szczęście... bęben... męstwo... wąż... — owe krągłe, głębokie podzwęki samogłosek pedałują znaczenie, w samym słowie, w środku tkwi jego semantyczny rezonans, wepchnięty przydechem do wnętrza. A przy tym rzeczowość tej mowy. Nie skrzętnie prostacza, jak w niektórych innych słowiańskich językach, lecz prawnie-etyczna, zrodzona bodaj w epoce statutów, odgradzająca słowa od słów jak *causae iuris*. W dobrej polszczyźnie niełatwo być retorykiem lub dydakta, język niesie opornie w tę stronę, w jego trzeszczącej muskulaturze nie siedzą abstrakcje, wywala się z nimi na równej drodze. Zasobny w realia jak hipoteka — ale nieporządna, o rozepchanych półkach. Zdania przyciężko wstępujące, drabiniaste zestawy łączone proceduralnymi haczykami — który, która, których... — pełne prymitywnych szelestów (słomy? chrustu? sieczki?) i mysich chrobotów, nagle zacichłych w głębi jakiegoś znaczącego *ą* czy *ę*. W trochę dętej głębi”.

„Po pierwszych słowach wyczułem, że źle mówię. Słyszałem własny głos, jak się przebija przez milczenie sali i grzęźnię w pierwszych rzędach. Potem cichy, nieśmiały szept tłumaczki. Kiedy mówiłem *natura*, ona przekładała *przyroda*, a zagraniczni delegaci ze słuchawkami przy uszach słyszeli jej tekst przekazany z kabin po francusku, angielsku, rosyjsku. Ta kombinacja techniczno-lingwistyczna dawała mi poczucie samotności. Stałem w smutku rzucając niedokończone myśli na kable. Nic do mnie nie wracało, byłem sam na sam z moim głosem. Słyszałem sylaby, wyrazy, ułamki zdań, własną chrypkę, własny oddech. Wiedziałem, że muszę szybko kończyć. Jeszcze jedno *e* i zszedłem z trybuny wśród oklasków”.

„Kiedy wracałem na miejsce, Flamand rzucił mi w przejściu: — *Niek zie Polska!* — Litości, więc zawsze tak z nami? Nikt nas nie zrozumie, nigdy? Te obojętne życziwe oklaski i to *niek zie Polska!* A prawda o nas ukryta w języku, nieprzetłumaczalna, rodzinna. Język, który nas osacza zamiast włączać, język z kluczem, historia z kluczem, literatura z kluczem, a my w środku zamknięci? Wieczne przedsenne marzenie Polaka, które raz na zawsze sformułował Dygat: Odczyt o Polsce... Każdy go wygłasza w łóżku i potem do rana nie może zasnąć. *Chers confrères et amis*, polskie słowo śmierć podobne jest do szelestu kosy w zbożu...”.

„Zeno Argentyńczyk, który spędził kilkanaście lat w Buenos Aires, mówił mi o swoich fiksacjach językowych. Wyjechał z Polski ze świetną znajomością hiszpańskiego i od tej strony nie spodziewał się poważniejszych przeszkód. — Tymczasem, mówię ci, właśnie w języku tkwi źródło choroby — uśmiechał się nieco dziwnie — przez pierwsze lata wariowałem, przysięgam ci, schizofrenia! — Mówił o jakimś ucisku na mózg. W nocy budziły go obce słowa, zasypiał, śniły mu się idiomy. — Nie możesz powiedzieć 'szklanka', nie możesz powiedzieć 'szubrawiec'. Wszystko musisz przełożyć, żyjesz w nieustannym tłumaczeniu. — Miał swoją teorię, według której bolesność życia na obczyźnie, depresje, nostalgie, wszystko wynika z owego gwałtu zadawanego językowi dzieciństwa, który nie daje się zastąpić żadnym innym. Mówił, rozmawiał, wygłaszał nawet prelekcje. Wyznał swoje uczucia, ozeł się, ma dzieci. Ale przez cały czas gdzieś w głębi prześladuje go wrażenie niezupełnej prawdy: — To jest wszystko dobrze przełożone, to jest kongenialne tłumaczenie. Dokonałem przekładu mego życia na hiszpański”.

Odwiedził kraj w 1958 czy 1959 i pierwszy wieczór spędził w barze Pod Kuchnikiem. Na Nowym Świecie, w barze Pod Kuchnikiem upił się i strzelił kogoś w zęby; chodziło o jakąś

malarkę. I był uszczęśliwiony, że może wydawać swoje prawdziwe dźwięki, szczęśliwy jak pies, który się może wyszczekać. Przewracał oczami: — Powiedzieć 'kurwa', powiedzieć 'jakkobgakochoam', tarzać się w tych betach słów, czuć ich cudowny, nieświeży zapach, ty nie wiesz, ty nie wiesz... Mówiłem 'daj pan spokój' i 'odczep się pan'! Mówiłem 'Edek', mówiłem 'Władek'! Słowa mi odmarzały i czułem ciepło w głowie. W głowie! G to jest głowa, ch to jest chleb! Ja wymawia się ja... Bracie, bracie, rozumiesz?"

„Wstać jeszcze raz i wygłosić Odczyt o Polsce? Ta odrobina szaleństwa, której mi brak... Ojczyzna... Naród... Może lepiej po wódce?"

„... Naród? Ojczyzna? *Chers confrères*, ja takich słów nigdy nie odnosiłem do siebie, wydawały mi się nazbyt powłóczyście, nie na moją miarę szyte — ale teraz, tak, teraz od pewnego czasu, jakby okólnymi drogami, doszedłem do nich, wdepnąłem w nie. *Chers confrères et amis*, istnieje uniwersalizm ludzkiej kondycji, ale istnieje również uniwersalizm zbiorowych sytuacji. Dwieście lat temu Polacy wkroczyli w epokę doświadczeń nieznanych. Podbój i niewola narzuciły im nową rzeczywistość, zareagowali na nią wstrząsem i trzydzieści lat później stworzyli narodową literaturę. W ciągu następnych stu lat literatura ta powiedziała wszystko, co jest do powiedzenia. Powiedziała wszystko, co jest do powiedzenia nie o człowieku w świecie pozbawionym wolności, lecz o człowieku w narodzie pozbawionym wolności. Drodzy przyjaciele, nikt nigdzie i nigdy nie powiedział więcej o konsekwencjach niewoli z podboju niż ta prowincjonalna literatura ujarzmionego kraju, lżąc Boga, wskrzeszając zmarłych, kipiąca buntem przeciw rzeczywistości. Jej krzyk trwał przez całe stulecie — i nie został dosłyszany. Wy, ludzie Zachodu, coraz mniej rozumieście istotę samego zjawiska: niewola narodowa była anachronizmem — Belgia, Holandia, Grecja wyzwolone, *Egmont* i *Wilhelm Tell* przerabiane na libretta. Z chwilą gdy temat przechodzi do oper, przestaje być tematem współczesnym. Wkrótce zaczęliście pochłaniać powieści Dostojewskiego, narody były wolne, to człowiek utracił wolność. Zachód przestał się pasjonować politycznym sensem niewoli, widział już tylko niewolę metafizyczną. W tym samym czasie pewien rysownik w cesarsko-królewskim Krakowie napisał sztukę z tańcami i śpiewkami, jedyny w świecie wodewil narodowy, o halucynacjach i snach niewolników. Nigdzie nie powstało w tych latach nic równie cudownego, ale prócz kilkuset Polaków, wiercie mi, nie było na całej kuli ziemskiej człowieka, który by zrozumiał z tego słowo; autor używał zbyt mętnych aluzji do spraw zbyt mało znanych. Do mało znanej

historii mało znanego kraju, podbitego przez *la tszarine russe*, kiedy? w okresie Frondy czy Dyrektoriatu? Dialektyka niewoli, jej piętrowe sublimacje i imponderabilia: Czyn - Bierność, Honor - Zdrada, wszystko to dla was, drodzy paryscy i londyńscy przyjaciele, brzmiało jak irracjonalny bełkot. Pewien francuski krytyk po przeczytaniu noweli narodowego wieszczą tej prowincjonalnej prozy (trochę tylko starszego od Tomasza Manna) zanosił się ze śmiechu: ranny powstaniec wrócił na pole przegranej bitwy, by zginąć z honorem! — Z czym? z honorem? Ależ to antypsychologiczne! W życiu tak się nie postępuje! — Żeby tę neurologiczną moralistykę niewoli uczynić zrozumiałą dla was, dla ludzi Zachodu, trzeba było postąpić tak jak inny pisarz tego kraju, syn powstańca: przeniósł ją na morze, pod żagle brytyjskich frachtowców. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu pokochaliście Rosjan i przestaliście dostrzegać Polaków. Z dwóch wielkich literatur słowiańskich, których obsesją był brak wolności, Zachód wybrał bardziej wschodnią i bardziej demoniczną: tę, która odczuwała niewolę jako stan upadku rodzący się z człowieka — jako grzech. Polacy widzieli w niej cudzą winę. Mając do wyboru winę i grzech, Zachód wybrał grzech: czuł się grzeszny bez poczucia winy. Polacy mówili o ni, Rosjanie — ja. To rosyjskie ja oślnęło Europę, dla której słowo o ni znaczyło coraz mniej i która była już dostatecznie syta, by chcieć się poznawać i dreczyć. I tak, poprzez Gołowlewów i Karamazowów wolny Zachód zaczął odkrywać siebie”.

„... wiem, zdaje sobie sprawę, że nikogo bym nie przekonał, nawet w Warszawie — przede wszystkim w Warszawie. Cena naszej literatury nie ma kursu zagranicznego, a w Warszawie przelicza się wszystko na dewizy. Tymczasem rozsądek wskazuje jedyne wyjście: uznać tę literaturę za wartość rodzinną, istniejącą dla nas i poprzez nas, spełniającą się we własnych tradycjach. Pogodzić się z nią tak jak z językiem”.

A dziś dodam: i przypominać ją, zabiegać o nią, ratować od niepamięci i głupstwa, ją, siebie i to ze mnie, co warte, żeby się ostało. Bez wstydu i skrzepowania. Tak jak dzisiaj to czynię.

Gdzieś zdaje się już o tym pisałem, że każdy język ma swój wyraz twarzy, swój układ mimiczny. W język francuski wpisany jest uśmiech. Obok zaimka i przysłówka uśmiech stał się częścią składową tego języka. Zdanie pewnej Francuzki o starym, schorowanym mężu: „Jestem zarządzającą jego wyrzeczeń”, to zdanie ma gramatyczny uśmiech.

Zdanie Arystotelesa, że filozofia i literatura są czymś poważ-

niejszym niż historia. Nie znałem tego zdania. Sporo osób nie znało tego zdania.

Po kolacji u znajomych na krańcu miasta położyłem się zmęczony i trochę skołowany winem. Od razu mi się przyśnił duży stary park, w którym przy stolikach siedziały nagie kobiety, sprzedając karty wstępu do drewnianego budynku, gdzie mieścił się dom publiczny. Jedną z nagich kobiet była moja ciotka Marychna, ta z myszką na białej szyi, żona brata mojej matki, Ignacego. Wykupiłem bilet do niej na całą noc, ale nagle zniknęła, próżno szukałem jej w parku i w budynku. Później nie mogłem już zasnąć i leżąc myślałem, skąd wziąć papierosa. Przed tygodniem ktoś u mnie zostawił napoczętą paczkę, którą M. wyrzuciła. Wyrzuciła czy schowała? W bezsenne noce często robiłem notatki, a czasem zasypiałem po wypaleniu papierosa. Teraz nie ma w domu okruszyny tytoniu, nie palę już sześć miesięcy. Notatki? Tego, co po ciemku lęgnie mi się w głowie, nie da się albo nie warto notować. To nie są myśli ani obrazy, raczej majaki, niemożliwe do wyartykułowania pół-zjawy, erotyczne brednie lub myślojki z pytajnikiem: po co?... W końcu zapaliłem lampkę i otworzyłem na chybił trafił pierwszą z brzegu książkę.

„Cofając się na widok oczekującego na nią wózka dla skazańców Królowa szepnęła, że czuje nagłą potrzebę. Musiano rozwiązać jej ręce i spełniła ją przykucnąwszy w kącie wartowni”.

Odkładam książkę, gaszę lampkę. W tej samej chwili zapala się światło w uchylonych drzwiach do pokoju M. — Nie śpisz? — Nie odzywam się, udaję że zasypiam. — Nie śpisz — mówi M. Wiem że za sekundę spyta, o czym myślę. Upprzedzam tę sekundę i zamiast powiedzieć, że śnił mi się burdel w parku, mówię: — Kto napisał to zdanie, że honor jest poezją obowiązku? Nie mogę sobie przypomnieć. — M. wzdycha: — Pewnie jakiś Francuz. Może Corneille, spróbuj zasnąć. — Ale to ona zasypia, po chwili słyszę jej oddech.

Dwa tygodnie temu mówiłem przez radio o najlepszych książkach, jakie przeczytałem w 1985 roku i spośród napisanych w kraju wymieniłem tom Adama Michnika *Z dziejów honoru w Polsce*. Na kartce miałem notatkę z tym zdaniem Pascala o honorze, jednakże przeoczyłem ją w trakcie parominutowej wypowiedzi do mikrofonu. Po nagraniu zeszliśmy z Tadeuszem Nowakowskim do kawiarenki tuż obok na Avenue Rapp, a w chwilę później zjawił się także Maciej Morawski. Piliśmy słabą francuską herbatę i Morawski opowiadał, jak starego księcia Golicyna, który niedawno po raz pierwszy w życiu wybrał się z Paryża do rodzin-

nej Moskwy, nazajutrz rano po przyjeździe zawieziono do gmachu KGB, gdzie ogromny, wyorderowany generał przyjął go rosyjskim śniadaniem i namawiał, aby zamieszkał na stałe w ZSSR. Na co Golicyn, osłupiały: — Jak to może być, wy mnie tu zapraszacie, a przecież w dziewięćset siedemnastym wymordowaliście mi całą rodzinę? — Książę! — ryknął generał — to nie my, to Jewreje! — Morawski ma szczególny rodzaj śmiechu, jak gdyby go rozkładał na osobne basowe sylaby: ha! Ha! HA! — crescendo i z coraz dłuższą pauzą po każdym *ha*.

Powiedziałem wtedy do mikrofonu, że wymieniam tę książkę Michnika za jej odwagę myśli i szlachetność uczuć, i zakończyłem prośbą, aby mu przekazano moje słowa tam, gdzie się teraz znajduje. Ostatni raz słyszałem jego głos, kiedy zatelefonował do mnie rok temu. Był wtenczas na wolności między dwoma wyrokami. Rozmawialiśmy krótko i trochę żartobliwie, mówiłem: — Nie wykluczone że cię zaadoptuję — i proponowałem, żeby wpadł do Paryża na *week-end*. Adam śmiał się: — Mo...oże kiedyś! — W czasie tej rozmowy powiedział mi, że przygotowuje się wydanie dwóch tomów *Miesiący* w kraju. Doszło pewnie do niego, co mówiłem znajomym przyjeżdżającym z Warszawy, że chyba jednak moja książka powinna się w końcu ukazać również w Polsce. Niedługo potem aresztowano go w Gdańsku, dostał trzy lata. O krajowym wydaniu *Miesiący* zacichęło. Po wyroku Adam został przewieziony do ciężkiego więzienia w Barczewie. Ostatnia wiadomość o nim była niewesoła: uwierzył, że obejmie go amnestia po wyborach, i prosił, aby już nie przysyłać mu książek do więzienia. Uwierzył w obiecaną amnestię, bo przypuszczałnie sądził, że honor oficerskiego munduru nakazuje dotrzymywanie obietnic. W duchu kiwałem głową nad tą młodzieńczą ufnością. Także później, czytając jego tom *Z dziejów honoru w Polsce*, pisany w celi na Mokotowie podczas odsiadki poprzedniego wyroku, kiwałem chwilami głową z przejęciem i wzruszeniem. I ze sceptycyzmem — bo nie wszystko w tej książce jest mi bliskie, i z niepokojem, bo ze zdań Michnika buchała gorączka, czułem w nich najwyższą temperaturę wewnętrzną człowieka przemocą wyrwanego z życia i zamkniętego w czterech ścianach celi. Czytałem tę książkę w okresie, gdy Adam był już ponownie uwięziony. Odwiedził nas wtedy ksiądz, zaprzyjaźniony jeszcze z warszawskich czasów, jeden z najinteligentniejszych duchownych, jakich znam, prawdziwie mądry umysł i czarująca dusza. Nigdy nie robiłem przed nim tajemnicy z mojego oddalenia od religii, co sprawiało, że nasze rozmowy były swobodne, pozbawione zwykłej odrobiny nieszczerości czy też skrępowania, jakie występują w stosunkach między kapłanem a człowiekiem

niepraktykującym religijnie. Książd także niedawno przeczytał książkę Michnika. Mówił o niej i pytał, czy znam jej autora. — Nie wiem na ile zdaje sobie pan sprawę z tego, jak niesłychanie rzadko spotyka się dziś ludzi o podobnym napięciu duchowym. Nie umiałbym wymienić w polskiej hierarchii kościelnej nikogo, kto miałby w sobie tyle światła. — Słuchałem, myśląc jednocześnie, że bohater naszej rozmowy siedzi teraz w celi, pewnie nad jakąś książką, i że jest w rękach ludzi, którzy go nienawidzą. Nienawidzą go jak psy zza sztachet, nauczzone z daleka poznawać zapach obcego. Najszczególniejsze jest to, że zamknęci są oni i przesładowując go rzucają się z ujadaniem na własne kraty, podczas gdy on, po drugiej stronie, będzie zawsze wolny. Przypomina mi się chwila, kiedy z podobną nienawiścią zetknąłem się wzrokowo, kiedy ją zobaczyłem w czyichś oczach. Dwadzieścia lat temu któregoś dnia zostałem wezwany do gmachu Komitetu Centralnego na rozmowę. W istocie było to przesłuchanie. Chodziło o sprawy literackie, a ściślej o tzw. partyjne środowisko intelektualne. Odpowiadając na zarzuty próbowałem argumentować. Wtedy jeszcze — zwłaszcza do człowieka siedzącego naprzeciw mnie za mahoniowym wypolerowanym stołem — usiłowałem mówić w trybie przyjętym jako dialektyczny, a polegającym na zastępowaniu ludzkich słów i wyrażen języka mówionego zwrotami mowy uznanej przez partię za poprawną. Unikałem więc starannie takich określeń jak „zachodnie demokracje” lub „ustroje liberalne”. Mówiłem natomiast o „szerokiej, otwartej dyskusji zainicjowanej przez włoskich towarzyszy”. Zależało mi na tym, aby przekonać mojego rozmówcę, że poglądy wielu intelektualistów, członków PZPR, napiętnowane przez instancje partyjne jako wrogie czy obce, we włoskiej partii mieszczą się — wierzyłem w to — w naturalnym kręgu dyskusji między komunistami, są pożyteczne, wzbogacające i na przykład ludzie tacy, jak u nas... Człowiek siedzący po drugiej stronie stołu patrzył przeze mnie w wysoką okienną szybę. — Chcieliście powiedzieć: Kołakowski? — szepnął. Teraz spojrzał na mnie i w jego wzroku dostrzegłem coś, czego się przeraziłem, nagle oczy błysnęły mu jak kły. — Partia jest cierpliwa — powiedział. Zrozumiałem wtedy, że Leszek Kołakowski nie ma już co robić w Polsce. W rok później usunięto go z uniwersytetu, niedługo potem wyjechał na drugą półkulę.

Trudno sobie cokolwiek wyobrazić na przyszłość, wypadki prawie z reguły układają się inaczej niż przewidujemy. Jednakże losy niektórych ludzi można czasami przewidzieć, bo oni sami z góry je określają — sobą, swoim charakterem i wolą. Od pierwszych spotkań z Michnikiem rozpoznałem w nim człowieka

wpatzonego w swoje powołanie, idącego bez wahań w kierunku, jaki sobie wyznaczył, lub jaki przeznaczyły mu gwiazdy. Dostrzegłem też grożące mu niebezpieczeństwa i punkty jego słabości. Zdaje się, że on sam je widział i bał się ich, więzienie stało się dla niego miejscem pracy nad sobą, klasztorem, w którym osiąga się swoją najwyższą wartość. To budzi we mnie podziw i sprzeciw, jest w tym zbyt wysoka cena płacona za siebie.

Jan Paweł II na ostatnich zdjęciach postarzał się o dwadzieścia lat, przygarbiony, ze stroskaną twarzą. Podobno żyje w niepokoju o przyszłość świata. Opowiadano mi, że gdy odprawiał poranną mszę w kaplicy watykańskiej, cierpiał strasznie, obecni słyszeli jego westchnienia. Zacytowano mi czyjeś zdanie: „Przedtem widział człowieka poprzez Boga, teraz zobaczył Boga poprzez człowieka”. Michnik, i to mnie najbardziej porusza w jego książce, nadal widzi człowieka poprzez Boga. Myślę o nich obydwóch, o tych dwóch chrześcijaninach, Karolu Wojtyłę i Adamie Michniku. Wydaje mi się, jakby obydwaj postanowili nie pamiętać o tym, że są w zasięgu nienawiści, na linii strzału.

Wczoraj znalazłem stary notes z telefonami i adresami. Jest w nim też sporo notatek z końca lat 1970-tych. Jedna, chyba z 1979, o rozmowie z Piotrem Wierzbickim, któremu wtedy urodziło się dziecko. Notatka brzmi tak: „Rozmowa z Piotrem W. i moje pytanie: gdyby miał pan zdecydować o historii świata na najbliższy okres, co by pan wybrał? Złamanie ZSSR za cenę stu milionów ofiar, czy umocnienie się dominacji ZSSR przy równoczesnym zachowaniu życia, z nieprzewidywanymi perspektywami, nadzieją przemian, płodzeniem dzieci itp. Wojna i zniszczenie, czy ustępstwo wobec zła, które jest życiem? Piotr W. odpowiedział przez zaciśnięte zęby: — Wybrałbym tę drugą możliwość”.

To jest dzisiejsze stanowisko Zachodu.

Inna notatka — o francuskim producencie filmowym, który po raz pierwszy wybrał się do Polski (1979): „Wrócił wzruszony i opowiadał, że wiele rzeczy przypomina tam okupację we Francji. Okupacja to była jego młodość, dlatego tak się wzruszył w Warszawie”.

Zgłosił się do mnie „gość z kraju”. Stawiam cudzysłów, aby zasygnalizować dwuznaczność osoby i spotkania. Osoba — na tyle przyzwoita, by móc się z nią spotkać — zapewniła mnie, przypuszczalnie w czymś imieniu, że mój powrót do kraju byłby mile widzany; rodzaj listu żelaznego czy glejtu nietykalności. Po kilku wysłuchanych zdaniach przerwałem zmieniając temat, spotkanie trwało kwadrans.

W dzieciństwie bałem się, że nie potrafię być dorosły. Nie miało to nic wspólnego z trwogą metafizyczną. Dręczył mnie strach nie przed tym, że oddalając się od dzieciństwa zbliżam się do śmierci, lecz rozpaczliwa pewność, że w wieku lat trzydziestu lub czterdziestu nie potrafię być inżynierem ani prawnikiem i nie sprodam życiowym obowiązkom mężczyzny w sztywnym kołnierzyku z krawatem. Słuchałem jak moi wujkowie rozmawiali o imporcie maszyn lub spółkach akcyjnych i rosła we mnie desperacja. Przygłębiały mnie zwłaszcza słowa *palestra* i *kancelaria*, bo podobno miałem zostać adwokatem. Przypuszczam, że między innymi lęk przed życiem dorosłych przyczynił się do tego, że zacząłem pisać. W fikcji, w zmyśleniu jest coś z wagarów, łatwiej zblagować dlaczego nie przyszło się na lekcje, niż przesiedzieć sześć godzin w klasie. Kancelaria... palestra... Dyplom magistra praw uzyskałem na dwa miesiące przed wybuchem wojny, i właściwie, jeśli się zastanowić, można by dojść do wniosku, że cała moja praca literacka polega na usilnym i szczegółowym wyjaśnianiu okoliczności, na skutek których nie zostałem adwokatem.

Dlaczego lękałem się o ojca, że się przewróci i upadnie na ziemię — czy nie dlatego, że cały świat dorosłych wydawał mi się zagrożony i nieświadomie współczułem tym poważnym panom w binoklach, w sztywnych kołnierzykach, panom mecenasom i panom dyrektorom, których za kilkanaście lat będą wrzucać do pieców albo zamrażać w lodzie pod Kołem Polarnym? Nie byłem jasnowidzem, ale mogłem być różdżką przewodzącą podziemne drgania czasu, i pytam dzisiaj, czy istotnie bałem się tego, że nie nauczę się prowadzić kancelarii, czy może czegoś stokroć gorszego, straszniejszego co przygotowywało się pod nami i nad nami, już wtedy, w czasie tych letnich wakacji w Krynicy, dwanaście, jedenaście i dziesięć lat przed końcem świata dorosłych. Zjeżdżałem na hulajnodze z góry, na której wznosił się pensjonat *Prezydent Wilson*, w dół do głównej alei, zapełnionej powolnym tłumem kuracjuszy, i łatwo odnajdywałem w nim rodziców spacerujących z panną Margueritą Billard. To był rok 1927 albo 1928. W 1929 mieszkaliśmy w pensjonacie *Zacisze* u zaprzyjaźnionego z ojcem pana Tonia Januszkowskiego i w czasie tych wakacji nie jeździłem już na hulajnodze. Grałem w tenisa z moim rówieśnikiem Tadziem Drutowskim, a pan Tonio zabierał mnie w tajemnicy przed matką na piorunujące jazdy swoim półwyścigowym samochodem. Do Krynicy przyjeżdżały moje ciotki, Ewunia, Marychna, Kazia, Różyczka, Gabrysia, obrzucone adoratorami i mężami. W pensjonatowych jadalniach i na werandach po kolacji tańczono, w głębi przy stoliku do kart filowały z wy-

piekami na policzkach stare pokerzystki o uczernionych rzęsach. Z tych wakacji w Krynicy pamiętam niektóre twarze i sylwetki, a czasami sceny zbiorowe, nieruchome. Przypominają mi się coraz częściej, ale widzę je niepełne i rozczłonkowane, a zarazem pozazębiane o siebie, jak picassowska *Guernica*. Lekarz zdrojowy doktor Mayer we fiakrze — dzwonięcie uprząży, łby góralskich koni — dzwonięcie i wypielegnowana srebrna broda — doktor Mayer z fiakra wpija niebieskie oko w najdostępniejszą z moich ciotek, w tę, której pożałowałem, w Marychnę, idącą w świetle młodzieńców przez trawnik hotelu *Lwigród*. Ponad nimi na hotelowym tarasie obnaża w śmiechu dziąsła moja druga ciotka, Ewelina, Ewunia, a przy niej profesor Dziurzyński o nagiej tatarskiej czaszce i mecenas Leon Berenson, pokazujący właśnie sztukę z drewnianym kołem i szklanką wody. Ciotka Ewunia, rozwódka, wysoka, rudoblon, która powróciwszy do panieńskiego nazwiska zmieniła je z Eweliny Rotszylld na Rotyńską (ciocia Erotyńska, śmiał się ojciec), Ewunia zniknęła w marcu, aby pojawić się wczesnym latem z czarnowłosym kochankiem przywiezionym z Lido lub San Remo. Kiedy badano ją w Alei Szucha — nazywała się wówczas Evelina Rossi — oszołomiła pułkownika gestapo włoską konwersacją, niestety zabrakło jej rodzinnych metryk. Ale to już były lata czterdzieste. Lata krynickie, dwudzieste, miały jeszcze sporo bez troski, jeszcze wiele spraw się nie rozpadło, wszystko jakoś nieźle łączyło się ze sobą w tych krynickich latach, przy wspólnych stołach, w pensjonacie *Wilson* i w *Zaciszu*. Państwo Majmonowie z panią Wężykową, i Jamontowie z Landsbergami, profesor Rose z profesorem Dziurzyńskim i urodziwą panią Libanową, i Dymsha z Tuwimem (bo ich także widziałem idących przez krynicki deptak). Wciąż jeszcze trwało spokojne życie w polsko-żydowskim narodzie. Świat rozdzielał się dopiero przy *Srebrnej Róży*, okazałym drewnianym pensjonacie, stojącym w dole promenady, za pawilonami zdrojowymi. Dalej była już Krynica chudonoga i obcojęzyczna, w białych pończochach i aksamitnych kapeluszach, Krynica rabinacka, w lisiurach, w atłasach. Rano na pustej promenadzie błękitnooki, kościsty doktor Mayer stał ze swoim drżącym ratlerkiem przed *Srebrną Różą*, a kiedy dął halny wiatr, królewska broda rozwiewała mu się na dwie strony, i tak wznosił się, skrzydlaty i potężny, nad dwoma krynickimi światami, w których oddech codziennie się wsłuchiwał swoim żółtawym uchem podobnym do trąby. W całej Krynicy najbardziej podziwiałem doktora Mayera i pana Toni Januszkowskiego.

Nie znam szczegółowych okoliczności i dat, w których umierały i ginęły moje „krynickie” ciotki. Dziś żyje tylko Różyczka, najmłodsza i najdzielniejsza, siostra stryjeczna mojej matki. Żyje

w Paryżu na ulicy Piccini, niedaleko Pól Elizejskich, prawie unieruchomiona, w białych bluzkach z koronkami i z kulą w kręgosłupie. Kazia, piękność kaliska, cioteczna siostra ojca, której mąż, Maksymilian, popełnił samobójstwo w czasie ucieczki wrześniowej w 1939, ocalała prócz cennych obrazów sporą część biżuterii i zamieszkała przy rodzinie swego dawnego szofera. Podczas okupacji często bywała w domu Zenowiczów i dożyła Powstania Warszawskiego. Po wojnie nikt jej już nie spotkał. Jej siostra, Gabrysia Galewska, roztargniona, czytana panna o zgrabnej figurze i twarzy łagodnego mopsa (podbijała mężczyzn tylko na balach maskowych) umarła budując dom. Willa, którą stawiała sobie w Aninie, wyszarpnęła z niej wszystkie oszczędności i całą żywotność. Najlepiej pamiętam jej głęboki, dźwięczny baryton i muskularne łydki. W Kaliszu przed pierwszą wojną światową zaślęnęła w amatorskim teatrze rolę austriackiego oficera z trzciną i monokłem. Trzecią cioteczną siostrą ojca była Ewunia Rotszyld-Rotyńska-Rossi... Pułkownik, który z nią konwersował po włosku w gmachu gestapo na Szucha, zwolnił ją warunkowo. Zobowiązała się sprowadzić przez konsulat swój włoski akt urodzenia. Nazajutrz zmieniła adres. Później widywano ją w kawiarniach na Mazowieckiej, otoczoną rozmownymi starszymi panami, zawsze elokwentną, o różowych włosach, powiekach i dziąsłach. Żyła towarzysko i zamożnie, chroniona przez zakochanego w niej porządnego Niemca, dyrektora jednej z wielkich łódzkich fabryk. Pewnego czerwcowego dnia w Alejach Ujazdowskich zatrzymał się przy niej osobowy mercedes, z którego wysiadł pułkownik gestapo i uderzył ją skórzaną rękawicą w twarz. Potem Ewelinę Rossi ktoś jeszcze widział na Pawiaku. Ale zginęła gdzie indziej.

O tym że obydwie moje ciotki-zalotnice, Marychnę i Ewunię, wywieziono do obozu zagłady, o tym wiedziałem. Ale broniłem się przed obrazami, nie pragnąłem odgadnąć, jak i kiedy zginęły. Odsuwałem zwłaszcza myśl o ślicznej i wesołej Marychnie, która nie pozwoliła mi nazywać się ciotką; przed wojną byliśmy już na ty. Kiedyś rozpięła mi guziki od piżamy i szybko przesunąwszy małą ręką w dół po moim ciele, pocałowała mnie w szyję za uchem. Wyszedłem akurat z łazienki, było to w miesiąc po naszej przeprowadzce z Łodzi do Warszawy, gdy przyjechalśmy na dwa dni z matką pożegnać się w Łodzi z dziadkami, wujkami i ciotkami. Nocowałem wtedy z Marianem w lila-beżowym saloniku Marychny, miałem niecałe 16 lat. Często wspominam ten pocałunek. Częściej niż jej śmierć. Ilekroć zdarzyło mi się pomyśleć o jej ostatnich chwilach, widziałem ich oboje z wujkiem Ignacym, płaczących i obejmujących się w tłumie nagich ludzi wepchniętych przed chwilą do komory. W rzeczywistości było inaczej. Przeko-

nałem się o tym w kinie *Olympic* koło metra Plaisance. Łysawy, pulchny mężczyzna z drewnianym kijkiem w ręku (typ prokurenta bankowego lub właściciela sklepu) pokazywał dokładnie na planszy gdzie, jak i co się działo. Między jego rzetelne i pedantyczne wyjaśnienia co pewien czas wchodziły szyny bocznic kolejowej prowadzącej w głąb bujnego liściastego lasu. Tędy dowożono transport do rampy. Do rampy...? — odzywał się spoza kadru głos reżysera filmu *Shoa*. Tak, do samej rampy, potwierdzał łysawo-siwy pan z kijkiem. Po czym informował, w którym momencie oddzielano kobiety od mężczyzn. Oddzielano kobiety od mężczyzn... — powtarzał zza ekranu reżyser Claude Lanzmann. A tak, naturalnie, i po rozebraniu kazano mężczyznom zaraz przędko wchodzić do komory. Nagim...? Tak jest, oczywiście, nagim, ponieważ musieli się przedtem rozebrać, to była pierwsza rzecz. Znowu szyny, tor kolejowy w gęstej zieleni drzew, świst parowozu, wychylony człowiek w kolejarskiej czapce, pokazujący dłonią ruch podrzynania gardła, i napis stacyjny TREBLINKA. To pierwsza rzecz. Druga to było zaraz wprowadzić mężczyzn do komory... Najpierw mężczyzn a potem kobiety? *Ja*, najpierw mężczyzn a potem kobiety. Mężczyzn najpierw, przędko, bardzo przędko. Tak dowiedziałem się, że w komorze gazowej Marychna Landau nie mogła obejmować wujka Ignasia, gdyż weszli do niej osobno, w dwóch różnych grupach. A przez ten czas, jak mężczyźni znajdowali się już w komorze, pytał Lanzmann, gdzie były kobiety, co się z nimi działo? Kobiety, one czekały, ma się rozumieć, po rozebraniu się. Nagie? Tak jest, nagie, bo wszystko co miały na sobie, znaczy się ubranie, obuwie, bieliznę, kazano im złożyć porządnie na ziemi. W kupki. Więc przez ten czas mężczyzn gazowano? No tak, właśnie przez ten czas, tak było zorganizowane. I jak długo to trwało? ile minut, *wieviel Minuten...*? Pan z kijkiem zastanowił się. Po chwili odparł ze skinięciem głowy człowieka zadowolonego, że to co mówi jest ściśle zgodne z prawdą: — *Zehn bis fünfzehn Minuten. Ja.* — A te kobiety, jak się one wtedy zachowywały? czekały na swoją kolej...? *Ja*, one czekały. Ale one już wiedziały. Reżyser: o czym wiedziały? No, one już wiedziały, że tam jest gaz. Łysawy pan jakby się zamyślił, szukał odpowiednich słów. One nagle czuły potrzebę... Każda się wypróżniała. Mężczyźni nie, bo ich to zaraz pędzono do komory, bardzo przędko! Ale one czekały i po nich zostawały ekskrementy, kupki. Później trzeba było wykopać specjalne rowki, nieprawda, żeby odprowadzić kał.

W Hôpital Cochin, konając obok mnie po operacji, która wyczerpała jego płuca i serce, pan Angel szeptał do siebie: — Obrzydliwe... *dégueulasse... dégueulasse...* — Słowem tym oceniał

zapewne życie, z którym się właśnie rozstawał. Wyżył jednak. Przeniesiono go do separatki i na dzień przed opuszczeniem szpitala idąc korytarzem zobaczyłem go przez uchylone drzwi, opłatanego kablami Ekg i szlauchami kroplówki, w pozycji półsiedzącej z rurką w nosie. Nie miał jeszcze sił uśmiechnąć się, tylko lekko pokiwał mi ręką: — *Ah, les braves Polonais...* — Pan Angel lubił Polaków i przed operacją opowiadał mi, że w 1940 po klęsce, kiedy z grupą francuskich oficerów wziętych do niewoli został przewieziony do oflagu pod granicę belgijską, oficerowie polscy, którzy w tym oflagu byli już od wielu miesięcy, przyjęli Francuzów honorowym szpalerem i śpiewem *Marsylianki*. — Plakaliśmy, wie pan? — spoglądał na mnie z poduszki.

W filmie *Shoa* Polacy nie wystąpili ani jako *les braves*, ani „na ławie oskarżonych” (tak napisał pewien chybki dziennikarz paryski po premierze filmu). Obiektyw ukazywał ludzi gadatliwych albo nie umiejących się wyśłowić, osłupiałych lub przemądrzałych, emeryta, chłopca, kolejarza, pyskatego tłumek, baby. W kinie *Olympic* salka była wypełniona publicznością w różnym wieku i przez dwa pięciogodzinne seanse można było oglądać Polaków z okolic Trebłinki, kobiety i mężczyzn, którzy w roku 1943 mieli przeciętnie licząc dwadzieścia, dwadzieścia parę lat. Takich ludzi jeszcze jest w Polsce sporo. I takich miejscowości — ni to wieś, ni to miasto — także jest dużo. Przejeżdża się przez nie, widać kury, baby, malwy za płotem, begonie w oknie, listonosza na rowerze, przystanek PKS-u i gapiów stojących na rogu przed spółdzielnią. Mała, gminna, brzydko zbudowana, podwórkowata i ludzikowata Polska, w spokojnym a nieraz pięknym krajobrazie, ani bardzo zła, ani zbyt dobra, smutna raczej. Taka, jaka jest. Pod Opolem Lubelskim, Sulejowem, czy w gminie, która nazywa się Kózd, gdzie kiedyś wpadł mi pod koła siedmioletni chłopczyk, który wybiegł zza autobusu PKS; wysiadali z niego tacy właśnie ludzie, jakich pokazał Claude Lanzmann w filmie *Shoa*. (Kochany Panie Brandysie! Dziękuję Panu, że Pan mnie nie zabił” — napisał mi potem w wykalgigrafowanym liście mały Staś Stankowski). Takich miejscowości i ludzi również jest wiele w innych krajach, w Czechosłowacji, Jugosławii, Grecji, na Węgrzech, może tylko miasteczka ładniej zabudowane, a ludzie wyglądają mniej szaro. Film *Shoa* przedstawia Polaków w okolicach Trebłinki z niespecjalną sympatią, ale bez wrogości. Są nisko ucywilizowani, nie zawsze ogoleni i czyści, jednakże nie czuje się w nich zdżiznienia, prędzej jakąś krowiąstą poczciwość, tacy ludzie rzadko nienawidzą. Zdaje się, że reżyser przede wszystkim chciał w nich pokazać ludzką przeciętność, pospolitość. Są mierni, banalni, mało wyszukani. W tym filmie także Żydzi

nie są bohaterscy ani wzniośli — ci ocaleni, z Ameryki i Izraela, którzy musieli wyciągać i palić trupy — i nawet Lanzmann odzywa się niekiedy w sposób płaski (— Czy pani jest zadowolona dlatego że nie ma już Żydów, czy dlatego że jest socjalizm?) a przede wszystkim makabryczną pospolitością zieją występujący w filmie Niemcy. Ale i od tego gorliwego parafianina, który rwał się przed kamerę z niezgrabnymi gestami i wstrętnie zmyśloną opowiadką o rabinie, co sam zaprowadził swoich Żydów do komory gazowej, by razem ponieść karę za ukrzyżowanie Pana Jezusa, od całej tej rozgadanej gromadki przed kościołem, poklepującej stojącego w środku i trochę niemądrze uśmiechniętego mężczyznę, Żyda, który się ocalił, od nich także wieje mierność. Wszyscy, z jednym wyjątkiem, w tym filmie są przeciętni.

Shoa nie jest filmem przeciw Polsce, to jest film o ludziach. Film o ludziach, którzy nie ratowali Żydów, bo nie mogli albo nie chcieli ich ratować, albo nie rozumieli, że trzeba ich ratować. *Shoa* jest filmem dotyczącym tych wszystkich, których nie zamordowano. Czechów, Polaków, Francuzów, Anglików, Amerykanów, Żydów — wszystkich, którzy przeżyli. Każdy z nich, gdyby stanął przed obiektywem, aby opowiedzieć, co czuł i myślał wtedy, gdy w Treblince zabijano do 18 tysięcy Żydów dziennie, wydałby się tak samo pospolity i mierny, jak mieszkańcy Treblinki w filmie Claude Lanzmanna. W salce kinowej przez te dziesięć godzin nikt ani razu nie zakaszał, chwilami miało się wrażenie, jakby publiczność przestała oddychać ze wstydu za człowieczeństwo. Nauczycielka z Warthegau nie pamiętała dokładnie ilu ludzi zamordowano w obozie: cztery tysiące?... czy może czterdzieści tysięcy...? — Czteryście tysięcy — oznajmił głós spoza kadru. W większości jednak, odliczając kilka bezmyślnych odzywek, relacje świadków i ocalonych były rzeczowe, pełne szczegółów i dbałości o ścisłość liczb, dat, wymiarów, realiów. W końcu można było pomyśleć, że mówi się o jakimś wielkim obiekcie fabrycznym, opisuje się pomieszczenia i maszyny, podaje cyfry produkcji, wskaźniki rozwoju — i właśnie tak określił to jeden z ocalonych, deportowany z Czechosłowacji; kiedy nastąpiła przerwa w transportach i przez dwa tygodnie nie wywlekał trupów z komory, uświadomił sobie, że pracuje w zakładzie przemysłowym, w którym produkcja stanęła, bo nie dostarczono surowca.

Mówiąc o transportach prawie każdy z mieszkańców wielokrotnie podkreślał, że Żydów zagranicznych przywożono często pullmanami. Niektórzy powtarzali jakby z odcieniem zazdrości czy kpiny, że ci zagraniczni Żydzi jedli w przedziałach kanapki, a kobiety były nieraz w futrach. W 1943 opowiadał mi znajomy

w Warszawie, że będąc kiedyś po godzinie policyjnej na Dworcu Wschodnim usłyszał z takiego pullmanowskiego wagonu męski głos pytający w ciemności po niemiecku, ile jeszcze kilometrów do uzdrowiska Treblinka. *Nach Kurort Treblinka*.

Film *Shoa* w Paryżu został uznany przez krytykę za dzieło wielkiej miary. W recenzjach pisano: arcydzieło. Słowo „arcydzieło” źle przylega do tego filmu, który nie ma cech dzieła sztuki i z pewnością nie chciał ich mieć. Ale *Shoa* jest dziełem nowego rodzaju i niezmierniej wagi: pierwszym wielkim dokumentem filmowym o zachowaniu się ludzi wobec społeczności przeznaczonej na śmierć. Jest filmem o miejscu i świadkach ludobójstwa. Nie o katach i ofiarach, ani o stosunku między katem a ofiarą, lecz o moralnej pamięci świadków i o technice wykonania zbrodni. *Shoa* od siedmiu miesięcy ściąga widzów na Zachodzie, którzy — tak przypuszczam — domyślają się, że ten film wiele mówi o prawach rządzących ludzkim gatunkiem. Po polsku tytuł brzmiałby *Zagłada*. Nie wiem, czy pod tym tytułem *Shoa* wyświetlano w polskich kinach, doszły mnie jednak wiadomości, liczne i różne, od widzów, którzy obejrżeli ten film w kraju. Wynika z nich, że reakcje są podzielone na „tak” i na „nie”. Część widzów mówi: tak było, taka była prawda. Inna część, która neguje prawdę filmu, twierdzi, że Polacy zostali w nim oszkalowani, że tak nie było. Miła i wykształcona osoba, którą pytałem o *Shoa* w Polsce, odrzekła dość chłodno: film miał średnią frekwencję w kinach i wywołał zgorszenie. W dniu tej rozmowy filmu jeszcze nie widziałem, zobaczyłem go dopiero po kilku tygodniach. Moje reakcje... Po ciemku dziękowałem (nie jestem pewien komu), że nie umarli tam moi rodzice. Matka zachorowała w podkrakowskiej wsi po Powstaniu, umarła na raka. Ojciec w więziennej izbie chorych, także na łóżku, inżynier Dangel wysłuchał jego ostatnich słów w nocy, kiedy umierał. W czasie drugiego pięciogodzinnego seansu z ekranu mówili mężczyźni, polscy i czescy Żydzi, którym kazano wyciągać i palić stosy trupów. Dwóm z tych mężczyzn przez chwilę ścisnął gardło krótki, suchy spazm. Mieszkańcy Trebłinki nie płakali, niektórzy jednak umieli zachować powagę. W drugiej części filmu ukazał się Jan Karski.

Odkładał do jutra.

Z drugiej części *Shoa* wyszliśmy na mokre ulice. W czasie seansu pewnie była ulewa — jezdnie, domy, gałęzie, przeszła mostów, wszystko w wilgotnej czerni. Samochody przejeżdżały jak wściekle, bryzgając pianą. Deszcz już nie padał. Wsiadliśmy

do metra, później znowu chodziliśmy po ulicach. I nagle wyrosła przede mną zjawa — ogromny stalaktyt Notre Dame w światłach reflektorów, Notre Dame białej i przezroczystej jak lód. Zdaje się, że wtedy zaczęliśmy rozmawiać o Janie Karskim. Profesor Karski w *Shoa* opowiadał o dniu spędzonym w getcie warszawskim przed wyjazdem z Polski w misji kurierskiej z ramienia Delegatury Rządu i Komendy Głównej AK. Karski miał przedstawić na Zachodzie sytuację Żydów eksterminowanych w Polsce i prosić o pomoc rządu alianckiego oraz wpływowe środowiska żydowskie w Ameryce. Zadanie to wykonał, ale pomocy nie uzyskał (o czym w filmie nie było już mowy). Karskiego przyjął prezydent Roosevelt, wysłuchali go także bogaci Żydzi amerykańscy i prawdopodobnie w jego relację nikt nie uwierzył, bo nie mógł albo nie chciał uwierzyć. Mimo iż Claude Lanzmann usunął z filmu te fragmenty świadectwa Karskiego, sprawa jest publicznie znana. Na zjazdach i konferencjach poświęconych losom Żydów w Europie podczas drugiej wojny światowej, w chwili gdy pojawia się profesor Karski, wszyscy wstają.

Roosevelt — człowiek umysłowo trzeźwy, a zarazem marzyciel i obłudnik — nie uwierzył, że Niemcy postanowili wymordować cały naród, naród, który stworzył Biblię. Tak samo by nie uwierzył, gdyby Karski położył mu na biurku dowody, że Rosjanie zamordowali kilkanaście tysięcy oficerów armii polskiej, wziętych z terytorium państwa, z którym ZSSR nie był w stanie wojny. Ale mówię, że sprawę misji Jana Karskiego na Zachodzie reżyser z filmu usunął. Lanzmann zebrał istotnie olbrzymi materiał, jednak nie zawsze ciął tam, gdzie należało; zamiast skrać relację Karskiego mógł wyciąć co najmniej pięć minut pejzażu. Kilka fragmentów natomiast przydałoby się dokręcić. Ktoś trafnie zauważył, że *Shoa* to bardzo długi film, który powinien być dłuższy o godzinę. Przez tę dodatkową godzinę mogliby wystąpić ludzie, którzy w czasie dokonywania zbrodni nie znajdowali się w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Mam na myśli ludzi takich, jak kolaboranci vichystowscy oraz funkcjonariusze policji francuskiej, która wydała Żydów w ręce gestapo; myślę też o żyjących zwolennikach krwawej rumuńskiej Żelaznej Gwardii. Prawda świadectwa byłaby pełniejsza.

W *Shoa* jedynym człowiekiem, który zrozumiał prawdę o zagładzie Żydów, był Jan Karski, który nie jest Żydem. Zobaczyłem wysokiego siwiejącego mężczyznę płaczącego jak chłopak. Widziałem łzy spływające mu wzdłuż nosa i po wargach. Potrząsał głową, nie chciał dalej mówić. Kamera przez sekundę nie opuszczała jego twarzy, nad którą nie panował. Nie znosiłem wtedy Claude Lanzmanna. I patrząc na mokrą, zapłakaną twarz

Karskiego myślałem, że tacy powinni być ludzie. Jego łyzy były reakcją człowieka, który przeżył śmierć kilku milionów istot ludzkich uznanych za nie-ludzi, człowieka zrozpaczonego, że nie przeskodził zbrodni. Była ona dla niego czymś straszniejszym niż jej liczba i nazwa — była samobójstwem chrześcijańskiej kultury. Dlatego nie mogę Karskiego w tym filmie zapomnieć. Jednak trzeba odróżnić człowieka, który na wiadomość że jego znajomy zachorował na raka, blednie ze strachu, od człowieka, który na tę samą wiadomość blednie ze współczucia. Trzeba ich odróżnić, mimo że wobec prawa są zrównani. Karski jedyny w tym filmie wydał mi się bliski i w najgłębszym sensie normalny, najbardziej podobny do moich szkolnych wyobrażeń o człowieku — w tym filmie, w którym zagładę objaśniano jak w muzeum, albo gadano o niej jak na podwórku, a czasem chichotano. Miałem wrażenie, jakby w całym filmie on jeden rozumiał, co się stało w roku 1943 w Europie: że rozpadł się wtedy obraz człowieka na podobieństwo Boga. „I obraz Boga stworzony przez człowieka” odpowiedział mi Henryk Grynberg, kiedy mówiłem o tym na jego wieczorze autorskim, który niedawno się odbył w niewielkim kółku słuchaczy. Mówiłem, bo ktoś przede mną zaczął już o tym mówić, i dlatego że tekst Grynberga był przejmujący i że czytając autor siedział obok mnie, i może dlatego że dwa dni wcześniej pewien Francuz, historyk, zapytał mnie, jak wytłumaczyć fakt, że w Warszawie na pomniku ofiar zagłady widnieje tylko napis: „Bohaterom Ghetta — Naród Żydowski”. Nie potrafiłem mu wyjaśnić, dlaczego na brązie zabrakło słów „Naród Polski” — odpowiedziałem, że zapewne pracowały na to ciemne siły przez tysiące lat, a nie jest wykluczone, że za takimi siłami stoi Szatan, zawistny brat Boga. Francuz uśmiechnął się dając mi znać, że pochwycił mój żart, chociaż doprawdy nie sędzę, abym żartował.

Grynberg napisał: „Każdemu antysemicie powinno się przynajmniej raz kiedyś przyśnić, że jest Żydem”. Przeczytałem jego *Prawdę nieartystyczną* i pewnie to był najistotniejszy powód, że zacząłem mówić na jego wieczorze o sytuacji Żydów w Polsce niegdyś, kiedy żyli w tym kraju, i obłąkanym zjawisku, jakim jest w nim antysemityzm dzisiaj, gdy Żydów już w Polsce nie ma. W *Prawdzie nieartystycznej* Grynberg opisał dzieje zagłady swojej rodziny i swego ocalenia wraz z matką. Literatura polska zapewne jeszcze nie wie, ile honoru i piękna zawdzięcza temu pisarzowi, o którym krytyka mówi dziś niechętnie albo wrogo. Po operacji pisałem o nim w liście wysłanym ze szpitala do Wirpszy. Grynbergowi wytyka się obsesję w sprawie Żydów, zarzuca mu się, że nie umie o niczym innym myśleć. O niczym innym, święta

prawda, Grynberg nie myśli, jak tylko o tym, co ludzkość uczyniła sama ze sobą w latach 1940-tych. Pozostał wierny swoim zamordowanym. Po obejrzeniu *Shoa* przypomniawszy mi się ten wieczór autorski z dyskusją, w której przytoczyłem cytaty o rozpadnięciu się obrazu człowieka na podobieństwo Boga (to chyba z wiersza Różewicza albo Herberta) i list otrzymany przed miesiącem od polskiej czytelniczki z Niemiec. Donosiła mi, że w Polsce Żydzi nadal zajmują eksponowane stanowiska. List uprzejmy w tonie, ale korygujący mój stosunek do antysemityzmu w czasie okupacji i po wojnie. Mówiłem także w tej dyskusji o nieszczęściu, jakim było dla Polski założenie obozów zagłady na jej terytorium. Ponadto *Shoa* przypomniawszy mi spotkanie z Claude Lanzmannem lata temu w Paryżu, gdy kilkakrotnie napomknął o projektowanym filmie i miał w związku z tym projektem gdzieś wyjechać. Pytał mnie o pogrom w Kielcach i rok 1968.

Wiele rzeczy przychodzi do głowy po obejrzeniu *Shoa*. Jaką myślą mogli się podtrzymywać Żydzi, których wieszono do komór gazowych? Tą jedną, że ich los jest cierpieniem Boga, że są Jego częścią złożoną na ofiarę. Wszystkie moje grzechy wydają mi się dziecinne w porównaniu z tym, że kiedy oni ginęli, ja żyłem, jadłem, grałem w karty, miałem kobiety.

W znalezionym notesie z telefonami są notatki pisane jedna za drugą, bez odstępów. Na przykład: „Pan Finkenstein i ja w kinie *Odeon*. Jeżeli w zbiorowości pewna grupa ludzi jest zagrożona, to 5 % będzie jej szkodzić, 5 % pomagać, a 90 % pozostanie bierne. (Cyfry hipotetyczne). Bierność może wynikać z obojętności lub ze strachu przed represjami, może także oznaczać milczące współczucie albo cichą satysfakcję. Lya de Putti. Prawdziwym bohaterem każdej powieści jest autor, zawsze tak było, z czasem powieść uświadomiła to sobie. Znał mojego dziadka”.

Pan Finkenstein był naszym sąsiadem w domu na ulicy Przejazd w Łodzi. Odznaczał się tym, że codziennie chodził do kina. Miał żonę o męskim głosie i dwóch dorosłych synów, ale do kina chodził zawsze sam. Raz na tydzień, kiedy dostawałem od ojca złotówkę, na bilet do *Odeonu*, spotykaliśmy się z panem Finkensteinem w foyer, a nieraz wcześniej, już w windzie. Ponieważ nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia z tym smutnym człowieczkiem w meloniku i podniszczonym futrze, często po wyjściu z domu siedłem z tyłu o dziesięć kroków za nim. Tak wchodziliśmy do kina i kupowaliśmy bilety, najpierw pan Finkenstein, potem ja. Parokrotnie zdarzyło się, że w silny mróz

podczas seansu w salce obitej czerwonym pluszem było tylko nas dwóch i blada pianistka z grzywką; działo się to w epoce filmu niemego. Pan Finkenstein siedział blisko ekranu, w trzecim lub czwartym rzędzie, a ja w dziesiątym, mniej więcej pośrodku sali. Po zakończeniu seansu wracaliśmy do domu, pan Finkenstein i ja o dziesięć kroków za nim, by po chwili spotkać się w windzie. Obaj byliśmy zamyśleni. Pan Finkenstein wysiadał na trzecim piętrze, ja na czwartym. Wszystko odbywało się bez słowa: wysiadając z windy dotykał dwoma sztywnymi palcami runda melonika i w tej samej chwili ja ściągałem z głowy szkolną rogatywkę. Raz jeden tylko pan Finkenstein przemówił do mnie. Po filmie z Lyą de Putti, wysiadając z windy obejrzał się i powiedział: — A twój dziadek był bardzo porządnym człowiekiem. — Przypuszczam, że chciał mnie podnieść na duchu. Był pewny, że ja także się kocham w Lyi de Putti i że obydwóch nas przynębił powrót do rzeczywistości.

Westchnienia dochodzące z pokoju M., która wreszcie zabrała się do obiecanego komuś przekładu francuskiego artykułu. Przez drzwi czuję mękę, ruinację, zburzenie życia. Wiem, że podłoga i tapczan są boiskiem usłanym zmiętymi papierami, zabazgrany mi i podartymi kartkami. Dawniej, kiedy w czasie pracy paliła, wszystko było w popiołach i kłębach dymu. Po czym ta męczarnia obraca się przeciw mnie — człowiekowi, który w tym czasie rzekomo miał umyć filiżanki. M. jest jedyną ze znanych mi osób, której praca szkodzi. Jej biosfera odziedziczona po kurlandzkich i francuskich babkach czy prababkach to wypełnianie czasu zajęciami, które nie są i nie powinny być pracą. Znajomi, rozmowy, lektury, słuchanie wiadomości i muzyki, myślenie o ludzkich sprawach... Do niedawna w Warszawie lubiła kłaść pasjanse. Prowadzenie domu jest dla niej nie tyle pracą, co elementem bytowania, jak kąpiel albo przechadzka. Praca nie może zakłócać jej prawdziwego życia: snu, kontemplacji, twórczego lenistwa, mądrości z nadmiaru czasu i braku przymusu. M. jest naprawdę wolna. Jej serce zwrócone z życzliwą ciekawością ku ludziom nie zna trwogi przed obowiązkami. Jej lęki zaczynają się tam, gdzie moje się kończą — tam, gdzie nic już od nas nie zależy.

Miesiąc temu umarła w Warszawie najmłodsza z rodzeństwa mojej matki, Celina Rajgrodzka. Najstarsza, Klementyna Heyman, zmarła w roku 1926, także w Warszawie. Prócz Ignacego było jeszcze dwóch braci: Jan Landau żył w USA do roku 1950, Hipolit Landau-Orłowski, który przybrał nazwisko żony, został pochowany w Warszawie na trzy lata przed drugą wojną światową.

Ojciec był jednakiem, miał tylko rodzeństwo cioteczne i

stryjeczne. Z dzieci jego kuzynów żyje pewnie młodszy ode mnie i nieznany mi z imienia syn Mieczysława Galewskiego, legionisty i pracownika Arsenału, rozstrzelanego przez Niemców w 1939. W Stanach Zjednoczonych żyje potomstwo Wincentego Rotszylda, brata mojej babki (ze strony ojca), który mieszkał w Berlinie i tam umarł przed objęciem władzy przez Hitlera.

Na rue Saint-Gilles mieszka osoba, u której zasięgam porad w sprawach podatkowych. Wchodzę: wszystko małe i wąskie, jakby projektowane dla karlicy. Sprawdziłem, że około roku 1785 w tym domu mieszkała pani de La Motte. Ta, co wymyśliła intrygę epoki, aferę naszyjnika królowej. Mówię „wymyśliła”, bo w całej tej sprawie autentyczna była tylko biżuteria, reszta została przez tę kobietę wyfantazjowana z niesłychaną pomysłowością i precyzją. Gdyby nie to, że w parę lat później zburzono Bastylię, tajemnicze zniknięcie naszyjnika i wieści o nocnych schadzkach Marii Antoniny z kardynałem de Rohan pozostałyby jednym ze skandali dworskich, miłym tematem dla pamfletistów. Tu jednak zdarzyła się rzecz szczególna: wariacka opowiastka, wyssana z palca przez mitomankę i oszustkę, przemienia się w fakty obdarzone piorunującą siłą działania i doprowadza do publicznego procesu, który wykopuje moralny grób monarchii. W sali sądowej Paryż dowiedział się, że o północy w parku wersalskim Wielki Jałmużnik Francji klęczał w krzakach przed wynajętą prostytutką, przebraną za królową Francji. Część opinii uwierzyła w tę wersję, druga część uwierzyła, że w zamian za naszyjnik królowa ofiarowała kardynałowi swe względy. Trzecia wersja głosiła, że król o tym wiedział. Proces pani de La Motte, obok późniejszego ujęcia w Varennes, był najcięższym z samobójczych ciosów zadanych sobie przez parę królewską. Panią de La Motte wychłostano i napiętnowano na dziedzińcu gmachu sądowego, ale co wymyśliła, to wymyśliła: prawdziwą skazaną w procesie była „Austriaczka”, którą w siedem lat później z sąsiedniego budynku wywieziono na szafot.

W całej tej sprawie, od której zatrzęśło się w Europie, najbardziej frapujące jest dla mnie uruchomienie rzeczywistości przez fikcję. W gruncie rzeczy pani de La Motte ułożyła pomysłowy *marivaudage* z podrobionymi liścikami i wymyślonymi dialogami. Występowała w nim frywolna pani, łasa na błyskotki, zaślepiony mąż-rogacz oraz żądny łask i rozkoszy sybaryta z kardynalskim pierścieniem na palcu. Sobie autorka przeznaczyła rolę złośliwej subretki, która wszystkich wyprowadza w pole. Przedstawienie tej scenicznej ramotki mogło się odbyć w którymś z paryskich

teatryków. Lecz oto spektakl przekracza rampę, wydostaje się na miasto, gazety, kawiarnie i ulice dorabiają motywy, epizody i rysy charakterów, żarcik puchnie od politycznych jadów, już zalatuje od niego zgnilizną zepsucia, niebawem zapachnie krwią. W półtora wieku później w Moskwie rozpoczęły się wielkie polityczne procesy sądowe. W każdym z nich akt oskarżenia był wymyśloną opowieścią, prymitywnym montażem fałszywych dokumentów i faktów, tak samo wyssanych z palca, jak fabułka pani de La Motte. Występowały tylko inne postacie i ułożono nową intrygę: zamiast nocnych schadzek królowej z kardynałem — tajne konszachty przywódców bolszewickich z agentami obcych wywiadów. Ale w obu wypadkach fenomen wcielenia się fikcji w rzeczywistość jest podobny. Obmyślony scenariusz zaczyna działać, staje się źródłem uwarunkowań zbiorowych i reżyseruje historię. Prawdopodobnie życie ma skłonność do takich magicznych zabiegów, które zazwyczaj są specjalnością policji, oszustów i pisarzy. W *Prawdzie nieartystycznej*, przypominam sobie, Grynberg pisze, iż ustęp o zdradzie Judasza został zapożyczony ze Starego Testamentu, gdzie jeden z dwunastu braci, imieniem Jehuda, sprzedał Józefa w niewolę za dwadzieścia srebrników. Być może autorzy Biblii spisywali ustne opowieści, dawno stworzone przez ludzkość. Albo też wymyślili nowe, tak udane, że stały się prawdą o ludzkości. Zapożyczeń i przeróbek dokonuje się nie zawsze w dobrych celach i jest to — mówiąc językiem dyplomatów — rzecz godna ubolewania. Aleksander Wat opisał, jak sowiecki oficer śledczy, by dostosować do celów śledztwa przypowieść o cudzołożnej żonie i niewiernym przyjacielu, chciał ją zakończyć pointą narracyjną: zemstą męża. „Na Łubiance — opowiada Wat — siedziałem z literatem Dunajewskim, tłumaczem perskiej poezji. Był to człowiek piękny, o wrażliwości moralnej, jaka niegdyś cechowała najlepszą warstwę inteligencji rosyjskiej. Siedział w tej celi już trzeci rok i miałem okazję obserwować na nim, jak wariuje się w warunkach szczelnej izolacji (puszki konserw), sekretu Kafkowskiego oraz tortury pustego trwania — jak wariuje się dosłownie, stopniowo, z dnia na dzień. Niedługo po moim przybyciu poradził mi: — Niech pan od razu podpisze wszystko, czego zażądam. — Odburknąłem, że my, Polacy, nie podpisujemy, i coś tam, arogancko, o niewolniczych nałogach Rosjan. Później opowiedział mi swoją historię. Na długo przed aresztowaniem żona opuściła go: odeszła do jego najbliższego przyjaciela, mimo to wszyscy troje zachowali nawzajem dla siebie najczulszą przyjaźń. Po uwięzieniu zażądano od niego, by obciążył tamtych dwoje. Odmawiał. — Gdybym to był wtedy zrobił, siedzielibyśmy już dawno wszyscy troje w łagrze i byłoby

po wszystkim. A teraz wydałem już jedenastu i nie wiem, czy na tym koniec”.

Tutaj zawiązek intrygi wymyśliło życie, oficer śledczy pragnął tylko sprowokować dydaktyczny epilog. W tym wypadku trudno mówić o wcieleniu się fikcji w rzeczywistość lub przedzierzgnięciu się zmyślenia w fakty. Jednakże policja ma skłonność do beletryzowania, a w policji stalinowskiej ta skłonność była nie tylko metodą — była zapewne namiętnością i bodaj czy nie seksualnym zboczeniem. (Jadwiga Siekierska, więziona w ZSSR wcześniej niż Wat, bo w okresie czystek, opiekowała się w celi na Łubiance rudą, garbatą i bardzo nieszczęśliwą dziewczyną żydowską, której akt oskarżenia zarzucał, że była kochanką Piłsudskiego). Nie jest wykluczone, iż ów policyjny belletrizm wpływał z pewnych zamiłowań osobistych Stalina. Wat pisze o nim, jako o pożeraczu rosyjskich powieści, który swój genialny system wyklarował dzięki *Biesom*. Uwagę tę Wat poprzedza ogólniejszym spostrzeżeniem, znakomitym: „Bolszewicy mieli na myśli sztukaterię słowną, iluzjonistyczną i małpio naśladowniczą, która miała zastąpić rzetelność i surową troskę opisu”. Dodajmy, że iluzjonistyczna sztukateria słowna powinna była nie tylko zastąpić rzetelność i surową troskę opisu — czyli prawdę — lecz przede wszystkim zadziałać, uruchomić nowy stan rzeczy. To mieli na myśli bolszewicy. Nic innego nie miała na myśli pani de La Motte.

Latem 1952 byłem w zakopiańskiej *Halami*. Dosadzono mnie do stolika pod filarem. Siedziała przy nim tylko jedna osoba, znana mi z widzenia od dawna, bo jeszcze w latach wojennych, jako zupełnie młoda dziewczyna, przychodziła na Narbutta do moich przyjaciół, gdzie często grano w brydża. Po wojnie rozwiodła się z mężem dla naukowca, pół-cudzoziemca, wychowanego w Anglii. Tworzyli parę wybrańców, na ulicy oglądano się za nimi. Bił od obojga zachodni blask, szli wysocy, piękni. W Zakopanem ciągle łało, przez tydzień chodziliśmy dwa razy dziennie do kawiarni na Krupówkach. Zastanowił mnie tik w jej twarzy, jakby zygzak podskórniego strachu między okiem a ustami. Powiedziała mi kiedyś, że na pewno jesteśmy śledzeni. Obróciłem to w żart, ale ona się nie roześmiała: — Ci z biura politycznego także... Wiem. — Przed wyjazdem zdążyła mi opowiedzieć, iż pewnego dnia, w czasie zagranicznej podróży jej męża, wezwano ją na Koszykową, do Ministerstwa. Usłyszała krótką nowelkę, nieźle ułożoną: jej piękny mąż wpadł w sidła młodej Szwajcarki, która pracuje dla amerykańskiego wywiadu, trzeba go więc czym prędzej ściągnąć do Warszawy, co może uczynić tylko ona, dla własnego dobra i dla dobra kraju. Wskazano jej telefon na biurku.

Autor historyjki miał stopień podpułkownika. W ileś tam lat później, już po jego ucieczce do zachodniego Berlina, tak został scharakteryzowany: „... niskiego wzrostu, ciemny blondyn o pełnej twarzy, grubych wargach i szklanych szarych oczach, które potrafią patrzeć nie widząc. Ale równocześnie patrzy czasami tak przenikliwie, że — wydawałoby się — przeszłyby rozmówcę na wskroś sięgając do najgłębszych jego myśli. Cały czas pyka fajkę. Ma ruchy powolne i opracowane, dłonie grube o krótkich palcach, ale równocześnie są to ruchy, które potrafią być błyskawiczne, jeśli coś go dotknie, jeśli zachodzi potrzeba. Często słucha jakby nie słysząc, ale wie doskonale i pamięta to, co się powiedziało. Jest elegancko ubrany i dba o swój wygląd. Czasem sprawia wrażenie niemal dobrodusznego, ale to trwa zazwyczaj krótko”.

Trzeba sobie uprzytomnić, kogo miał w rękach, jak łatwo było złamać siłę i stworzenie bez doświadczeń, rozpieszczone i zneużytkowane przez bogatą rodzinę o ziemiańskich fumach, z którą zerwała pod koniec okupacji, by związać się z chłopcem szukającym ukrycia.

Napomknęła, że wtedy na biurku w pobliżu aparatu telefonicznego leżała fajka i rewolwer. Ciemny blondyn powtarzał: musi pani ratować jego, siebie, wasze małżeństwo, musi pani pomóc nam i jemu. Zatelefonowała. Powiadomiła męża, że jest chora i prosi go o natychmiastowy powrót. Czekali na niego na dworcu w Warszawie. W tym momencie urywała swoje opowiadanie. Mogłem się najwyżej domyślać, że za jego uwolnienie oboje zapłacili wygórowaną cenę, nie pieniężną. Z Zakopanego wyjechała przede mną. Później w Warszawie spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, w *Telimenie*, u *Marca*. Po długiej przerwie, chyba zimą 1954/1955 zadzwoniła do mnie i umówiliśmy się na Krakowskim, w hotelowym cocktail-barze. Przyszła cała w tirkach, przezroczysta, skronie jak z wosku. W czwartym zdaniu zaczęła mówić o różnych sposobach popełnienia samobójstwa i oznajmiła mi, że tylko jeden byłby dla niej wykonalny. Pójść mroźną nocą w góry z butelką wódki i zasnąć w śniegu. Nie zapytałem, dlaczego mówi o samobójstwie. Wybąkałem jakiś banał, że każde zmartwienie czas wykrusza, albo coś w tym rodzaju. Nie mogłem w niczym jej pomóc. Jej małżeństwo się rozpadło. Nie zapytałem, dlaczego mówi o samobójstwie, bo w przeddzień naszego spotkania usłyszałem przez Radio Wolna Europa jej nazwisko. Pułkownik Światło w kolejnym odcinku swoich rewelacji wymienił ją na liście współpracujących z nim informatorów służby bezpieczeństwa. Przypuszczam, że męża zwolniono w zamian za jej współpracę. Po roku 1956 wyjechał do Stanów

Zjednoczonych na katedrę uniwersytecką. Ożenił się po drodze, w Europie. W tym przypadku intryga noweli „zaskoczyła”, przetwarzając rzeczywistą sytuację na swe podobieństwo.

W *Zielonym kajecie* Sainte-Beuve zapisał słowa godne podziwu, przy których błędnie szczerość *Wyznań* Rousseau'a:

„Wiem nadto dobrze, nie ma we mnie żadnej wielkości, nie potrafię kochać ani wierzyć. Sam usiłuję się zmienić przez sympatie, które sobie narzucam, i szybkie ogarnianie wszystkiego inteligencją. W zamian rozpoznaję natychmiast każdą fałszywą wielkość i nienawidzę jej”.

Ten sam człowiek, tak ostro widzący siebie, bywał ślepy w stosunku do innych. Nie poznał się na Stendhalu, lekceważył Musseta, a twórczość Balzaka nazwał „kupą gnoju”.

Nadszedł list z Belgradu od Petara Vujićica w związku z jugosłowiańskim wydaniem *Nierzeczywistości* i *Miesiący*. Pod koniec listu czytam:

„Trochę się niepokoiłem czytając urywek *Miesiący* w nowym numerze *Kultury*, bo Pan pisze o chorobie i szpitalu, ale ponieważ list do mnie był pisany w domu, mam nadzieję, iż kryzys minął. Niech Pan się trzyma, tak dużo pisarzy polskich już odeszło, iż w Polsce pozostało mi zaledwie kilku znajomych literatów. Jeszcze Pan dobrze pisze, jeszcze jest Pan potrzebnym. Na tamtą stronę i tak zdążymy bez spóźnienia. Pozdrawiam Pana serdecznie”.

Powiedziałem M., że to musi być dobry chłop ten Petar Vujićić.

Specjalnie lubię chwilę około 5-tej po południu, kiedy wołam z mojego pokoju: — Czy dasz mi herbaty? — a M. z drugiej strony korytarza odpowiada nie wymawiając *r*: — Dobra. — Często nie chodzi mi o filiżankę herbaty, ważne jest tylko, żeby usłyszeć to spokojne i chętnie „dobra”. Czasami M. odpowiada mi znad mówiącego radia. Jej głód informacyjny jest tak silny, że jeśli nigdzie nie udaje jej się trafić na polskie wiadomości, słucha dziennika po węgiersku. Świat musi się do niej odzywać, cisza jest dla niej czymś nienormalnym. Dla mnie odwrotnie.

Marzec

Wiele osób z kraju przewinęło się przez dom w ostatnich tygodniach. Z wszystkich opowiadań wyłania się ten sam zły obraz. Niemal opis choroby, rozpadu organizmu. Podobno wy-

głód Warszawy jest przygnębiający. Nie konserwuje się budynków, pękają rury i asfalty, na nieuprzątniętym czarnym śniegu leżą sterty śmieci. Wykopuje się za to trasę kolei podziemnej. Nikogo nie cieszy to warszawskie metro. W gazetach pisze się o przeciekających dachach i brudnych kłatkach schodowych. Tak-sówkarze przeklinają zakazy ruchu i przymusowe objazdy, w błotnistej mazi ślizgają się opony, przechodnie muszą uważać na dziury w chodniku. Ostatniego dnia lutego w Warszawie liczącej 39 kin wyświetlano 23 filmy radzieckie. Co prawda z okazji zjazdu partii w Moskwie.

Ludzie przybywający z Warszawy lub Krakowa skłonni są już nawet pomijać codzienne uciemżenia, drożyznę, brzydotę, psucie się instalacji, źle ogrzewane lokale, całą tę męczarnię powszedniości, przez którą brnie się na miękkich nogach, by móc dojść i — jak ktoś rzekł — „wejść pod koc”. Coraz więcej natomiast mówią o psychicznym wyczerpaniu. „Budzi się pan rano w zimnym pokoju, musi się pan ubrać w stare ciuchy, zejść po mleko, pieczywo, i cały czas pan myśli, że przez dziesięć lat nic się nie zmieni”. Kto inny twierdzi, że można żyć bez mięsa, ale nie można żyć bez nadziei. Słowa „bezruch”, „rozkład” stały się obiegowe. Relacje o rozkruszaniu się Krakowa i zatrutowaniu Śląska powtarzają się dokładnie w tych samych posępnych wersjach. W Krakowie przy 25-stopniowym mrozie Wisła nie zamrzła, bo rzeka zmieniła skład chemiczny, przestała być wodą.

Zaczyna prześladować myśl, że w Polsce naruszono rdzeń życia, i podejrzenie, czy nie działa w tym jakiś plan. Realizacji starych marzeń o zniszczeniu Polski? o zepchnięciu jej do cywilizacyjnego poziomu rosyjskiej prowincji, bądź sowieckiej republiki, z pozbyciem się inteligencji, zbiednieniem i wyjąłowieniem? Czy idzie gra o złamanie Polaków przez sfaszyzowaną policję, spolitrucone wojsko i znikczemniały aparat, o bierność i posłuszeństwo, o to, aby Polska musiała się moralnie i fizycznie poddać — o ukrajinizację?

Duchowny, zakonnik z rasy humanistów, opowiadał mi wczoraj o nader ciekawych dyskusjach i lekturach uczniów, studentów, o przenikaniu do umysłów czegoś najważniejszego, co jeszcze nie da się ogarnąć ani nazwać ani określić — nowego rozumu, wiary, lub sposobu przeżywania. — Pamiętam, że pisał pan kiedyś o lewicowych tradycjach Żoliborza, a pewnie pan słyszał, że dzisiaj życie na Żoliborzu skupia się wokół kościoła i grobu, ale niech się pan nie obawia, to nie oznacza nic „endeckiego”, nie tylko socjalizm się zmienił od przedwojennych czasów, katolicyzm także. I to się jakoś łączy ze sobą, wie pan, ten odnowiony Kościół z korowską lewicą. W Kędzierzynie dziewczyny wyszywają chłop-

com na zimowych swetrach BÓG i OJCZYŻNA. Mówię im: to wyście tacy bogo-ojczyźniani, a nie boicie się żartów? No nie, uśmiechają się, przecież BÓG to znaczy „walcze”, a OJCZYŻNA — „jestem u siebie”, z czego żartować?

Słucham i chcę wierzyć. A potem nadchodzi jakiś dzień, noc, kiedy straszny mnie obraz niszczzonego kraju, szara, widmowata, samouwielbiająca się Polska, stojąca w ogonkach do grobów i wódki.

Zdaje się, że nostalgia nie jest tęsknotą, tylko półświadomym myśleniem, które można by porównać do wpatrywania się w cień. Mówiłem kiedyś, że Polacy to Francuzi, którym się nie udało, że wszystko, co we Francji jest konkretem, w Polsce staje się pozorem, cieniem. Chwilami ów brak konkretności uważamy za źródło życia duchowego i odczuwamy swoją wyższość, w której już tkwi „roszczenie bezpłatności”...

Tak bodaj wyraziłem się w rozmowie z młodym opozycyjnym literatem, który był u mnie nie tak dawno, w zimie. Błądy, o romantycznej twarzy z kędzierawym zarostem. Wracał do Warszawy. Domyślałem się, że wraca rozczarowany i zniecierpliwiony. O pogrudniowej emigracji mówił gorzko i miał jej wiele za złe. Przede wszystkim opuszczenie Kraju.

Była także mowa o *Miesięcach*. Ich odbiór, twierdził, jest bez porównania słabszy w kraju niż na emigracji. Na co odpowiadam, że nic w tym dziwnego, skoro w kraju nie wyszły. Pomimo to mam wiele telefonów i listów od ludzi przyjeżdżających z Polski, którzy w okresie spędzonym na Zachodzie przeczytali *Miesiące*, albo słuchali w kraju przez Wolną Europę. Na co on: że mógłby się ukazać w niezależnym obiegu jednotomowy wybór z oryginalnego wydania. A więc *Miesiące* skrócone dla Polaków, tak jak dla Duńczyków i Włochów... Robi mi się ciężko. — Ale właściwie — dziwi się przedstawiciel literackiego podziemia — dlaczego nie napisze pan powieści o tamtych szesnastu miesiącach? Dzienniki, pamiętnik to dużo łatwiejsze i chyba jednak mniej ważne...

Nie wiem, czy mniej ważne. Wiem tylko, że nie jest łatwiejsze. Mówię, a raczej powtarzam to, co mówiłem i pisałem, że *Miesiące* nie są dziennikiem, w którym notuje się codzienne wydarzenia i myśli, ani pamiętnikiem, w którym utrwała się swoją biografiją. Są nie-fikcyjną, konstruowaną narracją o czymś życiu. W trakcie pisania i między tomami przeżywa się martwe okresy, podobne do zapaści. Jak gdyby puls ustawał. W tych okresach nie można pisać. Tak samo bywa w czasie pracy nad powieścią. Bo w gruncie praca jest ta sama. Bo w istocie o wszystkim decyduje tu wybór: odrzucenie tego, co przypadkowe, i wzięcie

tego, co przeżyte. Bo nie wybiera się świadomie — wybiera się przeżywając. Wymaga to cierpliwości, troski, upływu czasu. Dziś jeszcze nie wiem, czy napiszę o naszym spotkaniu, ponieważ nie wiem czy i w jaki sposób ono będzie przeżyte, we mnie, przeze mnie. Podobnie nie mogłem wiedzieć, że w filmie *Shoa* najsilniej przeżyję bezwiednie skojarzenie reakcji fizjologicznej kobiet oczekujących na zagazowanie w komorze — ze skurczami żołądka, jakie poczuła wdowa Capet na widok zajeżdżającego po nią wózka dla skazańców.

W trakcie jak mówiłem, młody literat notował. Przed wyjściem poprosił mnie o fragment prozy dla *Wezwania*, pisma ukazującego się w drugim obiegu. Nie wspomniał tylko, że *Wezwanie* wydrukowało napaść na mnie w podpisanym pseudonimem felietonie. Nie czytałem tego felietonu, co można było łatwo odgadnąć z rozmowy.

Potem wydawało mi się, że przesadziłem posądzając go o żale w stosunku do nowej emigracji. A jednak te żale brzmią gdzieś nigdzie. Przed trzema dniami nadszedł z USA, via *Nowy Dziennik*, przedruk artykułu, który ukazał się w listopadowym numerze krajowego pisma *Solidarność Rejonu Mazowsze*. Tytuł: *Nie... wielka emigracja*. Test podpisany: Mochnacy Maurycki. Pogrudniowej fali emigracyjnej zarzuca Maurycki powiązanie wzajemną adoracją a zarazem wrogością, intrygantwem, rywalizacjami. Nie ma w niej „ani Hotelu Lambert, ani Towarzystwa Demokratycznego, ani plebejskiej Gromady Grudziąz”. Jest natomiast zawiść, komeraże, podział na koterie. Autor uważa emigrację po grudniu 1981 za rodzaj dezercji, odstąpienia od Sprawy, którą eks-dziatacze „Solidarności” teraz, w Londynie, Paryżu lub Nowym Jorku, chcą już tylko dyskontować dla osobistych karier. „Jeśli pretendują do godności Polaków — czytam w zakończeniu — nie wolno im odejść od tradycji tej emigracji, która zasłużyła na miano Wielkiej. Niech dumają na paryskim bruku o wielkim, zbiorowym obowiązku — inaczej będą jeno pawiem i papugą”.

Ile złości w Mochnacym! Dowiaduję się zatem nowych a przykrych rzeczy. Ale... czy prawdziwych? Jedno z dwojga: albo obserwacje autora nie są trafne, albo ja żyję tak dalece na ubożu, bądź pod powierzchnią nurtu, że te wiry mnie nie wciągają. Myślę jednak, iż Mochnacy tu i ówdzie się zagalopował. Hotel Lambert... Nie jestem pewien, czy każde pokolenie emigracyjne powinno mieć obowiązkowo swój własny Hôtel Lambert i *Dziady*. Przybijamy się do historycznych porównań jak do krzyża. Porównywanie emigracji po roku 1981 z tamtą po 1831, nazwaną później Wielką, porównywanie ich po to, by stwierdzić, iż obecna wielką nie jest — wątpię, czy takie porównania mają sens.

Sam wprawdzie się dokładam porównując „Solidarność z Konfederacją Barską, albo zamyślając się — a jest to zamyślanie się zbiorowe, na emigracji i w kraju — czy grudniową klęskę zbliża więcej analogii do upadku Styczniowego, czy Listopadowego. Podobnie rozważa się znaczenie głównych postaci: komparatystycznie. Wałęsa (Kościuszko? Kiliński?), Giedroyc (Czartoryski?), Gombrowicz, Miłosz (Norwid? Mickiewicz?...). Ile razy porównywalicie Michnika do Mochnackiego? Ja porównywałem. To jest odruch niemal genetyczny — zamknięcie się w klatce polskości (co nas obchodzą Filipiny!...), duszenie się narodowymi bandażami, a nieraz plucie śliną i żółcią.

Jeśli nie można się obejść bez analogii i porównań, to proponowałbym zajrzeć do epok mniej odległych. „Solidarność” była nie tylko patriotyczną insurekcją, nie tylko ruchem związkowym walczącym o samorządność. Była także walką o republikę przeciw dyktaturze. Była walką nowej polskiej demokracji — niejednolitej, skłóconej, o małym zasobie doświadczeń politycznych. Mogłyby się zatem nasuwać analogie już nie z bitwą pod Stoczkiem, lecz z katolicką i robotniczą Barceloną, stawiającą opór wojskom junty generalskiej. Zastanów się, Maurycy, czy warto dzisiejszych paryskich emigrantów znad Wisły przydeptywać kamiennym butem Mickiewicza — czy nie lepiej odstawić nogę wieszczą i pomyśleć nieco o losach, w tymże Paryżu, emigrantów hiszpańskich po upadku Madrytu i Katalonii, lub niemieckich po spaleniu Reichstagu? To były również emigracje republikańskie po klęsce. Rozbite i zwaśnione, działały w nich dobrze i źle. Nie były obojętne wobec swoich krajów, nie składały się z intelektualnych „światowców” zajętych własnymi karierami. Trzeba w nich widzieć przede wszystkim to, czym chciały być. Jak będzie nazywana za pięćdziesiąt lat przez historyków emigracja polska po 1939 roku, o tym może się dowie Mochnacy Maurycy, ja z pewnością nie. Jej doniosłość historyczna już dzisiaj jest bezsporna. Co zaś do obecnej, tej po roku 1980, to z każdym dniem staje się dla mnie widoczniejsze, że nie rozluźniła swoich związków z krajem i jest mu potrzebna. Sądzę — niestety — że będzie mu potrzebna coraz bardziej. Może w przyszłości kolejne fale polskiego wychodźstwa zostaną ponumerowane, jak Republiki w dziejach Francji, i o tej dzisiejszej, pogrudniowej, zacznie się mówić Czwarta Emigracja. Ale wypowiadać się już dzisiaj o jej znaczeniu w historii narodu byłoby, myślę, za wcześnie.

Na kawie byli Julia i Artur Międzyrzeccy, którzy przyjechali z Warszawy, i Jacques Selvaggi z żoną. Obydwaj z Arturem tylko

zerknęli na siebie i od razu wywągłali swoje kombatanctwo, tak że mogłem spokojnie słuchać przez trzy godziny. Utkwiło mi w pamięci zdanie: „nie wiemy wszystkiego o wojnie, bo wyszliśmy z niej żywi”. To chyba Artur powiedział. Wieczorem dalej czytałem eseje Aleksandra Wata *Świat na boku i pod kluczem*. Wat był w jedenastu więzieniach i siedemnastu szpitalach sowieckich. Wyszedł żywy i poddał analizie System. Stąd ta książka, powstała z odnalezionych po nim notatek. Rzecz przykuwająca również językowo. To pisana z rzeczową siłą wyrazu i scjentystyczną erudycją, to intryguje osobliwościami i nieprzejrzystością jakby norwidowską: „... przez fatalność demonii i własnego ducha zniekształcają postać rzeczy widomą”. Przy tym wiele nieoczekiwanych makaronizmów i zapożyczeń obcojęzycznych, np. zamiast „pojawienie się” Wat w którymś miejscu używa słowa „paruzja”, a także bardzo często z upodobaniem zastępuje polskie „zmieńmy temat” francuskim „passons”. I dziwna rzecz, wszystko to znakomicie siedzi w jego stylu, ani cienia pretensjonalności. Język Wata zasługuje na osobne studium. To jest ciężka budowa, mozolne dobieranie kamieni, raz wyszukanych, raz chropawych, ale które przylegają do siebie tworząc zwarty blok treści.

Wat wiele rzeczy zaczynał i porzucał. Kiedyś w Zakopanem dał mi do czytania fragmenty swojej prozy, niezwykle ciekawe, w nieco mannowskim charakterze. Nigdy tej powieści nie ukończył. Stąd pewnie w jego książce sporo goryczy literackiej, a też i złośliwości w stosunku do współczesnych mu pisarzy. Dręczył go kompleks: nie miał dzieła. Nie wiedział, że je tworzy. Powstawało z jego zapisków, ze szkiców myślowych, z rozmów nagrywanych na taśmy. Była to jedna z najdziwniejszych i najtragiczniejszych, a zarazem zwyczajnych biografii pisarskich.

W tomie *Świat na boku i pod kluczem* zamieszczony jest portret starego bolszewika, Stieklowa, z którym w roku 1941 Wat zetknął się w więzieniu w Saratowie:

„Wąska, pociągła głowa o szlachetnym kośćcu; sucha twarz harmonijnie porysowana, a jednak na pozór gładka, z energiczną składką ponad wargami; oczy duże, bez blasku, które chwilami zapalały się, też bez blasku, źrenice przenikliwe, które bardzo często zwężały się w wyrazie pogardy, a wtedy powieki przymykały się, ale były tak cienkie jak błonka, a spojrzenie kładło się ciężko na rozmówcy, na rzeczach; usta musiały być kiedyś pełne, miękkie, może i kobiece, teraz były ledwo znakiem ust; broda twarda; przy skrajnym wychudzeniu nos występował z energią gwałtowną, a jednak nie on dominował na tej twarzy, lecz owo ciężkie spojrzenie. Całość, z kośćmi policzkowymi i z nadoczodołami, rzeczywiście układała się w dantejską literę M”.

W tym fizjognomistycznym opisie lepiej widać obserwujące ciemne oko Wata niż twarz Stieklowa. Charakterystyka szczegółów wyglądu nie zawsze stwarza widzialność postaci, czasem wystarczy jedno jej odezwanie się lub milczenie. Wat nie był narratorem, który komponuje — zanadto dbał o ściśle przystawanie słów do myśli, a w dodatku jego myślenie było ciągłym rozgałęzieniem się na asocjacje i dygresje, było myśleniem w kilku planach, z licznymi odsyłaczami (widać to na fotokopiiach rękopisów) i w bezustannej obawie przed stylistycznym samouwiedzeniem. Stąd „notatkowość” jego tekstów. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek nadałby im ostateczną formę, zbyt głęboko tkwiła w nim niepewność, jak wyrazić przedślowny sens myśli. Powieściopisarze także znają ów niepokój, mogą się jednak pocieszać tym, że materia prozy literackiej nie jest czysto myślowa i jej istota polega na czymś innym niż semantyczna dokładność. Wat, inwentaryzując twarz Stieklowa, rozłożył ją na części: widać nos, powieki, składkę nad górną wargą, ale Stieklowa nie widać. Staje się bardziej widzialny w następującym fragmencie opisu:

„To zasępiął się, to znów, w chwilach milczenia, łagodniał uderzająco pięknie. Ale przeważnie demonstrował wzgardliwą i szyderczą agresywność wobec wszystkiego. Gestykulację miał pobudliwą i ostrą, zwłaszcza w chwilach gniewnego uniesienia, któremu widocznie dawał folę, ale umiał też natychmiast ją zahamować, w ogóle — zdyscyplinować się, a wtedy dla odmiany był lodowato spokojny i wyniosły. Cechował go szczególny rodzaj pańskości, który zaobserwowałem dawniej u starych esdeków z dobrych rodzin, starannie edukowanych w kindersztubach. I ona również, owa pańskość, przyczyniła się być może do ich zguby w ZSSR, samą aparycją prowokując gminność bolszewickich parweniuszy”.

Ale Stieklów ukazuje się dopiero pod sam koniec, gdy rozłączono ich i Wat dosłyszał zza ściany jego głos: „Już przed świtem słyszałem jego ostre *Boga radi*, pewno o coś prosił, i na przemian: *Stalin... Stalin...*, ale mówił to już chyba w malig-nie. Głos mu osłabł, zapadał się, głos starczy, słowa rozmazane. Nasza stara salowa na słowo *Stalin* zęgnęła się po kryjomu”.

Dopiero wtedy — przez ścianę — Stieklów staje się naprawdę obecny. Znak krzyża nakreślony przez salową po kryjomu, ze strachu przed jego nienawiścią do tyrana, więcej o nim mówi niż opis jego gestykulacji i kości policzkowych.

Śmierć starego bolszewika jest w eseistycznym tomie Wata jedynym opowiadaniem. Mimo iż cały tom stanowi w gruncie rzeczy studium o stalinizmie, po przeczytaniu książki myśli się o trzech postaciach: Stalinie, Aleksandrze Wacie i Stieklowie;

można by więc tę książkę uznać za jeszcze jedną próbę — w tym wypadku zapewne mimowolną — osiągnięcia celów fikcji literackiej przy pomocy autobiograficznego zapisu.

Stieklów — opowiada Wat — był wieloletnim redaktorem *Izwestij*, autorem książek o Czernyszewskim i Bakuninie oraz jednym z najdawniejszych współpracowników Lenina. Wat zwrócił na niego uwagę, gdy w tłumie ewakuowanych więźniów Stieklów głośno złorzeczył Stalinowi. Później od współwięźnia w celi Wat dowiaduje się, że Stieklów blisko znał Stalina, podobno rozbierał go anegdotkami. W Moskwie na krótko przed wybuchem wojny organizowano dla Stieklowa jubileusz 50-lecia jego działalności rewolucyjnej; patronat objął sam Stalin, który wysoko cenił prace Stieklowa o Czernyszewskim. Tuż przed uroczystościami aresztowano jubilata wraz z żoną i synem. Wkrótce zakomunikowano, że Stieklów zmarł na atak serca. Był „żywym trupem”: zamknięty w celi więziennej, gdzieś na Syberii, pisał za wiedzą Stalina nowe dzieło o Czernyszewskim. Na początku wojny przewieziono go do więzienia w Saratowie i wtedy zobaczył go Wat w kolumnie więźniów. Stieklów przeklinał Stalina w obecności uzbrojonych konwojentów, lżył także innych przywódców bolszewickich („kanalie”, „ścierva”, „ta szmata Woroszyłow”), nie oszczędzając siebie: „Wszyscy mieliśmy ręce unurzane we krwi, w g.....! Wszyscy, wszyscy bez wyjątku! Od samych początków! Po łokcie!”. W saratowskim więzieniu przed śmiercią prosił Wata, aby po powrocie do Polski opisał, jak umierał stary Stieklów.

W zakończeniu Wat składa hołd tej postaci, jednej z dziesiątków milionów ofiar komunizmu. Píše o Stieklowie, że w ostatnich dniach swego życia przedstawił mu się jako człowiek piękny. I tu Wat kreśli takie słowa: „Nagrzeszył wiele, a miał szczęście i męstwo odkupić to protestem i męznym cierpieniem”.

Po lekturze zastanawiałem się, jak potoczyłoby się życie Stieklowa, gdyby go nie aresztowano, lecz odznaczono orderem Lenina na uroczystym jubileuszu w Moskwie — czy byłby później zdolny do protestu i cierpienia. Przypuszczam, że Wat również się nad tym zastanawiał. Musiał sobie uświadamiać, jak nieproste są losy jego współczesnych, i na pewno wiedział, że kulturę tworzą nie tylko cnoty, ale i grzechy i słabości. Życiorysy wielu uczonych, pisarzy, artystów w naszym stuleciu, i nie jedynie w naszym, były pełne sprzeczności, popełkane, częstokroć niejasne. To dzisiaj młodym krytykom wydaje się, że główną wartość polskiej literatury po roku 1945 stanowiły dzieła pisarzy niezłomnych wobec komunizmu. Biografie pisarskie świadczą o czymś innym, niełatwym do jednoznacznego zakwalifikowania. Aleksan-

der Wat przed wojną był marksistą i sympatykiem ZSSR. W 1940 pracował w redakcji komunistycznego pisma we Lwowie, gdzie później został aresztowany przez NKWD. Po przejściu przez sowieckie więzienia i powrocie do Polski, mając pełną wiedzę o Systemie (w swoich notatkach tą nazwą określa stalinizm) wstąpił do Związku Literatów Polskich i objął stanowisko w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Był odkrywcą i entuzjastą pamiętników Lucjana Rudnickiego *Stare i nowe*. W tym okresie uczestniczył w komisjach i zarządach ZLP, jeździł też za granicę w oficjalnych delegacjach literackich. Wtedy mnie to nie dziwiło, dopiero kiedy się dzisiaj nad tym zastanawiam, nie jest dla mnie łatwe do pojęcia, co go ku temu skłaniało (11 więzień w ZSSR!) i dlaczego nie wybrał raczej sytuacji Stawara lub Peipera, którzy w tych latach nie istnieli publicznie. Przypuszczalnie miał jeszcze jakieś nadzieje i złudzenia. Łagodna rewolucja, polski model...

Jeszcze przed śmiercią Stalina i „odwilżą”, chyba w 1952, wygłosił w zapełnionej sali Związku Literatów przemówienie kwestionujące teorię i praktykę realizmu socjalistycznego. Odwaga na owe czasy szaleńcza. Kiedy opuszczał salę — o parę kroków za nim jego żona — na trybunie stał już kto inny, by zacząć swoje wystąpienie od słowa „renegat”. Wat idąc do drzwi zwrócił się jeszcze ku sali, jakby chcąc odpowiedzieć. Był blady, wyczerpany. Co najmniej połowa obecnych myślała podobnie jak on. Nikt nie przemówił w jego obronie. Będę zawsze pamiętał tę chwilę, kiedy stał przy drzwiach, zwrócony do nas i jakoś szczególnie inny od nas w swoim wyodrębnieniu. Tak wyglądał w owych latach rycerz z Manczy: pobladły, jak bokser po walce, ze szpakowatą grzywą i ciemnym okiem, niepodobny do żadnego z obecnych. Potem ciężko chorował. Ola Watowa, przypominam sobie, napisała w swojej pięknej książce, że po wyjściu z zebrań, czekając w mróz na przystanku, zapewne nabawił się choroby, która po latach przyczyniła się do jego śmierci.

Po roku 1956 spotykaliśmy się w Oborach, później kilkakrotnie w Paryżu — raz w Closerie des Lilas, kiedy indziej na przyjęciu w ambasadzie polskiej. Ostatni raz widzieliśmy się w czerwcu 1963. Wracałem z festiwalu filmowego w Cannes, gdzie wyświetlono *Jak być kochaną*. Wat siedział z synem, Andrzejem, na tarasie kawiarni *Deux Magots*, zatrzymałem się chwilę przy ich stoliku, by opowiedzieć nowiny z Warszawy. Nowiny były złe i przewidywałem, że idą złe lata. Kiedy odchodziłem, Aleksander zawołał za mną: — Siedem lat! — i pokazał mi tę cyfrę na palcach. Był już siwy; letni płócienny kapelusz i niebieska kurtka nadawały mu wygląd starego paryskiego malarza, a jednocześnie w wysuniętej szczęce i palącym spojrzeniu miał

powagę wróźbity. Jakimś dziwnym sposobem sumowało się to w elegancję, w ową pańskość dobrze urodzonego intelektualisty, która uderzyła Wata w postaci Stieklowa przy pierwszym zetknięciu.

Czytałem przemówienie Miłosza wygłoszone na kongresie PEN-Clubu w Nowym Jorku. W nim parę zdań dużej wagi, kluczowych — zwłaszcza dla studentów, którzy głowią się dzisiaj nad tajemnicami stalinizmu. Według Miłosza tyranie są pociągające dla intelektualistów, ponieważ uwodzą ich perspektywami idealnych utopii, podczas gdy demokracja reprezentuje tylko rzeczywistość. Przytoczyłem z pamięci, ale taki był sens tych uwag.

Obserwuję następujący rytm: pogodzenie się ze światem — niewiara — udręka. Udręka — niewiara — pogodzenie się ze światem. Najbardziej podobne do szczęścia są chwile obcowania z urodą miasta, którego kiedyś nie będzie.

Kwiecień-czerwiec

Cztery dni w Monachium. Od ostatnich dni marca ta podróż zaczęła mnie straszyć i w natarciu złych duchów stała się awangardą, szpicą koszmarów. Pakowanie się... jazda na lotnisko o 7-mej rano... po przylocie obiad z Niemcami... występ w Akademii... przyjęcie, rozmowy z nieznanymi ludźmi... Zdawałem sobie sprawę, że u spodu mojej agorafobii tkwi lęk przed oderwaniem się od miejsca, w którym piszę, i że powtarza się to za każdym razem, przy każdym wyjeździe. W całym tym strachu towarzyszy mi świadomość dysproporcji. Komiczna nierówność zachodzi między istotnymi przyczynami depresji a zgrozą na myśl o zapakowaniu walizki. Stany wewnętrzznego rozpadu powoduje zapewne — mówię o najgłębszych, ostatecznych powodach — doznanie własnej znikomości. Pakowanie walizki staje się wówczas czymś dodatkowo zbędnym i głupim, paraliżujących wolę. Ale jeśli zapakowanie walizki staje się niemożliwe, trzeba zapakować walizkę. Rano, kiedy wepchnąłem do torby przybory toaletowe, poczułem nagły kontakt z życiem, coś się zapaliło, jakbym włożył wtyczkę do gniazdka elektrycznego. W tej samej chwili zgasła we mnie pamięć moich cierpień i już w drodze na lotnisko nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego cierpiałem.

W życiu kulturalnym, czy intelektualnym, w kraju i na emigracji, obok rzeczy wybitnych dużo animozji i rozjątrzeń, zwłaszcza w rozrachunkach za przeszłość, również tę najnowszą 1980-

1981. Przysłano mi wycinki z prasy. Prosperuje wielu Sandauerów *à rebours*, tak samo zaślepionych sobą i zadowolonych z siebie (często powtarzam, że łatwiej ukryć rozpacz niż zadowolenie z siebie), a także fanatycznych konwertytów, wzywających do pokory wobec narodu. Przy czym odżywa stara endecka obłuda z jej meskinerią i maniactwami. W literaturze toczy się walka o miejsca na teraz i wstecz. Z rachunku politycznego wynikają pochopne przewartościowania. Dla wielu publicystów jest rzeczą niewątpliwą, że znakomitym pisarzem był Tyrmand, natomiast Gałczyński reprezentantem lekkiej i służebnej muzy; w wolnym miejscu po skreślonej Nałkowskiej umieszcza się Hannę Malewską. Kiedyś trzeba to będzie odrabiać. W tym wszystkim jest nieraz odczuwalna pośledniość, jaką wnoszą ze sobą ludzie nieutalentowani albo średnio utalentowani, dla których nie ma złych czasów. Masa pseudonimów — artykuły tracą osobowość i zlewają się w zbiorowy, anonimowy tekst. W sumie wrażenie, że są tam rozpaczliwe wiry, że ludzie i słowa kłębią się w nieśczęściu.

Uderzające, że w pismach i książkach wydawanych zarówno w Polsce, jak i na emigracji, odbija się podwójna dusza, dwa typy ludzkie — ukształtowany przez jezuitów i drugi przez Oświecenie. Przetrwały wieki i dalej są szczepione ze sobą, skazane na siebie. Różne kształty polskości jeszcze nie przystąpiły do generalnej bitwy, bo konflikty temperamentów i światopoglądów wyhamowuje sprawa narodowa, a miarodajnym wyznacznikiem postaw częściej jest stosunek do rządu niż do świata. W rezultacie — nawrót zacieklego polonocentryzmu. Myślę, że w ośrodku mózgowym reżimu wszystko to jest analizowane. Pole do manipulacji rozległe. Za pomocą szczucia w kraju jednych na drugich, przy jednoczesnym wydawaniu jednym i drugim paszportów na Zachód, można osiągnąć pożądaną stan rzeczy, o którym francuscy dziennikarze piszą: *normalisation en Pologne...*

Wróciłem do pamiętników Dumasa, żeby się mniej denerwować.

Co do moich spraw literackich: nie ograniczają się do tego, że wydawnictwa niezależne w kraju zignorowały *Miesiące*. Mógłby to być powód do refleksji i wspomnień sprzed lat, choćby o dniu jubileuszu NOWEJ w mieszkaniu na Żoliborzu, gdy fetowano wyjście jej setnej pozycji literackiej, którą był tom *Miesiące* 1978-1979 (pierwszą była *Nierzeczywistość*). To jest sfera ducha. Lecz istnieje także materia. Na szczęście w ciągu paru lat od wyjazdu z Warszawy zawarłem z wydawcami zagranicznymi kilka naście umów na moje ostatnie książki.

Były niegdyś w mieszkaniach kule z lanego szkła, w nich małe kolorowe widoczki, miasteczka otulone śniegiem, kościół, ratusz. Tak wyobrażałem sobie Monachium. W moim monachijskim widoczku mieściły się jeszcze piwiarnie z jelenimi rogami na ścianach, mężczyźni o bawolich karkach trącający się kuflami ociekającymi pianą oraz dom Tomasza Manna nad Izarą. W Monachium przez cztery dni padał śnieg. Mieszkaliśmy w małym *hotel-pension*. Miasto w 1944 było zbombardowane przez Amerykanów, naloty zniszczyły 56 % zabudowy. Po rekonstrukcji jest wypełnione życiem, rojne. W dzielnicach wielkich magazynów przewalał się tłum jak na Manhattanie, w kafeterii *Monopteros* podawały nam uśmiechnięte dziewczyny podobne do Amerykanek. Po wieczorze w Akademii (trio z Dedecusem i Zagajewskim) otoczyli nas przemili ludzie, atmosfera swobodna, ciepła. Tu już się czuje Południe, mówiłem, to nie są Prusy. Wspominałem przykre momenty w Berlinie, gdy każde wahanie za kierownicą powodowało rozwścieczony wrzask z sąsiednich samochodów. To jest miasto uniwersyteckie — tłumaczyłem — miasto z artystycznymi tradycjami. Niektóre dzielnice ewokowały mi Gdańsk skrzyżowany z Triestem, w innych architektura miała horyzontalne rytmy pałacu Pittich albo jakiś włosko-austriacki melanż, z ukrytym w środku — domyślałem się — bawarskim indywidualizmem, a może i szaleństwem, łagodnym szaleństwem zaszytym w cesarzowej. Tutaj tłum nie ma pruskiej, dydaktycznej furii — twierdziłem, kiedy zjeżdżaliśmy ruchomymi schodami z czwartego piętra *KAUFHOFU* — i nawet te ich kapelusiki są zaprzeczeniem pikielhauby. Na drugim piętrze, gdy przystanęliśmy chwilę przed eskalatorem, rozległ się za mną ryk: — Nie zastawiać przejścia! — Młody bawół o niskim czole i rozdętych nozdrzach patrzył na nas przekrwionymi oczami. Uśmiechnąłem się do niego, był to smętny uśmiech człowieka, któremu przypominała się młodość. — Pewnie przyjechał z Berlina — pocieszyła mnie M.

Cytuję z drugiej ręki za Maurice Sachsem:

„Człowiekowi z ich plemienia niezwykle trudno oddzielić się od wspólnoty, od *masy*, nazwijmy rzecz po prostu: być indywidualnym. Niczemu się nie przeciwstawia, nie ma własnej formy, lub raczej oczekuje własnej formy od szeregu. Stąd podporządkowanie się metodzie, regule, wszelkim kultom. Nie widzi korzyści w nieposłuszeństwie i nie odczuwa takiej potrzeby. Sądzi, że tak jest, ponieważ jego reguła jest doskonała. Lecz równie dobrze być może, iż on bez swojej reguły jest niedoskonały. *Nigdy nie są roztargnieni*. Ileż razy przypominam sobie to po wiedzenie. Wydaje mi się, że nigdy o Niemcach nie powiedziano

nic trafniejszego. A nam, Francuzom, jakże wiele to wyjaśnia — nam, którzy wciąż pozwalamy sobie na roztargnienie przez ciekawość serca, ciała i inteligencji, przez delikatność i wrażliwość, przez ową wrodzoną niepoprawną rozrzutność, którą przekładamy nad własne korzyści” (André Gide, pisane w roku 1919).

„My, cywilizacje, wiemy już, że jesteśmy śmiertelne. Widzimy dziś, że otchłań historii jest dostatecznie głęboka, by wpadli w nią wszyscy. Wielkie cnoty narodu niemieckiego spowodowały zło gorsze niż występki zrodzone kiedykolwiek przez gnuśność. Niewątpliwie trzeba było dużej wiedzy, by zabić tylu ludzi, zmarnować tyle dóbr i zniszczyć tyle miast w tak krótkim czasie. Lecz trzeba do tego było nie mniej *zalet moralnych*. Cnoty Obowiązku i Wiedzy, jesteście podejrzane. Być może pokój jest stanem rzeczy, w którym naturalna wrogość ludzi między sobą przejawia się w tworzeniu — zamiast, jak podczas wojny, w niszczeniu” (Paul Valéry, napisane w roku 1919).

Dzisiaj, w roku 1986, człowieka, który obawia się i Niemców i Rosjan, uważa się na Zachodzie za polskiego nacjonalistę. Najczęściej wyrażają tę opinię zachodni umysłowcy. Właściciele sądów w dorzeczu Loary rozumieją, że można się bać zarówno gradobicia jak suszy.

Pół dnia w Pinakotece, w natarciu arcydzieł, spiętrzonych jedno nad drugim, atakujących się nawzajem, a zarazem jakoś obojętnych wobec siebie. Wzrok Karola V z portretu Tycjana spoczywa w zamyśleniu na różowych pośladkach kobiet Rubensa, wypiętych w stronę *Pokłonu Trzech Króli* Grünewalda. Idąc przez sale uświadamiam sobie własną przemienność widzenia. Malarzy, przy których zatrzymywałem się dziesięć lat temu, dzisiaj mijam — zatrzymuję się przy tych, których wtenczas mijałem. Niedługo w Luwrze nie mogłem odejść od Tintoretta, teraz w Pinakotece stoję jak wryty przed Dürerem. Nagle przychodzi dzień odkrycia i równoczesnej zdrady, porzuca się jednego mistrza dla drugiego. I to nie jest tylko moja sprawa, zmienna pulsacja gustów trwa zbiorowo, wszyscy razem tworzymy raje, piekła i czyściec dla wielkich artystów i wkrótce razem zepchniemy w czeluść Picassa, a wyciągniemy... kogo?

Za to, że upodobania i gusty nie są odporne na działanie czasu — za to nie ponosimy winy. Nie ponosimy winy, ale musimy o tym wiedzieć. Musimy o tym wiedzieć, by umieć się obchodzić z działaniem czasu. Dotyczy to nie tylko obrazów. Umiejętnym postępowaniem można przeciwdziałać korozji niszczącej miłość lub podziw. Konieczna jest wtedy zdolność przeczekania. Trzeba postawić na rehabilitującą funkcję czasu, na długotrwałość. Fascynacje są wysoko oprocentowane, ale ryzykowne. Pewniejsze jest

przywiązanie, aczkolwiek daje niższy procent wzruszeń. Prawdopodobnie cierpliwość przywiązań tworzy kulturę, i to co lubię w kulturze francuskiej polega właśnie na długotrwałości. Nie lubię u Francuzów ich łaknienia mody, lubię ich przywiązanie do starych aktorów. Kiedy w telewizji pokazują wspartego o łaskę Charles Vanela, który debiutował na scenie przed pierwszą wojną światową, myślę: tak, to jest Francja. Nie był wielkim aktorem, ale ponieważ grał przez trzy czwarte wieku, stał się dla Francuzów wielkim aktorem. Czas tworzy wartość dodatkową, musi być tylko odpowiednio długi.

Powrót z Monachium 13 kwietnia. W samolocie dowiaduję się z gazet o zapowiedzianej uroczystości w rzymskiej synagodze, z udziałem papieża Jana Pawła II i wielkiego rabina Rzymu, Elio Toaffa. Dzienniki omawiają to wydarzenie w ogromnych komentarzach na parę kolumn. W *Libération* czytam, że Sobór Laterański (1215) wprowadził żółte odznaki dla Żydów, aby związków miłosnych między chrześcijanami a Żydówkami, i *vice versa*, nie można było tłumaczyć nieświadomością partnerów. Stu pięćdziesięciu biskupów w uchwale Soboru określiło te związki jako potworność. Po siedmiuset dziewiętnastu latach na wieczorku gimnazjalnym 14 kwietnia oświadczyłem się M.

W siedem lat później staliśmy oboje za plecami młodego człowieka w rannych pantoflach, grającego na pianinie. Pokój był pełen słońca. — Nie więcej niż 50 złotych — rzekł doktor Staś wykonując pasaż. Wzniesiono już mury getta, Żydów i ludzi uznanych przez prawa niemieckie za Żydów obowiązywało nośzenie odznak z niebieską gwiazdą. M. znalazła dla mnie pokój sublokatorski na Narbutta u swojej koleżanki szkolnej, której mężem był doktor Staś. Wytwórnia fałszywych dokumentów, broń, waluta, nielegalne warsztaty tkackie, osoby pochodzenia żydowskiego, brydżyści z Kedywu, zatrzymany licznik elektryczny, skład podziemnej prasy, zebrania Badaczy Pisma... Obliczyłem kiedyś: jedenaście egzekucji. W tym mieszkaniu spędziłem moje najlepsze lata wojny.

Pokój miał sześć metrów kwadratowych, było w nim żelazne łóżko z siennikiem, piec, stolik, krzesło i szafa. Dla oszczędności nie opalałem go w zimie. Nie jadłem też pierwszego śniadania. Kładłem się późno, spałem dziesięć godzin do południa i po umyciu się w lodowatej wodzie szedłem piechotą na obiad do baru „Wilga” (róg Marszałkowskiej i Wilczej po stronie parzystej) albo do klubu literatów na Foksal. Wieczorem namiastka herbaty i chleb posmarowany kartkową marmoladą. Po miesiącu ważyłem 50 kilogramów. M. rzadko mi się przyglądała, jej stosunek do mnie przejawiał się pogodnym roztargnieniem, tym

razem jednak coś ją uderzyło w moim wyglądzie. Zacząłem jadać obiady u jej rodziców w Alejach Jerozolimskich. Na śniadanie chodziłem do cukierni Leżańskiego (Marszałkowska koło rogu Hożej). Pisząc zdanie: „Charakter jest przeznaczeniem” — Pasał stwierdził najistotniejszą rzecz o ludzkim życiu i nie miał całkowitej racji. W tych latach przeznaczeniem człowieka mogła być jego twarz, kolor włosów, oczy. Czułem się pewnie na ulicy, bo mój wygląd był dosyć bezpieczny, nie wyróżniał mnie wśród przechodniów. Po występie w Monachium autor sprawozdania w *Süddeutsche Zeitung* opisując moją powierzchowność zauważył, że można by mnie wziąć za Anglosasa czy Duńczyka. W czasie okupacji wygląd zewnętrzny bywał przeznaczeniem niezależnie od charakteru, często jasne oczy i przylegające uszy były uśmiechem losu i dawały większą pewność w postępowaniu niż siła woli. Codziennie zdarzały się wypadki, gdy człowieka gubił jego nos. W kawiarni „U aktorek”, i później na Mazowieckiej w „Arii” i „Fregacie” komu przyszłoby do głowy, że starannie ubrany młody człowiek, siedzący przy stoliku z dziewczyną o jasnych włosach upiętych w węzeł, może być zgodnie z prawem zastrzelony przez każdego Niemca. Mnie także nie przychodziło to do głowy. Miałem spokój w oczach i w ruchach, co nie było bez znaczenia. Mój bliski znajomy wyodrębniał się na ulicy „złym wyglądem”. Był potomkiem starej wielkopolskiej szlachty, lecz brano go za Żyda. Wiedział o tym i dawało mu to ową lekliwość zachowania, przyciągającą niebezpieczeństwo. Raz wrócił do domu w towarzystwie dwóch policjantów. Bał się, że patrol SS aresztuje go na ulicy i stałe nosił w portfelu fotografię swego dziadka w mundurze pułkownika gwardii saskiej przed pierwszą wojną światową. Nie miałem takich kłopotów.

Ryzykowałem jednak. Pewnego dnia w tramwaju natknąłem się na kolegę ze studiów. Wymieniliśmy telefony i adresy. Po dziesięciu latach, pijąc przy barze w „Kameralnej”, zwierzył mi się, że był wtedy na równi pochyłej. — Miałeś popielaty garnitur i granatowy krawat w białe paski. A ja obszarpane spodnie. Wpadło mi na myśl, że można by z ciebie wyciągnąć sporo gotówki, ale w tej samej chwili podałeś mi swój telefon i adres. Więc rozumiesz... nie mogłem.

W czteropokojowym mieszkaniu, prócz doktora Stasia, jego matki (Badaczki Pisma i urzędniczki sądowej), jego niebiesko-okiej, łagodnej żony oraz jej brata, licealisty, zajmował izdebkę przy kuchni osiemdziesięcioletni dziadek o zaćmionym umyśle, którego goliłem raz na tydzień. Nie rozumiał, kim jestem i przypuszczam, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest wojna. Niegdyś musiał także należeć do jakiejś sekty religijnej, bo kiedy

goliłem brzytwą jego twardą białą szczecinę, spozierał na mnie mamląc, że niebawem wyjdziemy ze stu tysięcy lat królowania Bestii i światło zapanuje nad ziemią. Mówił do mnie „braciszku”. Kto wie, na ile jego umysł był zaćmiony. Raz wszedł późnym wieczorem do mojego pokoju i zawołał, iż obowiązkiem chrześcijanina jest szanować wielki naród Hebrajczyków.

Doktor Staś rano grał na pianinie, około południa wychodził z teczką do miasta. Był medykiem o nieukończonych studiach. Miał w sobie wiele naturalnej dobroci, cechowała go uczynność dla ludzi w połączeniu z nieustraszoną lekkomyślnością. Był całkowicie wyzwolony z przesądów. Powiedziałbym, że był wyzwolony z przesądów i zasad. Umożliwiało mu to śmiałe wyczyny w dziedzinie erotycznej, później jednak obróciło się przeciw niemu. Obok erotyki polityka jest drugą dziedziną, w której zaciera się granica między brakiem przesądów i brakiem zasad. Co nie oznacza, że doktor Staś był „zwierzęciem politycznym”. Na karty przychodzili nie tylko oficerowie AK, lecz także AL-u, nieraz w jednym pokoju rozgrywało się ostrą partię pokera, a w sąsiednim Badacze Pisma śpiewali swoje modlitwy. Doktor Staś należał do ludzi, którzy przyjmują z serdecznym i niefrasobliwym uśmiechem różne propozycje. Z takim uśmiechem przyjął mnie do swego mieszkania. Byłem jednym z kilku czy kilkunastu grożących mu wyroków śmierci.

Matka mieszkała w tym czasie za murami czekając na zwolnienie ojca. Po jego śmierci w grudniu 1940 była tam jeszcze przez kilka miesięcy. Później przygotowaliśmy jej przejście, w umówionym dniu miała ją przewieźć furgonetka zakładów miejskich. W przeddzień, kiedy byłem na obiedzie u Zenowiczów, rozległ się dzwonek u drzwi. Weszła uśmiechnięta, z małą walizeczką w ręku. Nie chciała dłużej czekać, przeszła przez bramę w Murze, z czarnym welonem zarzuconym na ramię, nie zwracając uwagi żandarmów (pisałem już o tym). O ojcu zaczęliśmy rozmawiać dopiero po jakimś czasie. Powiedziała mi, że kiedy przyszła na Pawiak odebrać jego rzeczy, urzędnik więzienny położył przed nią zmięte ubranie i jedwabną koszulę, mówiąc: — *Sic transit gloria mundi...*

M. interesowała i bawiła matkę. Nie mieszkała już z rodzicami w Alejach Jerozolimskich, wynajęła pokój z łazienką na Słonecznej, niedaleko placu Unii Lubelskiej. Przychodziła do nas co parę dni. Matka parzyła mocną kawę, po czym siadała wyprostowana, by przyglądać się i słuchać M. Była w nią wpatrzone z rodzajem zachwyconego zdumienia, czasem tylko wtrącała pytanie dotyczące rzeczowych szczegółów. M. wносиła ze sobą jakiś specjalnie ozdobny, wypukły obraz codzienności i opowia-

dając o naszych wspólnych znajomych potrafiła ich ukazać jak osoby powieściowe. Sugestia jej entuzjastycznej fabulacji działała również na mnie. Z prawdziwą ciekawością słuchałem jej opowiadań o ludziach, z którymi oboje widywaliśmy się niemal codziennie. Zdawało się, że tymi opowiadaniem tworzy życie Matka mówiła: — Jak tylko wojna się skończy, zaraz muszę ich wszystkich poznać. — M., zadowolona, strząsała popiół z papierosa na serwetę obok popielniczki.

W gruncie rzeczy mogliśmy się spotykać rzadziej, albo wcale. Po czterech latach wojny, kiedyś, gdy nocowała u mnie na Solcu, spytałem dlaczego chce mnie widywać, przecież wszystko przemawiało za tym, że powinniśmy się byli dawno rozstać. Odpowiedziała, że tylko przy mnie czuje się bezpiecznie. Spojrzeliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać. Myślę, że przez cały czas bała się o mnie. Jej odpowiedź powinna była brzmieć nieco inaczej: widząc, że jesteś, nie czuję niebezpieczeństwa. Zresztą oboje żyliśmy na ogół bez złych przeczuc. Piliśmy dużo w tym okresie. Jak wszyscy, lub prawie wszyscy. I nie tylko piliśmy. Każde z nas umiało mimowoli i na swój sposób ranić innych.

Pewna młoda osoba, debiutantka literacka, pod koniec lat 1950-tych napisała opowiadanie pt. *Diabeł*. Było to wspomnienie z dzieciństwa. Miała dziewięć lat, kiedy do jej rodzinnego miasteczka wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Żołnierze ją lubili, przyglądała im się chętnie. Jeden, rosnący Wielkorus, rąbał w kąciku podwórza drzewo na opał, zabawiając ją opowieściami, w których zawsze występował diabeł. — A co to jest ten diabeł? — spytała go kiedyś. Żołnierz rozpiął spodnie i wydobyl okazałą męskość. — To jest diabeł — powiedział.

Czwartek 17 kwietnia: przyjazd Haliny. 27 kwietnia, piątek, jej występ w sali na Saint-Dominique przy kościele Gros Caillou, recytowała znakomicie *Tryptyk Maryjny*.

28 kwietnia — spotkanie w kilka osób u René Taverniera we francuskim PEN Klubie z matką Czesława Bieleckiego, który od kilku miesięcy nie przerywa głódówki w więzieniu śledczym w Warszawie. Jest architektem i pisarzem. Cytowałem w *Miesięcach* zdanie z jego artykułu wydrukowanego pod pseudonimem Maciej Poleski po 13 grudnia 1981. Zdanie pamiętne: „Państwo napadło na społeczeństwo i wzięło mu zakładników”. Sądziłem wtedy, że autorem tekstu jest Andrzej Kijowski.

29 kwietnia - 10 maja — pobyt w Le Rondon.

11 maja w niedzielę po południu autobusem na rue Taitbout,

tam przez bramę pod numerem 80 przejście na dziedziniec, a raczej skwer, z osobną numeracją i fontanną pośrodku, Square d'Orléans. Trawniki i cisza. Pod numerem 5 pierwsze piętro zajmowała George Sand. Zapamiętałem trzy kamienne schodki do parterowego mieszkania, w którym Chopin przeżył siedem lat.

Sobota, 17 maja, przykra rozmowa u nas o emigracji i kraju.

Na Narbutta mieszkalem do upadku Mussoliniego. Rano schodziłem po zakupy do sklepiku obok, po śniadaniu pisałem moją powieść — pierwszą i nigdy nie wydaną — lub artykuły do podziemnej gazetki *Barykady Wolności*. Czasami z pokoju doktora Stasia patrzyłem przez okno. Dawało widok na bezdrzewny placik obstawiony domami mieszkalnymi, wybudowanymi około roku 1930 w stylu, który można by określić jako bieda-kubizm. Na placu uganiały się psy, w większości rasowe, gdyż w domach mieszkalo sporo inteligencji. Po środku oddział wziętych do niewoli sowieckich Gruzinów w furazerkach Wehrmachtu ćwiczył musztrę pod okiem jednorękiego feldfebla, śpiewając przenikliwe, smętne piosenki kaukaskie. Lubiłem zwłaszcza przyglądać się ogromnemu grubasowi o czarnych kędzierzawych włosach i twarzy wąsatego dziecka. Gdy feldfelbel wykrzykiwał rozkaz, maszerujący oddział, nie przestając śpiewać, wykonał „w tył zwrot”. Wąsaty grubas robił zwrot lekko, z tanecznym smutkiem. Na placu często się pojawiał patrol granatowej policji, trzech policjantów na rowerach. Pierwszy jechał przodownik (sierżant), przed wojną wicemistrz Polski w podnoszeniu ciężarów, także gruby olbrzym, ale o złych, ponurych oczkach. Byli to policjanci z komisariatu na Wiśniowej.

Wiosną 1943 nie chodziliśmy już do kawiarni. Z przyjaciółmi i znajomymi spotykaliśmy się w domach. W kwietniu, gdy wybuchło powstanie w getcie, codziennie patrzyłem z bramy na Bonifraterskiej, jak Niemcy, leżąc lub przykleknęci na jezdni, ostrzeliwali z ciężkich karabinów maszynowych kamienicę odległą o kilkadziesiąt metrów. Z okna na najwyższym piętrze zwieszał się biało-czerwony sztandar, przez dym widać było twarze broniących się Żydów. Po południu szedłem do M. na Słoneczną. W getcie płonęły domy, zza murów ciepły powiew napędział płatki spalenizny. Kawiarnie w śródmieściu były jak zawsze pełne ludzi. W półtora roku później, w sierpniu i wrześniu 1944, kiedy płonęła Warszawa, tak samo pełne były kawiarnie w Krakowie. Widocznie tak musi być, skoro nie dzieje się inaczej. Kroniki okupacji i wojny nie odnotowały wypadków, by do powstania w getcie warszawskim przyłączali się nie-Żydzi, czy Żydzi ukry-

wający się po nie-żydowskiej stronie. Można by to długo wyjaśniać: walczyła nieliczna garstka, opór był zbyt beznadziejny, polskie podziemie zbrojne nieprzygotowane do akcji, nie rzucono odpowiednich rozkazów i haseł. Dlatego nikt się nie przyłączył. Nikt nie mógł albo nie chciał pomóc. Później w 1944 nie można było pomóc oblężonej Warszawie ani z Londynu ani z Krakowa. Moskwa nie udzieliła pomocy. Jedni nie mogli, inni nie chcieli. Zginęło 200 tysięcy ludzi. Przedtem z getta wywieziono do komór 400 tysięcy. Żyliśmy w czasach, gdy trudno było czuć się niewinnym będąc żywym, ale oboje chcieliśmy przeżyć i wiedzieliśmy, że nie ma w tym winy.

W połowie lipca 1943, wracając z miasta Aleją Niepodległości, spotkałem znajomego ojca, pana G., który ucieszył się na mój widok. Spotkaliśmy się koło rogu Narbutta, sto metrów od domu. Pan G. siadywał przy stoliku ojca w kawiarni Lourse'a, zabawiał go, był dowcipny. Spytał, czy nie trzeba mi pomocy — wiedział, że ojciec nie żyje. Podziękowałem mu. Kiedy mieliśmy się pożegnać, zapytał czy mieszkam niedaleko. Odpowiedziałem że mieszkam w innej dzielnicy, tutaj mam znajomych, do których właśnie idę na brydża. Pożegnaliśmy się, wszedłem do najbliższej klatki schodowej i odczekałem dziesięć minut. W czwartym roku wojny był to już nabyty odruch. Nie słyszałem o tym człowieku nic takiego, by go się strzec, raziło mnie tylko jego gadulstwo. Pan G. był zażywnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną w kapeluszu na bakier, nie wiem dlaczego podobnym ludziom zazwyczaj ufam. W kilka dni po tym spotkaniu obalono Mussoliniego, nowy rząd we Włoszech powołał marszałek Badoglio. W Warszawie był upalny, jasny wieczór, zmierzchało się dopiero po godzinie policyjnej. Szedłem do domu od przystanku na Rakowieckiej przez Aleję Niepodległości. Kiedy przed bramą na Narbutta zajęchali mi drogę trzech granatowi policjanci na rowerach, do godziny policyjnej został niecały kwadrans. W bramie policjanci zażądali, abym pokazał swój dowód osobisty. Spytałem, o co chodzi. Córeczka dozorczy z piłką w ręku przyglądała się tej scenie z podwórza. Powtórzone, że mam się wylegitymować. Wyjąłem z portfelu kennkartę i ausweis, który zaświadczał, że jestem inkasentem Elektrowni Miejskiej. Zrobiłem to dość spokojnie, wzruszywszy przedtem ramionami z ironicznym uśmiechem, ale pewnie zbłądłem. Oglądali moje papiery i czułem, że straciłem pewność. — Sprawdzimy w komisariacie — odezwał się szczupły policjant z dwiema naszywkami. — Proszę? — zdziwiłem się i zacząłem uciekać.

Postanowienie ucieczki miałem powzięte z góry. Od dawna liczyłem się z możliwością aresztowania na ulicy. Ucieczka dawała szansę ratunku. W bramie na Narbutta sprawa była w moim odczuciu przesądzona: wydadzą mnie Niemcom. Uciekałem pustą Aleją Niepodległości, minęła godzina policyjna, za mną jechał patrol na rowerach. Nie mogłem wmieszać się w tłum ani wpaść do przechodniej bramy. Bramy już były zamknięte. Aleją Niepodległości wracała pośpiesznie do domu znajoma aktorka, Bonacka. Ukłoniłem się jej w biegu — także nabyty odruch — jednocześnie oczekując strzału w plecy. Nim dobiegłem do Rakowieckiej, zabrakło mi tchu. Policjanci nie musieli się spieszyć. Zsiedli z rowerów, sierżant-kolos bez słowa uderzył mnie nadgarstkiem ręki w skroń. Lekkie, miękkie uderzenie, po którym zakręciło mi się w głowie. Upadłem, wstałem i znowu zacząłem uciekać. Później tłumaczyłem sobie, że chciałem odciągnąć policjantów jak najdalej od domu, gdzie była matka, licząc że córka dozorczy opowie co zaszło i matkę przeprowadzą do sąsiadów. Nie mam pewności — mogło to być wytłumaczenie *ex post*. Nie wiem, czy myślałem wtedy o matce. Ucieczka była dla mnie czymś koniecznym i jedynie możliwym, jak dla zwierzyny. Dogonili mnie za drugim razem tuż przy Rakowieckiej, szczupły policjant nałożył mi kajdanki i wzięli mnie w środek między siebie. Byli zdenerwowani. Moją ucieczkę i założenie kajdanków na pewno widziano z okien w Alei Niepodległości. Uciekając stworzyłem im niewygodną pozycję i chyba polepszyłem własną. Prawdopodobnie odtąd zależało im, aby nazajutrz dowiedziano się w dzielnicy, że wróciłem do domu. Prowadzili mnie przez Rakowieką, w pobliżu były koszary SS. Wyglądało na to, że przeżywam ostatnie chwile. W podobnych okolicznościach brat mego wujka Jana, ożenionego z siostrą mojej matki, został wydany Niemcom. Nie czułem strasznej rozpacz, tylko wyczerpanie po dwukrotnym biegu i zgrozę na widok jasnych, pustych ulic, przez które prowadzono mnie w kajdankach. Chciało mi się zapalić papierosa.

Było w tym, przez cały czas od momentu zatrzymania, drastyczne samodoświadczenie. Dowiadywałem się nowych rzeczy o sobie. Sprawdzali mnie. Własną naturę zazwyczaj poznaje się w okolicznościach bezpieczniejszych — niejako próbnymi, ćwiczebnymi. Ale w tych latach ładowano ostre naboje i miałem prawo się bać. Tymczasem najprzykrzejsza była dla mnie myśl, że spóźnię się do domu. Trudno mi wyjaśnić: jak gdybym zapomniał o gorszych ewentualnościach, przygłębiała mnie ohydna kłopotliwość sytuacji wykolejającej naszą dotychczasową egzystencję. Kajdanki zdjęli mi z rąk dopiero w ruinach kamienicy na bocznej uliczce, sto kroków od Staufferkasernen. Miałem przy sobie

papierosy. Poczęstowałem ich i zapaliłem. Zdaje się że mój pozorny spokój i automatyczna uprzejmość w godzinie, którą można było uznać za przedśmiertną, trochę ich zaskoczyły.

Nie jeździłem na rowerze po Warszawie od września 1939. Było wciąż jasno, gdy pedałowaliśmy przez Marszałkowską. Z przodu jechał sierżant, za nim ja, za mną szczupły policjant. Każdy przechodzień idący od dworca z nocną przepustką musiałby mnie wziąć za agenta patrolującego śródmieście z dwoma kolegami w mundurach i zeznałby tak przed sądem pod przysięgą. Do domu w Alejach Jerozolimskich 19 wchodziło się przez podwórze oddzielone murem od ulicy. Policjanci zaczekali na chodniku. Wziąłem od państwa Zenowiczów przechowywany u nich cienki łańcuszek z zegarkiem wysadzonym brylancikami. Dawniej matka wkładała go na szyję, kiedy szli z ojcem do teatru.

Eskortowano mnie z powrotem tą samą trasą, świecił księżyc, szczupły policjant z dwiema naszywkami jadąc za mną interesował się, czy mam rodzinę i zawód. Odpowiedziałem, że mam tylko brata, oficera w niemieckim obozie jeńców, i że jestem prawnikiem. Przed bramą na Narbutta trzeci policjant, starszy człowiek, oczekiwał nas wachlując się czapką. Kiedy zwróciłem mu rower, spytał jak mi się jechało i czy tylne koło wciąż skrzypi. Tymczasem M. na Słonecznej wrzucała do neseseru to co było pod ręką. Wkrótce po godzinie policyjnej doktor Staś zatelefonował do Brezów, jej sąsiadów. Zebrano pieniądze. M. postanowiła iść do komisariatu na Wiśniową. Gdyby po drodze zatrzymał ją patrol, neseser miał świadczyć, że wraca z dworca bez przepustki, bo pociąg się spóźnił. Była już gotowa do wyjścia, kiedy doktor Staś dał znać przez telefon, że jestem z powrotem w domu. Nazajutrz przysłała po mnie na Narbutta o 6-tej rano. Matkę na razie wzięła do siebie przyjaciółka ojca przyjaciółki, zamieszkała na Kruczej. Policjanci zjawili się tego samego dnia, by zabrać mój zimowy płaszcz.

Po obu stronach Muru były policje współdziałające z Niemcami i jednostki wyświadczające im usługi. Znajoma doktora Stasia szła o kilkadziesiąt kroków za mną przez Aleję Niepodległości i widziała jak wskazał mnie policjantom mężczyzna stojący z nimi po drugiej stronie ulicy. Opisała jego wygląd: tęgi, w średnim wieku, kapelusz na bakier. Niedługo przed Powstaniem Warszawskim jeden z bywalców kawiarni Lourse'a spotkał pana G. Wspominali mojego ojca i pan G. zaczął się dopytywać o mnie. Podobno rok temu aresztowano mnie na ulicy przed domem, w którym się ukrywałem. Pytał o mnie i o matkę — czy żyjemy, czy mieszkamy w Warszawie. Pan G. był Żydem (antysemicie ucieszyłaby ta wiadomość, spodziewam się jednak, że anty-

semici nie czytają moich książek), nie wiem co się z nim stało, nie mam także zupełnej pewności, że to istotnie pan G. był człowiekiem, który mnie wskazał policjantom. A jeśli tak — to właśnie on uratował nam życie. Po naszym wyprowadzeniu się z domu na Narbutta, u doktora Stasia zamieszkało dwoje nowych lokatorów, małżeństwo o zmienionym nazwisku. Przypuszczalnie w związku z zebraniem Badaczy Pisma lub interesami doktora Stasia wpłynął donos do gestapo. Oboje zastrzelono rano w mieszkaniu. Nie było wówczas w domu nikogo z gospodarzy, a dziadek już nie żył.

Doktora Stasia widziałem dłużej ostatni raz w podłych dniach marca 1968. W prasie i telewizji rozwrzeszczała się już wtedy heca antyżydowska. Poprzedniego wieczoru robotnice dawnej fabryki czekolady Wedla krzyczały z ekranu: „Mośki do Dajana!”; prezenterzy telewizyjni mieli czelne oczy. Nazajutrz rano byłem w domu sam i próbowałem coś robić siedząc w fotelu pod oknem, owinięty pledem, z blokiem na kolanie. Odezwiał się dzwonek do drzwi, krótki, niepewny. Zrzuciłem pled i wstałem. Dzwonek się nie powtórzył, ktoś chyba się omylił, podszedłem jednak do drzwi nadsłuchując. I nagle usłyszałem swoje imię, wymówione półgłosem, pytająco. Otworzyłem. Za drzwiami stał doktor Staś z teczką.

W pierwszych latach po wojnie spotykaliśmy się dosyć rzadko. Doktor Staś z żoną i matką mieszkali w Warszawie, my — najpierw w Krakowie, potem w Łodzi. Kiedy przeprowadziliśmy się do Warszawy, czasami widywaliśmy się jeszcze. Łączyły nas dawne serdeczne stosunki i w rozmowach ze wspólnymi znajomymi chętnie opowiadałem o dobrych latach spędzonych na Narbutta w czasie wojny. Mówiłem, że doktor Staś był dla mnie nie tylko wybawcą, ale właściwie kimś z rodziny, do kogo jest się przywiązaniem na całe życie, jakiegokolwiek byłyby jego słabości czy wady. To były moje najlepsze lata wojny, twierdziłem, najlepsze, mimo że groźne, i właśnie jemu — im trojgu — je zawdzięczam. Mówiłem, że moja wdzięczność dla doktora Stasia jest niezmienna. Dlaczego tak podkreślałem tę niezmienną? Bo od któregoś roku — nie pamiętam dokładnie od kiedy — o doktorze Stasiu w moim środowisku zaczęto mówić źle. Źle — co nie znaczyło, że najgorzej. Ostrzegano mnie jednak. Nie, nie strasznego, ale... podobno... słowem, lepiej uważać. Doktor Staś po wojnie nie wrócił do swej kariery lekarskiej. Pisał teksty piosenek, został członkiem ZAIKS-u, pisywał także felietony do gazet, a później — i tu znów nie pamiętam dat — wybrano go do egzekutywy partyjnej. W tym czasie mnie nie było już w partii. Z natury rzeczy nasze stosunki musiały się nieco

rozluźnić, jakkolwiek — trzeba tu powtórzyć — o doktorze Stasiu nie mówiono wyraźnie, że się sprzedał. Przebąkiwano tylko: ma „haka” z czasów okupacji... złapany. Podobno.

Stał więc przede mną, niewielki, na płaskich stopach, z jednym ramieniem opadającym jakoś krzywo i niżej, stał i uśmiechał się. Wyczułem, że czeka na mój zapraszający gest. Otworzyłem drzwi szerzej, powiedziałem: — Stasiu, wejdź, rozbierz się. — Miał na sobie zimową kurtkę z futerkiem i kapelusik, trochę za mały, jakby na czubku głowy. Kiedy usiadł w fotelu, spostrzegłem w jego wzroku znacząco czułą poufność. Patrzył mi w oczy z dziwnym wyrazem: porozumienia... żalu... prośby? Zaczęliśmy rozmawiać o byle czym. Zauważyłem, że ma rozwiązane sznurowadło i źle obciążone skarpetki. Poczęstowałem go papierosem, napeliłem dwa kieliszki. Lecz zanim podniósł swój do ust, doktor Staś szepnął: — No, popatrz, popatrz... — Teraz uśmiechnęliśmy się obydwoj równocześnie. Było już dla mnie jasne, po co przyszedł. Nie uprzedzając, bez telefonu, zjawił się, aby mnie upewnić, że od jego strony nic się nie zmieniło i na jego przyjaźń zawsze mogę liczyć. W owym „no, popatrz, popatrz...” zawarta była nasza dawna bliskość, jeszcze chwila, a byłby powiedział: słuchaj, ja jestem taki sam jak wtedy, ja tego nie chciałem... Patrzyliśmy na siebie z kieliszkami w ręku — przypomniał mi się placyk na Narbutta i doktor Staś idący z przystanku od Rakowieckiej, miło zawiany, z teczką, i wieczory kiedy grał na harmonii *Pęki białych róż*, pół leżąc na tapczanie, i moja matka, która lubiła jego wdzięk, z jakim ogrywał ją w pokera na zapałki. — No popatrz, nie do wiary... takie świństwo. — Kręciliśmy głowami, wzruszaliśmy ramionami i uśmiechaliśmy się do siebie. Wiedziałem, że w nim także odżyły tamte dobre lata. Przyszedł właśnie po to, żeby mi je przypomnieć, i — przysięgłbym — miał prawie na ustach zdanie, że pokój u nich nadal jest wolny.

Posiedział u mnie z godzinę, aż raptem się zerwał: — Boże, obiecałem Irce kupić pieczywo na wieczór! — Złapał teczkę, kurtkę, nasadził kapelusz i już go nie było. Później widzieliśmy się tylko kilka razy przelotnie: jak się masz — jak się masz.

Pijąc kawę na stojąco w tabacu przy placyku Bourg Tibourg obserwuję gestykulację dwóch Francuzów zajętych rozmową. Jeden drugiego chce o czymś przekonać i obaj robią identyczny gest: duży i wskazujący palec zetknięte czubkami tworzą dziób, nad nimi trzy pozostałe jak koguci grzebienie. Gest częsty u Francuzów. U Włochów gesty są szybsze, ręce w ciągłym ruchu, przeważnie blisko ust. Wielki stary aktor Kamiński twierdził, że

narody południowe gestykulują na wysokości twarzy, a Polacy na wysokości pasa. Myślał zapewne o pasie szlacheckim. Dzisiaj w Polsce gesty są inne. Człowiek chłopskiego pochodzenia gestykuluje rozcapierzonymi palcami albo pięścią, intelektualiści w ogóle unikają gestykulacji. Przyglądam się Francuzom, potem wyjmuję z kieszeni kartkę, która dziś przysłała z Warszawy: „U nas wiosna, za oknem zielono, krategusy, cisy, hortensje puszczają nowe gałązki i zastanawiam się, czy przeżyją. Słodycz wiosenna przemieszana z grozą. Kilka dni temu poszliśmy na wernisaż p. Czapskiego i było to niesłychanie wzruszające: jego głos z taśmy i obrazy z lat osiemdziesiątych, tutaj. Powiedzcie mu, że mówił wspaniale i maluje też wspaniale, i dziękujemy mu za to, że zechciał się tu między nami pojawić. Było w tym jakieś pocieszenie: obrazy triumfowały i upadało to, co doraźne, niskie, przemijające”.

Na znaczku ptak, taki sam jak ten, co stał u nas w Warszawie na szafie, ptak dudek z wysokim grzebieniem.

Słowa „zastanawiam się, czy przeżyją” i następnie o „słodycz wiosennej przemieszanej z grozą” odnoszą się do katastrofy w centrum nuklearnym na Ukrainie w mieście Czarnobyl. Pyły radioaktywne opadły również na Polskę. Obok mnie przy bufecie stoi nieładna dziewczyna i nakłada sobie makijaż: kremową biel, fiolet i jasne brązy. Robi to w skupieniu, jak artysta, który maluje obraz. Skończyła, chowa lusterko, jest bardzo piękna. Znowu wyciągam kartkę i czytam następne zdania: „Jeszcze nie wiemy co będzie z naszymi wakacjami. Z wyjazdu nad jeziora zrezygnowaliśmy”. Chmura radioaktywna przeszła nad wschodnio-północną częścią kraju.

O katastrofie dowiedziałem się w Le Rondon z dziennika telewizyjnego. Le Rondon jest własnością stowarzyszenia autorów i kompozytorów, domem wypoczynkowym w rodzaju Nieborowa lub Obór. Pałac wybudowany w XVIII wieku, park z jednej strony przytyka do asfaltowej szosy, z drugiej schodzi nad rzekę Loiret, wzdłuż której stoją zabytkowe młyny. Za szosą ciągną się sady owocowe. Tędy chodziliśmy do miasteczka Saint-Hilaire.

Z pobytu zostało mi parę luźnych kartek z notatkami.

„Saint-Hilaire, francuska Jeziorna z aleją platanową przy szosie. Powyginane, równo obcięte konary, zakończone niby pięściami, z których wyrastają nowe listki. Obcinanie i przyszczykanie zamieniają tutejsze drzewa w kandelabry, stożki, kule. Francuska potrzeba formy wyraża się ilością włożonej pracy. Albo potrzeba pracy dbałością o formę. Prawie wszystkie domki w okolicy są co roku własnoręcznie odnawiane przez właścicieli. Wszędzie

cisza, tylko w każdym ogródku ktoś stoi domalowując siatkę parkanu lub naprawiając zawias furtki. Trzeba to pomnożyć przez kilkaset lat. Na *douce France* pracowano z wysiłkiem, w nieustającej krzątaninie, której nie przerywały wojny ani okupacje. Są tu domy z datą 1871 i 1915, fermy wybudowane za Napoleona. Tutaj praca nadal tworzy materialną i psychiczną tkankę życia. W Polsce już od pół wieku nie warto pracować”.

„Urzędniczka na poczcie w Olivet (Piaseczno) wykonuje trzy razy więcej czynności na minutę niż urzędniczka pocztowa w Warszawie. Kiedy zapytałem, czy lubi tak szybko pracować, uśmiechnęła się: — *Il le faut*. — Tak trzeba. To przyszłość narzuca jej tempo. Biura na prowincji czują zbliżającą się rywalizację komputerów”.

„Stałem przed śliczną cukierenką, myśląc czy nie lepiej być cukiernikiem w Olivet niż pisać książki, gdy podchodzi do mnie młody człowiek: — Pan jest miejscowy? Którędy do merostwa? — Wskazałem mu kierunek. Merostwo to pałacyk o wysokim francuskim dachu z blaszanej łuski, naprzeciw budynek szkoły, *Ecole Primaire*. Wszystko bardzo jasne, nad wejściem do merostwa trójkolorowy sztandar, plac obrzeżony drzewkami. Zaciszna symbioza Rewolucji, Cesarstwa i Republiki. Mogła tu niegdyś stać gilotyna”.

„W Le Rondon nie ma kierownika. Gotuje kucharz, p. Loiselet, rachunkowość prowadzi jego żona, do stołu podaje Christophe, młodziutki garson w czerwonej kurtce i białej koszuli z muszką. W pałacu jest dwadzieścia pokoiów, do sprzątanía przyjeżdża samochodem chłopka z okolicy. Na parterze jadalnia, salony telewizyjne, pokój bilardowy, biblioteka z tomami Thiersa i George Sand (dzieła teatralne). Pokoje, w których się mieszka, nie są sprzątane, jeśli się tego nie żąda. Co parę dni wystawia się kosz. Gościa, który przyjechał odpocząć nie wypędzają z pokoju odkurzaczem. Gdy w Polsce instynktowny jest lęk, że prawa narodu nie będą uszanowane, tutaj budzi niepokój możliwość nieuszanowania praw jednostki. Ogółem biorąc Francuzi są tolerancyjni i nie dydaktyczni (stosunek do kloszardów). Często używane *on se débrouille* i *on se défend*. Wiedzą, czym jest życie. Spokojnie, spokojnie. Francuskie *doucement* to jakby hasło narodowe po historycznych wstrząsach i szaleństwach. Selvaggi mówił, że w 1940 nie chcieli się bić. Czuli jeszcze wpływ krwi po 1918. Słyszac grzechot puszkii odwracali wzrok: daliśmy już wcześniej”.

„W bibliotece znalazłem książkę napisaną przez Henri Torrèsa, adwokata słynnego w swoim czasie. Opowiada w niej m.in. o sprawie Jacques Landaua, którego w roku 1916 zesłano do

Cayenny na 8 lat ciężkich robót. Po wojnie go ułaskawiono. Był to dziennikarz, znana postać paryska. Współpracował z gazetą nawołującą do przerywania wojny i zawarcia pokoju z Niemcami. Ponadto był bratem mego dziadka”.

„Uroki życia w Polsce. W pewnym kabarecie studenckim cenzor-ubek obecny na każdym przedstawieniu zna już na pamięć wszystkie teksty i kiedy aktorzy zapominają kwestii, sufluje im zza sceny. Jest bardzo przywiązany do zespołu. Mówią do siebie po imieniu”.

„Idee europejskie. W Polsce ruchy niepodległościowe znajdowały oparcie w ideach przychodzących z Zachodu. W Oświeceniu, demokracji, wolnomularstwie, w socjalizmie. Tych idei zabrakło, nowych idei Europa dzisiaj nie tworzy. Ale na Zachodzie wytwarzają się prądy (pacyfiści, „zieloni”), które mogą kiedyś odegrać ważną rolę w krajach bloku sowieckiego i w samym ZSSR. Na Zachodzie te prądy mają najczęściej charakter skrajnie lewicowy i antyamerykański. W Europie środkowej i wschodniej mogłyby wywołać szeroki ferment, akcję społeczną przeciw zatruciu atmosfery i rujnującym zbrojeniom (Polska zaopatruje w czołgi kraje bloku). Katastrofa nuklearna na Ukrainie to sygnał. Jeśli ludzie zaczną się bać mleka i jarzyn, jeśli będą zagrożone dzieci... Działacz z Krakowa powiedział mi niedawno: — Następna Solidarność będzie zielona”.

„Uroki życia w Polsce. Jest taka knajpa w Warszawie, nazywa się *Sofia*. Spotyka się w niej nomenklatura z prywatną inicjatywą, są zagraniczne alkohole i panie, które się rozbierają. Bywalcy *Sofii* mówią o sobie: naturyści. Scenki z tej knajpy pokazywała francuska telewizja. Naga dziewczyna patrzyła w kamerę wystawiając na Zachód duże, białe piersi. Ile nadziei w jej spojrzeniu. Pokazywano też inne sylwetki. Pijanych mężczyzn o wstrętnych twarzach i niemłode, tęgie kobiety w majtkach. Kto się postarał, żeby ten obrazek wesołego życia w Polsce znalazł się w programie TF1? Podobne zdjęcia niemiecka propaganda przetrzała na Zachód z warszawskiego getta”.

„Tchernobil. Czernobyl. Czarnobyl. Zapamiętamy tę nazwę. Dawniej wielki pożar nazywano „czerwonym kurem”, od dzisiaj pożar nuklearny będzie mi się kojarzyć z czarną kobyłą. *Le Monde* podał wiadomość, że wśród ludności Kijowa krąży pogłoska o przyczynie katastrofy. Podobno dyżurny pracownik upił się i zasnął tak głęboko, że nie zareagował na sygnalizację ostrzegawczą”.

„Niedorzeczność, tragizm i groteska są nie do rozplątania. Dziwne, że nie umieramy ze śmiechu”.

„Wśród siedmiu grzechów głównych nie ma *niewdzięczności*.”

A myślę, że jest to jeden z cięższych ludzkich grzechów, gorszy niż lenistwo”.

Wiadomości z Warszawy jak uderzenia w głowę. Aresztowanie przywódców podziemia, Zbigniewa Bujaka, Konrada Bielińskiego i innych, wielogodzinne przesłuchania, rewizje. Wielka obława. W dziennikach paryskich nagłówki na pierwszych kolumnach: „Solidarność zdekapitowana”. Bez znaku zapytania. Dziś rano usłyszałem przez BBC tekst listu Bujaka pisanego do żony już z więzienia. List poruszający — jakaś smutna prostota i godność, prosi żonę o wytrwanie, pisze o miesiącach i latach rozłąki, która ich czeka, prosi też o książki. O podręczniki: angielskiego i łaciny. Łaciny. Teraz rozumiem, dlaczego mnie zapewniano, że Bujak jest człowiekiem niebanalnym.

Po tych wiadomościach chciałem wykreślić z maszynopisu moje utyskiwania, że *Miesiące* nie ukazały się w kraju. Nie skreślałem jednak, bo chcę zachować momenty własnej słabości w tej książce, w której tak życzliwie przedstawiam narratora.

W dziesiątą rocznicę śmierci Antoniego Słonimskiego (trochę wcześniej, 8 czerwca zamiast 4 lipca) odbyła się msza koncelebrowana w kościele na rue Cler, odprawiona przez księży Pallo-tynów. Po mszy Artur Międzyrzecki wygłosił piękne wspomnienie o Antonim. Był także Piotr Słonimski. Dziesięć lat temu wynosiliśmy trumnę z kościoła św. Krzyża. Piotr, Artur, Andrzej Kijowski, Tadeusz Konwicki, Adam Michnik, Jan Józef Lipski i ja. Trumna była strasznie ciężka i pamiętam chwilę przerażenia, kiedy pomyślałem, że zmiażdży mi ramię albo że pod nią upadnę. W ostatnich latach Antoni ciało miał bardzo lekkie, kostki u nóg i w przegubach drobnutkie jak u ptaka. Ten nieoczekiwany ciężar, który nas przygniótł, zdawało się że był życzeniem Antoniego: chciał, abyśmy poczuli ile ważył w naszym życiu. Odchodzić od nas zaczął dopiero po śmierci. Uświadomiłem sobie niedawno, że Słonimski w polskiej tradycji literackiej pozostanie najbliższej Prusa, Zapolskiej, Świętochowskiego, Boya i że w ciągu tych dziesięciu lat wrócił do nich, zostawiając po sobie opróżnione krzesło w kawiarni *Ujazdowskiej*. Publicyści rządowi szybko zrozumieli, że Słonimskiego można już włączyć do sieci, i piszą teraz o nim: gdyby żył, byłby dziś z nami.

Po nabożeństwie polskie towarzystwo na dziedzińcu przed kościołem umawiało się na kolejną mszę, za duszę zmarłej poetki Anny Kamieńskiej. W przyszłą niedzielę. Podeszła do mnie Hanna, żona Piotra. Dlaczego nie widzieliśmy się tak długo, nawet przez telefon rzadko rozmawiamy. — Nigdy nie podnosisz słu-

chawki, u was tylko Marysia się odzywa. — Wyjaśniam, że telefon jest w pokoju M., a ja siedzę w głębi mieszkania, oddzielony korytarzem i drzwiami. Patrzymy na siebie i wiemy, że powiedziałem najmniejszą część prawdy. Nie podchodzę do telefonu w złych okresach, kiedy rozmowa sprawia mi trudność. Obok ktoś opowiada: — Dopiero na moście złapałem taksówkę, było okropnie duszno... — i słyszę głos Olgi: — Na mostach jest zawsze duszno, może dlatego ludzie przeważnie skaczą z nich do rzeki. — Olga nie mówi tego żartem, tak widzi życie. Inna rzecz, że na mostach nigdy nie ma cienia. Więc w przyszłą niedzielę na mszy za Annę Kamińską.

W nowojorskim *Przeglądzie Polskim* czytałem fragmenty dziennika Lechonia pisane w ostatnim miesiącu przed śmiercią, trzydzieści lat temu. Są pełne bólu. „Modłę się, modłę się z całej duszy — notował półtora tygodnia wcześniej — z całej nieszcześliwej mej duszy. (...) Słup twardego smutku we mnie. I ledwo że mogę iść między ludzi, tak mnie boli uśmiechać się i mówić co trzeba powiedzieć, gdy chciałoby się zawołać o tym, co jest teraz we mnie”.

Gdyby nie to, że w dziesięć dni później wyskoczył z 12 piętra, mogłyby się te notatki wydać nieco staroświeckim zapisem „stanów duszy” poety.

Z głównych skamandrytów obecny był na jego pogrzebie Kazimierz Wierzyński. Spośród skamandrytów Wierzyński był akurat odwrotnością Lechonia, który już w młodości usiłował popełnić samobójstwo, gdy w tym czasie Wierzyński pisał: „Hop! skacze z łóżka! Jak młodo! Serwus, mój świecie kochany! Oblewam się zimną wodą, w pięć minut jestem ubrany”.

Przez dwadzieścia lat byli szczęśliwymi poetami. Mieli sławę, pieniądze, kabarety, najpotężniejszy tygodnik literacki, głośnie pismo satyryczne, przyjacielskie stosunki z ministrami i kawiarnię, w której jednym kalamburem można było ośmieszyć kogoś spoza klanu („szkoda peiperu i putramentu”). Budzili wściekłość i zawiść. Dwóch spośród animatorów grupy było Żydami, dwóch innych homoseksualistami. Ich koneksje sięgały do kół arystokratycznych i lewicowych. Mieli zaciekle wrogów i wierną publiczność. Żyli w wolnej Ojczyźnie, którą rządził bohater narodowy, romantyczny dyktator, niby wyśniony przez wieszczów. Wszystko było proste i jasne, świat leżał u ich stóp. Poza tym łączyło ich wiele interesów, literackich, materialnych i obyczajowych, oraz wspólna niechęć do zbyt poważnych rozmów o literaturze. To ich odróżniało od awangardy poetyckiej, od jej pryncypialności i teoretyzmu. W *Ziemiańskiej* przy stoliku na górze plotkowano o aktorkach. Do dziś skamandrytom to się wypo-

mina. Niedawno jedna z gazet emigracyjnych wydrukowała rozmowę Tadeusza Różewicza z reżyserem Kazimierzem Braunem. Różewicz powołuje się w niej na Witkacego: „Mówił, że to wszystko jest niepoważne, że to jest łajdacka robota... Bo on próbuje dojść do jakiejś prawdy, robi pewne teoretyczne rzeczy, najtrudniejsze, najcięższe. A ci przenoszą to w anegdoty, legendy, kłótnie... o jednym dowcipie pijanego aktora krąży więcej legend niż o wybitnym spektaklu”.

Tak pewnie i było, może Witkacy miał rację. Bądź co bądź jest uderzające, że te rozdrażnione przypomnienia dotyczą spraw i faktów sprzed pół wieku, a wypowiedzane są dziś z taką pasją, jakby ci sami ludzie nadal żyli, dowcipkując i przeszkadzając w odkrywaniu prawd teoretycznych. Zajądłe i długotrwałe są nienawiści w literaturze; czterdzieści lat temu, po powrocie do kraju Tuwima i Broniewskiego, Różewicz napisał swój znany wiersz: „Czemu wracacie umarli poeci?”.

Dzisiaj nie żyje żaden ze skamandrytów, umarli naprawdę. Byli zapewne — po romantykach — najświetniejszą plejadą w polskiej poezji. Pozostawili po sobie co najmniej kilka poetyckich arcydzieł. Lekceważenie, jakie po dziś dzień ich otacza w kręgach intelektualno-literackich jest równoczesne z ich pośmiertną sławą. Nie są zapomnianymi poetami. Tytuły ich wierszy i zbiorów poezji — *Czyhanie na Boga*, *Mochnacki*, *Księżyc z ulicy Pawiej*, *Plejady*, *Alarm*, *Toast* — ich rymy i strofy brzmią w polskiej pamięci, tak jak we francuskiej wiersze Verlaine’a i Apollinaire’a.

Słonimski, wspominając w *Ujazdowskiej* skamandryckie kawały, zwykle kończył anegdotę krótkim staccato palcami na kolanie, po czym dorzucał z uśmieszkiem: — Byczyliśmy się. — To prawda, że nie mieli nic ze świętych potworów ani kalek i nic z *poètes maudits*. Skamandryci byli poetami, którzy lubili życie — nieczęsty fenomen — a poezja była dla nich naturalnym sokiem istnienia. Szałowali nią bez myślicielskiej powagi i mogło to sprawiać wrażenie, że twórczość przychodzi im zbyt lekko. Środowiska zgrupowane wokół sztuki i literatury faworyzują męczenników, artystów cierpiących. Przypadek Kafki — młodo umarł na gruźlicę i chciał zniszczyć swoje rękopisy — jest dla pewnych krytyków przypadkiem idealnym, ponieważ autor niczym ich nie drażni; odkryto go, kiedy już nie żył, i w dodatku przed śmiercią zwątpił o sobie, tak więc opiniodawstwo literackie mogło go uznać za swój własny utwór, wynagradzając mu w ów szczególny sposób cierpienie. Odmienny był casus Tomasza Manna. Spokojna doskonałość jego frazy i wczesne ukoronowanie niejednokrotnie budziły w konfraterni poczucie niższości. Istnieje typ pisarza, za którym idzie jak cień nie wypowiedzana głośno pre-

tensja, że za mało cierpiał. O jego cierpieniach istotnie niewiele wiadomo, co bierze się pewnie stąd, że nie chciał ich ujawniać (albo nie wiedział o nich). Takich pisarzy uważa się na ogół za beniaminków publiczności. Takim pisarzem był Boy. Taką pisarką była Nałkowska, której nie darowano sukcesów i zewnętrznego blasku w większym stopniu niż jej najsłabszych książek i posłowania w Polsce Ludowej.

Widzę dziś literacki światek Dwudziestolecia niby za pomniejszającym szkiełkiem, w smutno-komicznej miniaturze. Zwłaszcza lata między zamachem majowym a śmiercią Piłsudskiego wydają mi się wzruszające przez bliskość kataklizmu, której długo sobie nie uświadamiano. Ten światek bawił się nad przepaścią, nie przeczuwając swego końca, i było w tym coś kinematograficznego, jak w sekwencji z *Dzisiejszych czasów*, kiedy Charlie, tańcząc na wrotkach z zawiązanymi oczami w pustym domu towarowym, co i raz podejżdża na krawędź dwupiętrowego podestu. Dowcipy skamandrytów, beztroska szmoncesowej Warszawki...

Jednakże skamandryckie używanie życia, bycenie się, popisy dla snobów i kabaretowa warszawskość były niekiedy skrzyżowane z metafizycznością, występującą najsilniej u poetyckiej Czwórki — u Pawlikowskiej, Lechonia, Tuwima, Iwaszkiewicza. Aroganckie sklikowanie skamandrytów doprowadzało do szału literackich pryków z *Kuriera Warszawskiego* i młodą awangardę, wileńską, krakowską, lecz przy tym nikt w literaturze jak ci rozśpiewani prowincjonalni światowcy tak całkowicie nie zbrałał się z Dwudziestowieciem, z niepodległością, nikt nie odniósł tak upajającego zwycięstwa i nie spadł z tak wysokiego balkonu. Wrzesień 1939 był dla nich klęską literacką, z której — oprócz Iwaszkiewicza — nie mogli się już podnieść. Okazali się anachroniczni.

Lechoń odebrał sobie życie 8 czerwca 1956. Przesunięta wstecz msza rocznicowa za duszę Słonimskiego odbyła się w dniu trzydziestolecia śmierci Lechonia.

W czerwcowym numerze *Kultury* redaktor Jerzy Giedroyc w odpowiedzi Adamowi Michnikowi zamieścił tekst własny pod tytułem *Wyjaśnienia*, gdzie pisze m.in. o swych pracach wśród młodzieży robotniczej i wiejskiej przed wojną: „Dało mi to jednak dużo doświadczenia, którego chyba zabrakło polskim intelektualistom po roku 1945, a specjalnie po 1949. Z litości nie wymieniam ich nazwisk”.

Można było niektóre wymienić, choćby moje, nie trzeba się litować. Mówię o tych sprawach pośrednio i wprost w *Miesią-*

cach, Nierzeczywistości, Obronie Grenady oraz w innych moich książkach lub opowiadaniach.

Sierpień

Sporo osób z kraju przyjeżdża w takim samym stanie podgorączki, w jakim przyjeżdżałem tu dziesięć, piętnaście, dwadzieścia pięć lat temu, znerwicowany Polską i podrażniony Zachodem. Nie tak dawno, w maju, przez godzinę musiałem słuchać wibrującego altu: „Mówicie do mnie z wysokości europejskiego parnasu, a mnie ta wasza Europa wydaje się tępa, niedoświadczona, głupia, płytką i przede wszystkim nieprzyzwoicie wygodnicka...”. To jest zapamiętane z rozmowy, jednak dosłownie, bo utkwіło we mnie dostatecznie głęboko. Może dlatego że brzmiał mi w tych zdaniach swojski głos, mój własny z ubiegłych lat. Polskie męki trzeba czymś podbudować, mówi się wtedy o polskiej niepewtarzalności, dotkliwej, lecz cudownej, humorystyczno-romantycznej i nad wyraz szczególnej, innej niż wszystko na ucywilizowanym Zachodzie. Z tego przecież brały się najistotniejsze partie wielu moich książek. Słyszę więc ów ton ironii i egzaltacji, który trochę mnie bawi a trochę irytuje, jak własna mina odbita we wklęsłym lustrze. Słyszę też: „to co dla nas pasjonujące, ważne i niebywałe, dla was jest nudne, bez znaczenia albo drażniące...”.

Kiedyś tak mniej więcej myślałem — zwłaszcza w czasie pierwszego, trzymiesięcznego pobytu w Ameryce czułem jak daleko na wschód jest Polska i że Zachód nie rozumie naszej dramatyczności, która stokroć więcej mnie przejmowała niż dramat amerykański po zabójstwie prezydenta Kennedy’ego i w dniach, kiedy przybywały trumny z Wietnamu. Poznać sprawy Zachodu w ciągu podróży do Paryża czy Nowego Jorku — nieprawdopodobne; ale my posiedliśmy sztukę wydawania ogólnych sądów i nazajutrz po przyjeździe, w Londynie lub Rzymie, mówimy: wasza Europa jest tępa i niedoświadczona.

Ta rozmowa w maju nie dotyczyła jedynie spraw Europy. Padły oskarżenia w stosunku do nowej emigracji, niemal identyczne z tymi, które wysuwał w prasie podziemnej Maurycki Mochnacy, jeśli nie cięższe: zajęcie się nade wszystko własnymi karierami, zbyt wygodne mieszkania, korzyści osobiste za społeczne pieniądze. („Nie byłoby na Zachodzie pieniędzy dla Polaków, gdyby nie nasza walka w Kraju”). Zarzuty — i to mnie zdumiało — godziły w ludzi z emigracji, najczynniej i najofiarniej pracujących dla kraju, nie we mnie, ale właśnie w tych zaharowanych społecznie. Przy czym wciąż tonacja *maior*, zajątrzo-

nego politowania i wyższości, jaką daje nieszczęście („Tutaj ze strachu przed nowotworami rzuca się palenie tytoniu, to śmieszne, my żyjemy w komorze gazowej”). Duma niewoli. Plus pewność, że o esencji życia, o prawdach świata wie się lepiej niż na Zachodzie, więcej i głębiej.

Trzy lata temu wróżyłem: mesjanizm będziemy mieli tym razem nie na emigracji, ale w kraju. Założą sektę. I nie miałbym nic przeciw temu, gdyby to było na dobrym mistycznym poziomie.

Słowa, które można uznać za mądre, usłyszałem zimą w Nowym Jorku. Murzynka-kaznodzieja stała w śnieżnej zadymce na rogu 5 Alei i 57 Ulicy, wołając: „Wszystko zależy od Niego i ciebie!”. Rzecz niezbyt mądrą widziałem także w Nowym Jorku. Była nią reklama w wielkiej hali Grand Central Station, ogromna, z napisem głoszącym, że zdjęcia aparatu Kodak ZASTĄPIĄ CI WSPOMNIENIA.

Coraz wyraźniej Polska mi się rozdwaja na tę rzeczywistą i na tamtą z pragnień, lektur, wspomnień, najbliższą i nieco imaginowaną, w której proszę uprzejmie mnie pochować. Stąd, z tego rozpołowienia ciągle podrygacie, jak mówiła pani Urszula, właścicielka domu w Kazimierzu.

Z rzeczy przeczytanych: *Mademoiselle O* Nabokowa. Jest tam nowela *Printemps à Fialta*, którą chciałoby się przytulić do piersi jak gołębia (tak Nabokow wyraził się kiedyś o Czechowie).

W lipcu spędziliśmy znowu dwa tygodnie w Normandii. Nie w Saint-Mard, lecz w innym miejscu *basse Normandie*, którą rozpoznaje się przez okno wagonu po białych wołach na łąkach i belkowanych ścianach kamieniczek. Mieszkaliśmy w ładnym jednopiętrowym domu wybudowanym dwieście lat temu. We wsi jest 600 mieszkańców, pałac, dwie restauracje, rzeka, którą malował Monet, staw, gdzie można wynająć deskę z żagle, oraz ulica Gladiatora, nazwana imieniem wyhodowanego w pobliskiej stadninie ogiera, który był słynnym koniem wyścigowym; w restauracji *Pod Gladiatorem* wisi jego fotografia z dżokejem w siodle, na etażerkach stoją zdobyte przez niego puchary. W kolonii jednakowych domków, z zaparkowanymi samochodami R-5, mieszkają robotnicy zakładów Renault, w większości należący do partii komunistycznej. Raz dziennie przed piekarnią zatrzymuje się autokar, którym można dojechać do odległego o 7 kilometrów Gisors, miasta o pięknej zabudowie, z murami normandzkiego

zamku na wzgórzu i gotycką katedrą. Części katedry i niektóre ulice były zrekonstruowane po wojnie. Naloty alianckie burzyły Gisors.

Jeździliśmy tam co dwa, trzy dni. Szoferem autokaru był mężczyzna o siwej czuprynie i wydatnym różowym nosie. Siedział za kierownicą w koszulce z krótkimi rękawami, wygodnie rozparty w pneumatycznym fotelu, pozdrawiając uniesioną ręką innych kierowców i kobiety w ogródkach. Wszyscy go znali. Sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, który lubi swoją pracę. Wiele lat temu, kiedy zapytano mnie w wywiadzie kim chciałbym być, gdybym nie był pisarzem, odpowiedziałem bez wahania: pieśniarką estradową i umrzeć w czterdziestym roku życia na serce. Teraz zastanawiam się, czy nie lepiej odpowiadałoby mi życie kierowcy autokaru kursującego między Gisors a Giverny, egzystencja wahadłowa, małowonna, a jednak nie samotna. Powiedziałem to M.

Do stołu zasiada się po stronie ogrodu, pod baldachimem w szare i białe pasy. Zespół gości często się zmienia. Angielskie małżeństwo z dzieckiem, emerytowany pułkownik z Chartres, nauczyciel gry na organach, przybyły z Sydney w towarzystwie młodej żony, dwudziestokilkuletnia adwokatka paryska ze swoim *boy-friend'em*, para inżynierów Bretończyków. — Dostojewski? — mówi pułkownik — autor tej powieści, w której bohaterka rzuca się pod lokomotywę?

Gospodyni, pani St.-F. uśmiecha się: to zapadły kąt, zimą bywa smutno. Rosła, wysoka, z rumieńcem, bardziej podobna do Szwedki niż Francuzki. Wychowała w tym domu pięcioro dzieci, rozproszonych dziś po różnych krajach. Sama gotuje posiłki, sprząta, uprawia ogród, co cztery dni zmienia ręczniki i pościel. — Jestem pracownicą fizyczną w pierwszym pokoleniu. — W domu nie ma służby, strzeże go pies, wielki, łagodny owczarek. Babka pani de St.-F. prowadziła w Paryżu salon literacki; w naszym pokoju wisi jej rysunek, portret młodego Prousta — mówiono, że była jednym z prototypów pani Verdurin. W linii macierzystej rodzina wywodzi się z mieszczaństwa, dokumenty genealogiczne sięgają XII wieku. — Jak państwo myślą, czy już naprawdę koniec? To chyba coś znaczy, jeśli kasjerka merostwa w Gisors twierdzi, że zbliża się kres naszej cywilizacji?

Czternaście dni bez okularów. Okulary do pisania zakładałem ostatnio jak uprząż. Dni bez gazet i radia. Rano i po południu na leżakach wpatrywanie się w zieleń. Pies leży przy nas wyciągnięty na trawie. Osy brzęczą. Pustka w głowie. Tak się odpoczywa.

Wszystko co przeżywamy i przeżyliśmy nie wydaje mi się naj-

bardziej znaczącą prawdą. Chciałbym zrozumieć dlaczego z każdym dniem powiększa się to uczucie niepełnej dobitności. Przeszłość staje się coraz luźniej wyznaczona i czasami myślę, że ważniejsze i mniej dowolne niż fakty były wyobrażenia. Tęsknoty, lęki. To, czego pragnąłem i czego się bałem. Nieistniejąca dziewczyna z sersem, prześwietlona słońcem w alei parkowej, mężczyzna o złych oczach, z wymierzonym we mnie sztyletem w rękę i kapturze przykrywającym czoło — ten co mnie straszył w dzieciństwie. Obie postacie były urojeniem, ale i zwiastowaniem. Zapowiadały dwie sprawy w moim życiu: miłość i wojnę. Ponadto — o czym nie wspominałem dotychczas w żadnej z moich książek, bo kto by uwierzył — w dawnych szkolnych latach przysnił mi się kilka razy ten sam dziwny sen: byłem w nieokreślonym, pustym mieście, do którego wkraczało obce wojsko; w czwórkowych kolumnach szli mali żołnierze o szarych twarzach, milczący, w spiczastych czapkach, ze staroświeckimi karabinami na ramieniu. We śnie wiedziałem, że to jest wojsko sowieckie. Był to sen bardziej tajemniczy niż złowrogi.

Z lat siedemdziesiątych, z okresu narastania ruchu wolnościowego, aż po wybuch i szesnaście miesięcy, pamiętam ludzi, w Warszawie, w Gdańsku, którzy czuli się wolni. W istocie ani przez chwilę nie byli wolni, ale przeżywali swoje wyobrażenie wolności i może to było lepsze, szlachetniejsze, mniej ograniczone niż wolność.

Nie wiem, czy zdania, które napisałem, są jasne.

Po powrocie do Paryża od razu w domu zawrzało od telefonów i radia. M. utrzymując swoje związki ze światem posługuje się aparaturą, która przemawia albo do której się przemawia. Z japońskim tranzystorem w zaciśniętej prawej dłoni (lepiej wtedy słyszać), z potężnym grundigiem obok tapczanu i telefonem w lewej ręce M. woła: — Tak, kochanie! wczoraj wróciliśmy, już jesteśmy!... — Chcę zamknąć drzwi, jestem w trakcie pisania, ale słyszę i mimowoli słucham, a potem zaczynam się przysłuchiwać. Nie bez zaciekawienia, ponieważ za chwilę dowiem się o naszym pobycie w Normandii rzeczy nowych, interesujących, których sobie nie uświadamiałem, albo tak malowniczych i ozdobnych, że ogarnia mnie niepokój, czy granica twórczej przesady nie będzie przekroczona. Równocześnie jednak wiem, że tam u siebie M. nanizuje swoją siatkę połączeń z życiem i że jest w tym praca, instynktowna, bezwiedna, jaką wykonują niektóre rośliny, aby powstała kleista nić. Upiększanie stanowi ważny czynnik tej pracy i kiedy M. z przyspieszeniem w głosie opowiada o jakiejś wspańskiej osobie lub cudownym miejscu, można być pewnym, że jest to moment zapylenia codzienności, tak się produkuje urodę świata.

Zanim się znalazłem w Emilinie opowiedziała mi Emilin i stworzyła nieco surrealistyczną wizję tego zakątka, która mnie wtedy pociągnęła i przetrwała do teraz. Później mi opowiadano, że szukając dla mnie bezpiecznego miejsca po przygodzie z policjantami i wyprowadzce z Narbutta przyprawiała o bicie serca naszych przyjaciół swoją nonszalancką bez troską. Przez cztery tygodnie pomieszkowałem co kilka dni gdzie indziej, póki nie wpadło jej na myśl zatelefonować do naszej pięknej i niespokojnej koleżanki z uniwersytetu, której matka, dawna kurierka I Brygady, miała posiadłość w grójeckim. Dojechałem tam kolejką i bryczką. Spędziłem w Emilinie najpierw sześć tygodni do października 1943, by wrócić na dłużej w rok później, po Powstaniu. Z miejsc, w których mogłem się schronić, to było najmniej bezpieczne.

Wczoraj po kolacji rozmowa z M. o tym, co nas ominęło. Wieczory są długo jasne, upał, wszystkie okna na oścież i na przestrzal. Mogliśmy zginąć pod bombami, mogliśmy pasać bawoły w Azji, mogła nam się urodzić zła, głupia i brzydka córka. Mogliśmy także zostać aresztowani przez Niemców w dniu naszego ślubu, wzięci sprzed ołtarza, i byłby to skutek niedyskrecji kobiet, które nie umiały milczeć. Rezydentki emilińskie rozplotkowały szeroko wiadomość kim jestem, nasz ślub stał się sensacją w okolicy. Parokrotnie nas ostrzeżono. Do dziś nie mogę pojąć dlaczego nie uciekliśmy z Emilina do którejś z dalszych wsi. Nie przypominam sobie nawet, abyśmy przeżywali wówczas chwile lęku, i dzisiaj wydaje mi się to nie poczytalne. Wywędrowaliśmy stamtąd dopiero zimą, pieszo, ślizgając się z tobołami po oblodzonej drodze. W rowach leżały trupy niemieckich żołnierzy, już bose. Na skrzyżowaniu powitała nas drewniana brama triumfalna z czerwoną gwiazdą, sierpem i młotem i przez tę bramę wyszliśmy z wojny.

Przerywam na dwa tygodnie.

Piątek. Powrót z Barbizonu po dziesięciodniowym pobycie. Przed wyjazdem nadałem z tamtejszej poczty depeszę do Adama Michnika; w środę gazety i telewizja zamieściły wiadomość o jego uwolnieniu. W Fontainebleau zwiedziłem muzeum Napoleona i *grandes salles* zastawione renesansowymi meblami. M. czekała na dziedzińcu. Sądząc po rozmiarach obuwia i munduru Napoleon był drągalem o nienormalnie długich rękach. Pantofle koronacyjne co najmniej nr 43, czyli o kilka numerów większe od moich na co dzień. W salach tłumy Japończyków, Włochów, Szwedów przeciskają się przez tę makabryczną graciarnię, w którą zamienia się przeszłość. Zaduch bije od gobelinów, baldachimów,

obić, sztukaterii, straszą puste trony o wytartych oparciach. I pomyśleć, że to jest jedyna przeszłość nie zafałszowana. Łóżka królewskie wznoszą się jak katafalki, przysięgłbym że mieszkają pod nimi szczury. Dziwny zapach mnie prześladował. Strychu? Pogrzebu...? Ostateczne wrażenie jakiejś ponurej i niehigienicznej zmyry. Przeszłość budzi we mnie przejęcie, dopóki jest mitem, legendą, sztuką, ale kiedy zostaje zamażynowana, kiedy jest rekwizytornią, w której nagromadzono kostiumy i umeblowanie epok, przyprawia o migrenę. Miałem wrażenie, że oglądam wypchaną historię. W końcu, patrząc na ogromny wyrudziały kapelusze Bonapartego, pomyślałem, że nie chciałbym go trzymać w domu.

W Barbizonie mieszkaliśmy w hotelu *Les Alouettes*. Śniadanie i obiad podawano na tarasie od strony ogrodu. Rosły w nim olbrzymie lipy i wiązy, pod którymi rozstawiono białe stoliki z kolorowymi parasolami. W czasie posiłków siedziały tuż koło nas dwie eleganckie staruszki. Jedna, przeszło osiemdziesięcioletnia, była dotknięta potrzebą opowiadania. Mówiła donośnie, włoskim akcentem, zwracając się do drugiej, pokornie milczącej. W istocie przemawiała do wszystkich obecnych. Opowiadała o swoim życiu i poznawaliśmy je w odcinkach: lata dziecięce, matka i ojciec, dziadkowie, panieństwo i zaręczyny, ślub, pierwszy poród. Co pewien czas rozpoczynała zdanie od *Et alors...*, po czym następował dalszy rozdział opowieści, usianej dygresjami i retrospekcjami: — *Et alors mon père...* — Tknęło mnie coś znajomego, bliskiego. Tę starą damę pożerała mania narracyjna. Było dla mnie jasne, że pod jednym względem nie ma między nami różnic: oboje musimy opowiadać, nie umiemy żyć bez opowiadania.

Na pytanie „dlaczego piszę?” udzielałem różnych odpowiedzi. Mówiłem, że pisarstwo jest dla mnie czymś pośrednim między narkotykiem a błogosławieństwem, czymś między wyprzedzą a ofiarowaniem, czymś między... I tak dalej. Kiedy po ukazaniu się francuskiego przekładu *Miesiący* wystąpiłem w programie telewizyjnym *Apostrophes*, określiłem pisarstwo jako coś pośredniego między modlitwą a pracą. Takich odpowiedzi nie należy traktować zbyt poważnie, bo pisarze na takie pytania zazwyczaj nie odpowiadają poważnie. Ale gdybym miał udzielić poważnej odpowiedzi, nazwałbym moje pisarstwo leczeniem się za pomocą opowiadania. („Niech pan tego nigdy nie mówi! — zawołał mój wydawca, kiedy mu o tym wspomniiałem w rozmowie — będzie pan skompromitowany, dla krytyków to brzmi za mało ambitnie!”). Opowiadając tworzę związki między sobą a światem, zastępuje mi to wiarę i działanie. Myślę, że nie opowiadać mogą

ludzie albo bardzo religijni, albo całkowicie niewierzący. Nie należę ani do jednych ani drugich. Opowiadam, ponieważ nie czuję dostatecznego oparcia w Bogu, a jednocześnie nie chcę wejść w kontakt z Szatanem. Przypuszczalnie stąd także się bierze gadatliwość staruszki z Barbizonu. Oboje jesteśmy w tym samym położeniu. Gdyby na świecie wszystko było w porządku, nie musielibyśmy opowiadać.

Mówię *opowiadać*, przez co w moim wypadku rozumiem *pisać*. To co uprawiam jest zawsze opowiadaniem. Nawet gdyby niektóre partie mojej prozy mogły się komuś wydać „intelektualne”, w gruncie rzeczy są przede wszystkim elementami narracji. Dlatego zaskakujące bywają próby skłonienia mnie do wyjaśnień, co chciałem powiedzieć w tej czy innej książce. Nic nie chciałem powiedzieć — chciałem opowiedzieć. Opowiedzieć coś, czego nie opowiedział nikt przedtem, opowiedzieć po raz pierwszy.

Środa, dwie godziny wieczorem w muzeum Picassa, które mieści się niedaleko, w Hôtel Salé, wspaniale odrestaurowanym siedemnastowiecznym pałacu, gdzie wystawiono obrazy i rzeźby geniusza, którego szczerze nie znoszę. Dzwonił Wojciech Karpiński z pozdrowieniami od Adama. Rozmawiał z nim przez telefon. Depeszę wysłałem na warszawski adres, tymczasem Adam po wyjściu z więzienia w Barczewie pojechał do Gdańska. Ferri przysłał mi wycinki z tygodników włoskich o *Rondzie*, nadeszły także pytania, na które mam odpowiedzieć dla prasy, wcale niełatwe. Znowu to samo uczucie zdziwienia, iż rzecz przeze mnie wymyśloną umieszcza się w rzędzie problemów społecznych, przypisując jej znaczenie ponad stan i miarę. Tymczasem dla mnie pozostanie ona zabawną historyjką, która przyszła mi do głowy w pustym dniu, gdy leżałem patrząc w sufit i martwiąc się, że nic nie przychodzi mi do głowy. Po dwunastu latach z Włoch dostaję analizę tej historyjki i czytam, że odbija się w niej wieloletnia medytacja autora nad kryzysem naszej epoki.

Najprostsze z włoskich pytań dotyczyło lat wojny: „Dla młodego czytelnika oryginalną cechą *Ronda* jest opis indywidualnego ludzkiego życia w czasie wojny. Przedstawia je Pan w sposób żywszy i bardziej interesujący niż zazwyczaj, również w sensie życia uczuciowego i duchowego. Czy sądzi Pan, że ludzie pańskiej generacji pragnęliby zapomnieć o wojnie i widzą w niej przerwę bez zasadniczego znaczenia dla życia osobistego?”.

Moja odpowiedź brzmi niezbyt odkrywczo: „Wojna, okupacja, ruch oporu w Polsce otoczone są do dzisiaj legendą. W *Rondzie* akcja toczy się w latach 1930-1970. Przedstawiłem w tej

powieści wojnę jako okres czyjegoś życia i tło czyjejś miłości, w odróżnieniu od 'powieści wojennej', która w polskiej literaturze współczesnej stała się poniekąd osobnym gatunkiem. Temat wojny ma w Polsce swoje liczne tabu i cechuje go pewna sakralność. Przeżyłem niemal całą wojnę w Warszawie, od bombardowania we wrześniu 1939 do bombardowania jesienią 1944. I mimo że na mocy niemieckich praw byłem skazany na śmierć, żyłem, kochałem się, piłem wódkę i grałem w karty. To była nie tylko wojna, to było także życie”.

W gruncie rzeczy nie jest łatwo przedstawić tę współobecność zbiorowej grozy z intymną prywatnością. W dniach między obławami i rozstrzeliwaniami przeżywano erotyczne upojenia, w środku wojny urządzało się przyjęcia w domach, nieraz zapraszano gości na 12-tą w południe i picie trwało do rana następnego dnia. Wśród gości bywali ludzie głęboko tkwiący w konspiracji, czasem z bronią w kieszeni. Tramwaj, którym jechałem kiedyś na takie przyjęcie, zatrzymała żandarmeria, patrol w hełmach odstawiał na jezdnię młodych mężczyzn. Oficera zainteresował bukiet, który trzymałem w ręku. Kazał mi go odwinąć. Było to siedem róż. Powąchał je nic nie mówiąc. Zostałem w wagonie, po chwili tramwaj ruszył. Taka scena mogła się zdarzyć w *Rondzie*. W „powieści wojennej” bohater przewoziłby w bukietcie granaty.

Życie prywatne dzisiaj w Polsce... Słyszę o przyjęciach na sto osób, i to niekoniecznie w willach prywatnej inicjatywy. Na *party* nocnym w Warszawie pewien znany eseista intelektualno-literacki pobił się do pierwszej krwi z wybitnym działaczem społeczno-politycznym. Poszło o twórczość Conrada, którego obaj wielbią, lecz każdy na swoją modłę i właśnie o to rozkrwawili sobie nosy. Po czym o świcie uściskali się i wyszli z *party* pod rękę. Wysłuchawszy opowieści długo trzymałem się za głowę, śmiejąc się i jęcząc. O, jak chciałbym tam być. O, jak dobrze, że mnie tam nie ma. Takich *party* odbywa się sporo. Opowiadano mi o wielkim dwuosobowym przyjęciu z trzema orkiestrami i występami artystów w rezydencji producenta i eksportera pisanek wielkanocnych pod Jabłonną. Korespondent *Le Figaro* może nazajutrz śmiało zapewniać, że Polska wydobywa się z zapaści gospodarczej. Rząd okazał się bardziej przewrotny niż krwawy — aresztuje i zwalnia przed terminem. Kary nie są tak wysokie, by powodować zbiorowe protesty na Zachodzie, lecz dostateczne, żeby się ich bać. Dwa, trzy lata w więzieniu to są lata bez rodziny, kobiet i przyjaciół, lata więziennego jedzenia i więziennego powietrza. Po dwóch czy trzech latach, gdy więźniowi politycznemu darowuje się resztkę kary, na zagranicznej opinii

publicznej sprawia to wrażenie łagodności: rzeczy okropne w Polsce się nie dzieją. Od zagranicznej opinii publicznej trudno wymagać aby dostrzegła perfidię tej metody. Metoda jest przemyślana, liczy na słabość, na nieprzenikliwość Zachodu. Nawet w prasie niezależnej pisze się o tchórzliwej i galaretowatej Europie. Jeżeli — o czym słyhać — Zbigniewa Bujaka wypuszczą bez procesu, dla zagranicy PRL objawi się jako fenomen liberalizmu i tolerancji w bloku komunistycznym. To, że paragraf o szpiegostwie lub usiłowaniu obalenia ustroju państwa nadal będzie wisiał nad głowami opozycji, to pozostanie tylko w polskiej świadomości. I to, że warunki, w jakich się żyje, są na najniższym poziomie w Europie. Metoda jest dobra.

Pewien warszawski humanista, mieszkający od pięciu lat w Paryżu, wybrał się na miesiąc do Polski. Urządził przyjęcie dla swoich bliskich przyjaciół i opowiadał o tym po powrocie. Przyjęcie źle wypadło, gdyż wśród kilkunastu zaproszonych osób cztery nie podają sobie ręki z przyczyn politycznych.

Natomiast para zmotoryzowanych filologów z Niemieckiej Republiki Federalnej spędziła miły tydzień w zakopiańskim hotelu dla turystów. „Polska to ładny kraj. Kraj, w którym można ładnie żyć”. *Schönes Land... schönes Leben...* Turysta jest zawsze idiotą.

W trakcie wywiadu dla radia BBC przeżyłem krępujący moment, gdy zapytano mnie, czy nie sądzę, że pewne wybitne jednostki żyjące na emigracji budzą niechęć, jeśli nie zawiść, w ich środowiskach pozostałych w kraju. Wykreśliłem się mówiąc, że zawiść jest zjawiskiem pospolitym w ojczyźnie i nie widzę podstaw, by dopatrywać się konfliktu między społeczeństwem a emigracją. Na tym skończyłem. Mogłem jeszcze dodać, że taki konflikt byłby powitany okłaskami przez generałów, policję i partię. Nie trzeba jednak wywoływać złych duchów. Prawdziwe niebezpieczeństwa są inne. Kraj jest ciągle zżerany przez rakowatą narośl systemu politycznego, niszczonego materialnie i psychicznie. Reakcje na tę chorobę często są również chorobliwe. Uraz antykomunistyczny był czymś nieuniknionym i spowodował to, że niejednokrotnie utożsamia się komunizm z socjalizmem, przekreśla tradycje radykalnej i oświeceniowej myśli społecznej. Zdawałoby się, że najważniejsze jest tworzyć solidarny front przeciw komunistycznemu totalitaryzmowi, tymczasem czytając niektóre wydawnictwa niezależne odnosi się wrażenie, że front przebiega dziś między pisarzami, których od trzydziestu lat łączą wspólne poglądy i działania. Znowu nam grozi podwórkowość, hory-

zont zwężony do kościoła i narodu, historiozofia wpatrzona w powstanie i obsesje polsko-żydowsko-rosyjskie. Ojczyzna-parafiańszczyzna... stara choroba. Nieszczęściem byłoby odwrócenie nas plecami do Zachodu, czyli do cywilizacji. Oznaczałoby to dać się izolować przez sowietyzm, zostać z nim sam na sam i żyć w jego cieniu. Oznaczałoby to zgłupieć. Można zgłupieć szlachetnie i po bohatersku, nie wiedząc że się zgłupiało. Co mnie straszy: żeby się nie stać klęczącym przed sobą i zapomnianym narodem, którego cierpienia będą czcili mówcy w zachodnich parlamentach. Straszy mnie tak samo polski chichot ze świata, jak idealizowanie własnej przeszłości. Wiemy, co to znaczy wyjść z cywilizacji. Polska w XVIII i XIX wieku była nie tylko wymazana z mapy politycznej Europy: była od dawna nieobecna w europejskich pracach cywilizacyjnych — i za to się najciężej płaci. Kiedy studenci pytają mnie o przyczyny trudności, na jakie literatura polska — klasyczna i współczesna — natrafia w czytelniczym odbiorze na Zachodzie, próbuję tłumaczyć, że właśnie tak się płaci za długą nieobecność. Przez półtora wieku tworzyliśmy najoryginalniejszą literaturę niewoli (zakład polski: „kondycja podbitego narodu jest uniwersalna”) ale nie było nas w kręgu cywilizacji tworzących główny obszar kultury. Po półtora wieku usiłowaliśmy do niego wejść i trudniej było nam się dostać niż Duńczykom.

Notatka o Polsce w tygodniku *Le Point*: „Polska. Zwiększenie się ilości księży. Według źródeł watykańskich liczba powołań duchownych w Polsce stale rośnie, zwłaszcza od wyboru polskiego papieża, Jana Pawła II. W roku 1985 było o 198 księży więcej niż w 1984 i o 1394 więcej niż w roku 1979”. *Le Point* nie należy do pism lewicowych, intencja tej notatki jest bezstronna.

Z Warszawy, za pośrednictwem korespondentów prasy zagranicznej i radia, nadal dochodzą pogłoski, lub tylko domysły, o przypuszczalnym zwolnieniu wszystkich więźniów politycznych, włącznie z przywódcami podziemnej „Solidarności” — Bujakiem, Jedynakiem, Bielińskim i innymi — a także z Frasyniukiem, Bieleckim, Moczulskim. Mają jakoby trwać przetargi między rządem a przedstawicielami opozycji, równoczesne z przesłuchaniami śledczymi innych przedstawicieli opozycji; rozmowy dotyczą rzekomo obustronnych warunków: kto, ile i z czego ma ustąpić. Ale czy te wiadomości są wiarygodne?

Z życia kulturalnego Sodomy i Gomorry.

Poniedziałek: lektura grubej powieści królewicza literatury

paryskiej Filipa Sollersa pt. *Kobiety*, gdzie podczas stosunku erotycznego panie — jeśli nie śpią ze sobą — wypijają ze szklanki męską spermę.

Wtorek: na filmie angielskim *Mona Lisa*, w którym prostytutki i sutenerzy uprawiają stosunki oralne, analne oraz sado-masochistyczne. W kinie sporo młodzieży.

Środa: lektura powieści Rogera Peyrefitte, której dwaj bohaterowie, 50-letni pisarz francuski oraz nastolatek-licealista z zamożnej rodziny, onanizują się nawzajem po ciemku w kinie. Z powyższym wyjątkiem liczne akty erotyczne w tej powieści — między panami i również między panami a paniami — mają charakter wyłącznie odtępny, przez kiszkę odbytową.

Zaraza SIDA (w Stanach Zjednoczonych zwana AIDS), nowa obok terroryzmu plaga ludzkości, jest chorobą przenoszoną przez krew. Początek swój miała w odbytnicy, pierwsi zostali nią dotknięci pederasta. Ilość ofiar wzrasta alarmująco. Mówiąc o tym nieoczekiwanym biczu Bożym wymienia się już liczby milionowe. Francuska telewizja nawołuje sodomitów do używania prezerwatyw.

Sobota, przedostatni dzień sierpnia. Błyszcząco i chłodno, już prawie wrzesień, powietrze jak ze szkła, nadwyzczaj przezroczyste. Wczoraj wyszedłem z rana na umówioną wizytę lekarską i zobaczyłem mosty w słynnej bładoniebieskiej mgiełce. Wracając uliczką Charlemagne popadłem w skojarzenia z warszawskim Starym Miastem. Pamięć stopniowo traci wyrazistość i dokładność planu, muszę sobie przypominać nazwy ulic odchodzących z Rynku i tych wokół Rynku (gdzie jest Piekarska?) albo kolejność przecznic Freta. Mam niejasne wyobrażenie Warszawy obecnej, przeważnie oparte na wiadomościach, jakie ludzie ze sobą przywożą. Podobno z domów na Nowym Świecie osypują się tynki, a po 9-tej wieczór ulice w Warszawie są puste. *Cocktail-bar* w hotelu Victoria, zbudowanym i zarządzanym przez Szwedów, stał się, jak mi mówią, punktem zbornym elity filmowo-teatralnej z przyległościami, dawnych bywalców klubu literatów, dziennikarzy zagranicznych, modelek itp. Za filiżankę kawy płaci się 150 złotych. W zeszłym tygodniu do Paryża przyjechała I., niegdyś tak cudowna, dziś wyschnięta jak schorowane drzewo, siedemdziesięcioletnia, i dopiero po godzinie odnalazłem w niej dawny zarys wspaniałego młodego zwierzęcia. Opowiadała o Warszawie — co można dostać w sklepach i czego nie można (przed jej wyjazdem w aptekach nie można było dostać wody utlenionej), a później o kursie dolara w Polsce. Kiedyś taksówkarz wziął ją za cudzoziemkę i policzył 4 dolary za kurs z Żoliborza na Moko-

tów. Patrząc na nią i słuchając widziałem ją — w głębi, za jej plecami — półobnażoną, w sukni ze złotej lamy, tańczącą na balu architektów w 1938 roku. Teraz, kiedy prawie wszyscy są młodsi ode mnie, była to chwila czułej zemsty. Płaciła mi swoją starością za dawne olśnienie, wtedy tak rozpaczliwe i bezsilne.

W mieście dobrze jest żyć, odpoczywam po wakacjach. Czytam Maurice Sachsa *Le Sabbat*, po trzech miesiącach od pierwszego zetknięcia się z tym autorem, kiedy pochłonałem w ciągu nocy jego książkę *Au Temps du Bœuf sur le Toit* i nazajutrz zatelefonowałem do Józefa Czapskiego, pytając czy znał Sachsa i czy przypomina sobie okoliczności jego śmierci.

Znowu od pierwszych zdań to samo wciągnięcie w tekst, bez sekundy nudy. Utalentowany. Nie tylko: obdarzony świetną inteligencją i smakiem. Więcej: tragicznie świadomy siebie. Przeklina swoje grzechy, wiedząc że nie będzie miał siły, aby się z nich wydobyć. Książka *Le Sabbat*, spowiedź autobiograficzna, pisana była pod koniec lat 1930-tych, z dodatkiem trzech ostatnich stron, dołączonych przez autora w roku 1942; w druku ukazała się dopiero po wojnie, gdy autor już nie żył.

Nazwisko Maurice Sachs było mi od dawna znajome, napotykałem je w rozmaitych świadectwach i wspomnieniach o Paryżu międzywojennym. Wydawał mi się sylwetką z pogranicza salonu i literatury, w rodzaju młodego Prousta, jeszcze bez twórczości, ale już z artystycznym wyrafinowaniem, urzeczonego sztuką, a zarazem snobującego się na artystyczne koneksje. Teraz dowiaduję się, że urodził się w 1906 w zamożnej rodzinie francusko-żydowskiej (dziadek jubiler, a raczej nabywca i sprzedawca diamentów), spowinowaconej z Bizetami i Halévy'emi. W ciągu niecałych czterdziestu lat swego życia był kolejno cudownym dzieckiem literackich salonów, półkloszardem mieszkającym w barce na Sekwanie, duchownym, złodziejem, pederastą, dandysem, sekretarzem Gide'a i Cocteau, wydawcą, reżyserem, pijakiem, bibliotekarzem Coco Chanel, członkiem komisji lektur *Nouvelle Revue Française* wraz z Gidem, Malraux i Gallimardem... W czasie okupacji niemieckiej był kolaborantem. Miarą jego zdolności pisarskiej są obrazy Paryża w roku 1918, Paryża „szalonych lat” po pierwszej wojnie światowej. A także umiejętność moralnego portretowania ludzi; charakterystyki Gide'a, Maksa Jacoba, Cocteau, Maritaina, Soutine'a są nacechowane powagą, jaką daje świadomość ludzkiej wielorakości oraz potrzeba sprawiedliwego osądu. Najbardziej uderzająca w jego wyznaniach jest straszliwa szczerość człowieka upadłego — pisze o sobie najczęściej jako o nędzniku — połączona z pragnieniem dobra i tęsknotą za czystością. Można się zastanowić, ile tu prawdy a ile ekshibicjonizmu i pozy:

„Nieraz patrzyło na mnie z lustra moje zmętniałe oko ze źrenicą pływającą jak nieżywa ostryga. Widziałem mój brzuch, wzdęty i biały, jak brzuch zdechłego osła, nogi zżerane nerwicową łuszczycą i mój członek, skarłały od haniebnych usług. Nie ważyłem się zaglądać do własnej duszy, czasami tylko brałem się za głowę z wewnętrznym krzykiem: gówno! gówno! gówno!... — ale to niczego nie zmieniało”.

W trzecim roku wojny dostał paryskiemu wydawcy dwie strony epilogu, poprzedzone cytatem z Jana Jakuba Rousseau: „Człowiek, którego bierzecie za mnie, nie jest mną”. Píše w tym zakończeniu, że pragnie opuścić Francję i żyć z dala od cywilizacji, a przede wszystkim od Paryża, od jego olśnień, intryg, rozpusty i zbytku, od świata, w którym „nie jestem na tyle uczciwy, aby wytyczyć sobie prostą drogę, lecz za mało nieuczciwy, żeby grać bez skrupułów znaczonymi kartami”. Wśród ostatnich zdań autora jedno brzmi szczególnie poruszająco dla kogoś, kto zna prawdziwe zakończenie jego losu: „Naprawić własną duszę — w istocie była to jedyna moja ambicja. Dotychczas mi się to nie udało”.

Nie udawało mu się także w innych dziedzinach. Kiedy postanowił zostać wydawcą i zaczął drukować tomiki awangardowej literatury, zaprzyjaźniona z nim Misia Godebska-Sert przekazała mu maszynopis nieznanego powieściopisarza, Niemca, twierdząc że warto go przetłumaczyć na francuski. Sachs nie miał czasu, włożył go do szuflady, po czym zapomniał. Później książkę opublikowało inne wydawnictwo. Była to krótka powieść, zatytułowana *Na zachodzie bez zmian*. Sachs wspomina o tym mimochodem, z gorzkim humorem.

Józef Czapski znał go, stykał się z nim wielokrotnie w Paryżu. Usłyszałem od niego, że Maurice Sachs zmarł pod koniec wojny w więzieniu na północy Niemiec. Zamordowali go współaresztanci. Podobno był więziennym donosicielem.

Łatwiej byłoby mi zapomnieć o tej książce, gdybym się nie dowiedział o przerażającym końcu jej autora. Podobnie jak w przypadku dziennika Jana Lechonia. Przy tym autobiografia Sachsa ma pewien rys szczególny: w opisach, w stylu i myślach, w analizie ludzkich charakterów przebija osobliwa skrupulatność, troska grzesznika o złożoną prawdę własnej i cudzej duszy. Być może jest w tym jakiś ślad jego zmarnowanej wartości i głębokiej kultury. W polskiej literaturze nie ma takich wyznań.

W sobotę wyjazd na tydzień do La Hacquinère.

Dziś całkowity odpływ. Powiedziałem M., że czuję się jak zegarek, który przestał chodzić, i jest to zdanie dokładnie określające stan rzeczy.

La Hacquinière. Jak co roku, robimy pięciokilometrowy spacer z Avenue Voltaire do placiku przed merostwem w Bures-sur-Yvette, idąc wąziutkim chodnikiem obok rozpedzonych samochodów, i jak co roku mówię, że to jest przebieganie nogami w gazach trujących. Nazajutrz idziemy znowu, bo trzeba nadać listy na pocztę. Mam osobny pokój do pracy na piętrze. Na dole mieszka Irena z Mrukotem II (Mrukot I zginął pod kołami), wieczorem oglądamy telewizję, później czytam w łóżku do północy. Rano budzi mnie pianie koguta. To jedyny kogut w tej willowej miejscowości, kogut polski, własność sąsiadki, madame Szewczyk. Tak samo jak Ameryce, nie trzyma się tu drobiu przy domkach mieszkalnych, od tego są fermy kurze. Mała Klara, córka Moniki i Witka Markowiczów, urodzona w Nowym Jorku, pierwszą żywą kurę zobaczyła w Laskach, kiedy przyjechali z wizytą do Polski. Zawołała zdumiona: — *What is this?*

Przywiozłem zaległą korespondencję i teczkę ze starymi notatkami. Pracuję od 9-tej rano trzy godziny, potem rozmowa w ogrodzie z Ireną, która ma wiele do opowiedzenia. Nie może już czytać — czyta słuchając. Jest zaabonowana w trzech bibliotekach dla niewidomych, słucha literatury nagranej na taśmy. Literatury nie tylko literackiej: ostatnio wysłuchiwała jedenastu kaset *Historii mieszczaństwa we Francji*.

Miarowość tego bytowania daje lepsze samopoczucie fizyczne. Wdrapując się stromą aleją Klébera na płaskowzgórze, nie czuję najmniejszego ucisku protezy w biodrze. Zresztą w Paryżu także o niej zapominam, i w ogóle o tym że byłem operowany. Uprzedzono mnie wtenczas, że nie udaje się pięć procent takich operacji, ale ja nie miałem wyobraźni na te pięć procent i szedłem do szpitala w spokojnym przeświadczeniu, że czeka mnie rutynowy zabieg chirurgiczny. Później w sanatorium zobaczyłem kilka pokręconych i jakby pełzających osób. To byli ci z „pięciu procent”, u których proteza się nie przyjęła.

Notatki, jakie tu ze sobą przywiozłem (na kartkach wydartych z bloczku telefonicznego) w większej części są sprzed wielu tygodni i miesięcy; wśród nich te, które robiłem w szpitalu przed i po operacji. Wziąłem je w ostatniej chwili, pakując torbę. Na ogół rzadko korzystam z notatek, tylko niewielka ich część wchodzi do książki. Niemniej są mi potrzebne. Widocznie, żeby się czegoś dokopać, kopie się w wielu miejscach. Niektóre były kresłone w pośpiechu i teraz mam trudności w odczytaniu. Zda-

nia niepełne, jakieś skróty, których nie rozumiem. Na przykład co to oznacza: „nadużycie ze śniegiem i wtrąconym słówkiem *prawie*”. Inne natomiast rozwinięte, niemal gotowe do druku. Wpłatom je w tekst i będę do nich wracał, żeby w tym ostatnim tomie *Miesiące*, tak jak w poprzednich, zachował się ślad mojej wewnętrznej codzienności.

Pierwsza, sprzed półtora roku, szpitalna: „Lopez opowiada, że zawsze potrzebował trzech kobiet naraz. Kocha żonę, uważa się za przykładowego męża i ojca. Mówi, że pani Lopez jest tolerancyjna, wybaczała mu jego zdrady. Poważnie cytuję jej zdanie: 'Mężczyzna to jest zwierzę, to pies, który musi latać za sukami'. Pani Lopez odwiedza go po południu. Ogromna, z czarną twarzą o dobrych oczach”.

Także ze szpitala, data jeszcze przedoperacyjna: „Chopin, cierpiący dowcipniś. W liście do rodziny pisał: 'Jestem dziś chora'. Andrzej Wat opowiadał niedawno o fotografii maski pośmiertnej Chopina. Zdjęcie zamieścił jakiś magazyn: twarz przerażająca i brzydka, wyniszczona chorobą, twarz męczennika. Tę maskę pośmiertną sprzedano kilka lat temu na licytacji w sali Drouot. Ta, którą znamy, pewnie nie jest prawdziwa. Prawdziwej przypuszczalnie nie chiano ujawnić. Clésinger sprokurował nową — ładniejszą, idealnie wygładzoną. Właśnie tę, którą znamy. Autentyczny odlew gipsowy twarzy zabrał podobno Mickiewicz. Scenariusz o życiu Chopina do filmu Wajdy tak bym zakończył: Mickiewicz odjeżdża fiakrem sprzed domu, w którym umarł Chopin, na placu Vendôme. Trzyma na kolanach odlew gipsowy zawinięty w gazetę. Wajdzie to się podobało. Ale mówię, że z tych projektów nic nie wyjdzie, dopóki będą zależeć od ministerstwa w Warszawie”.

„16 maja 1985. Nowy sąsiad na łóżku z lewej strony. Młody, ok. 28 lat. Mówi, że złamał nogę w czasie meczu piłki nożnej. Uprzejmy, cierpliwy, spokojny, ulubieniec pielęgniarek. Przychodzi żona, blada, szczupłutka. Objęci, wpatrzeni w siebie. Ideał. Myślę: gdyby wszyscy byli tacy. Nagle do pokoju wchodzi pięciu policjantów. Więc jasne: kryminalny, może zbrodniarz. Nie. Mój ideał bohatera naszych czasów okazał się policjantem. Nazywa się Jean-Pascal Blanchon. Komisariat 19-tej dzielnicy Paryża”.

„Pana Angel zabrali do separatki, gdzie ma umrzeć. Przy łóżku zostały jego ranne pantofle i książka — *Tołstoj* Henri Troyata. Maria Teresa, pielęgniarka z Martyniki: — Niech to ktoś zabierze, to zbyt smutne”.

„25 czerwca 1985, Villier-Saint-Denis. Rozmowy z Moha-

medem Badji. Murarz zatrudniony na wielkich budowach. Słup betonu przygniótł mu kolano. Szesnaście lat we Francji, raz do roku odwiedza żonę i synów w Algierze. Opowiadam mu o Polsce. Mówię: 'Bo Polska w XVII wieku...' i spostrzegam, że Badji nie rozumie. Badji nie wie, że był XVII wiek. Zaczynam go ostrożnie wypytować i orientuję się, że przeszłość w jego świadomości sięga trzy pokolenia wstecz, do pradziadków — dalej jest tylko Bóg i Prorok. Badji nie dzieli przeszłości na stulecia i nie wie, kiedy żył Mahomet”.

„Villier-Saint-Denis, 1 lipca. Doktor Cabanal lubi zaznaczać, że doskonale wie kim jest pacjent osobiście, pozaszpitalnie. Ja jestem dla niego *écrivain polonais*. Dzisiaj przechodząc korytarzem zatrzymuje mnie: — Jak się nazywała ta Polka, kochanka Napoleona? Madame Walesa?”.

„W chwilach, kiedy mam żal do Boga, i w innych, kiedy Mu składam dzięki, widzę Go zawsze takim, jak na obrazie w łódzkim kościele Św. Krzyża, do którego Helena prowadziła mnie na śluby i pogrzeby. Miał srebrną brodę, słoneczną aureolę wokół głowy i utkwione ponad mną ciemne, jak gdyby niewidzące oczy”.

„3 lipca. Po wysłaniu z Cochín listu do pani Timan w Sztokholmie zastanawiałem się, co to jest być emigrantom politycznym i czy ja nim jestem. To, że mam paszport emigranta? Niektórzy zachowali polskie paszporty w istocie będąc emigrantami. Okoliczności mego pozostania na Zachodzie, po piekłach jakie przeżyli emigranci w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, były względnie łatwe (np. zawsze miałem na kilka tygodni życia). Jeszcze dziś mógłbym chyba odzyskać mój paszport PRL i wrócić. Przypuszczalnie trzyma mnie tu rodzaj kondycji psychicznej — pewność, że tam na nic się już nie zdam i że coś zrobić będę mógł tylko na zewnątrz. 'Na zewnątrz' czyli poza krajem i swoim dotychczasowym życiem. Nie należę do starej ani do młodej emigracji, jestem przybyszem, który zamieszkał na stałe”.

Ta notatka dała mi nieco do myślenia. Po niemal pięciu latach, jakie upłynęły od wyjazdu z Polski, zaczynam się chwilami obawiać rozrzedzenia obecnej egzystencji w porównaniu z dawną warszawską. Dziwne: tamto życie, przy całej obwiśłości i szarzyźnie, było jakoś gęstsze, intensywniejsze. Okresami żyło się wśród ciągłych napięć które dodawały rumieńców i wyrabiały muskulaturę. Sens życia tworzyły nam harce z władzą, zebrania i wybory w ZLP, podpisywanie zbiorowych oświadczeń. Albo niepodpisywanie. W 1964 kilkuset literatów podpisało oświadczenie potępiające Radio Wolna Europa i List 34. Wśród sygnatariuszy było

wielu autorów, którzy zdecydowali się podpisać, by uniknąć przykrości, dla świętego spokoju, i dzisiaj o tym nie pamiętają. Ale wówczas biegły tygodnie pełne ożywienia, emocji! Nazwiska literatów karcących swych kolegów, którzy odważyli się publicznie skrytykować rząd, ogłaszano w *Życiu Warszawy*, i to w odcinkach, po kilkadziesiąt nazwisk w każdym numerze. Był to tak zwany „list 600”. Rano przy śniadaniu ci, co odmówili podpisu, dowiadawali się z gazety *kto jeszcze się ześwinił*. To rozumiem, to były przeżycia. Specjalni wysłannicy KC namawiali jednych do wycofania podpisu z listu 34, innych do złożenia podpisu na liście 600. Często wizytowano po domach. W tym charakterze zjawiał się u mnie redaktor naczelny *Życia Warszawy*. Od pierwszych zdań domyśliłem się, że przysłano go z Domu Partii i że pragnie wrócić z odpowiedzią, która jemu i mnie nie zaszkodzi. Po godzinnej dyskusji sam, niemal błagalnie, podsunął mi wyjaśnienie mojej odmowy: miała kierować mną zwykła koleżeńska lojalność... Takie epizody urastały z czasem do politycznych trzęsień ziemi i osobistych dramatów, żyło się nimi miesiącami, latami, zastępowały przygodę, hazard, grę — czar życia. Sprawa Listu 34 była tylko fragmentem długotrwałego cyklu konfliktów między inteligencją a partią w okresie 1955-1980. Pisałem w tych latach różne książki — powieści i nie-powieści, bardzo polityczne i mniej polityczne. Pisałem je pod ciśnieniem, „na kontrze”, przeciw narzucanym stosunkom lub poglądom, które uważałem za fałszywe. Ten opór pobudzał energię i pewnie był płodny. Pisałem w natarciu wydarzeń i nieraz książka była odpowiedzią na fakty publiczne, po czym sypały się na nią ciosy (tak było z *Wariacjami pocztowymi*). Tutaj żyje się raczej wiadomościami niż wydarzeniami, fakty przychodzą z oddalenia, jakby z innego powietrza. Kiedy w Paryżu był Konwicki, zapytał od razu pierwszego dnia: — A jak z pisaniem? Czy tu ma się gaz? — Nie wiem. Tutaj ma się poczucie obnażenia losu. To nie brzmi klarownie, ale samo uczucie jest niejasne. Wydaje mi się, że od pięciu lat żyję w większej zależności od przypadków, a zarazem od własnych postanowień; że w mniejszym stopniu przylega do mnie rzeczywistość, lecz ja sam bardziej przylegam do siebie. W Polsce człowieka bezustannie osacza krąg posądzeń, które trzeba ubiegać albo odpyrać. Wiele uczynków się spełnia i dużo słów się wypowiada z obawy przed posądzeniami. I w końcu nie zawsze wiadomo, co jest czymś przekonaniem a co lękiem. Ale może tam gdzie trzeba protestować, bać się upokorzeń i bronić się przed podejrzeniami, życie jest prawdziwsze...?

Wszystko to niełatwe do sprecyzowania. Nie jestem pewien, czy tu ma się gaz.

Wśród notatek znalazłem kilka z zimy 1984/1985, które miały być umieszczone lub rozwinięte w *Miesiącach*.

„Przemówienie Iwaszkiewicza na pierwszym walnym zjeździe ZLP po Październiku 1956. Stojąc na trybunie mówił uroczystym i nieco zawodzącym głosem proboszcza z Brwinowa, wygłaszającego niedzielne kazanie: — Każdy z nas zjadł kawałek łajna...! — Bodaj że to był cytat z Ewangelii. J., który na jego pogrzebie przypomniał mi tę scenę, dodał szeptem: — A on zjadał do końca. — Odpowiedziałem także szeptem: — I na końcu pisał znakomite rzeczy. — Tuż przed pogrzebem sensacja i temat dla humorystów: kazał się pochować w mundurze górnika. Przedwojenny dyplomata, posiadacz ziemski, pederasta! Uznano to za jego ostatnią złośliwość. Myślę, że humorysty nie mieli racji. Tym mundurem chciał dać pośmiertny dowód swojej miłości dla klasy robotniczej i przywiązania do Polski Ludowej — dowód dla potomnych, że nie był oportunistą. Z pewnością nie czuł się oportunistą. Niechwalebność jego postawy w sytuacjach politycznych wynikała z uszanowania dla porządku rzeczy, w którym widział niewzruszalność przyrody”.

„Jednak dziele ludzi na utalentowanych i nieutalentowanych. Utalentowanych dziele na inteligentnych i nieinteligentnych. Nieutalentowanych dziele na agresywnych i nieagresywnych”.

„Dać swój komentarz do postaci dr Faula z *Obrony Grenady*”.

„Wyjaśnić szerzej co to jest 'miłość w obronie koniecznej', czyli że rozumiem przez to jeden ze sposobów wydobywania się z niepewności. Nie zawsze jest pewne, jaki ma się stosunek do rządu lub Pana Boga, ale dla zakochanego mężczyzny jest całkowicie pewne, jaki ma stosunek do kobiety, którą kocha. W życiu istnieje niewiele takich pewności”.

W poniedziałek 8 września wyjechaliśmy na Orly witac Ewę, która przyleciała z Warszawy po dwóch latach. Z lotniska taksówka do nas na François Miron, za kierownicą ciemnowłosa kobieta. Policja w białych kaskach nie puszcza samochodów w kierunku Hôtel de Ville. — Znowu jakiś bankiet?! — woła taksówkarka. Jest 7.30 wieczór, tłum śpieszy się, wylewa na jezdnię. Powstają zatory, słychać syreny karettek pogotowia i wozów straży pożarnej. Ciemnowłosa kląć obraca kierownicą. Pyta przez nadajnik, którędy można objechać Hôtel de Ville. Stoimy w zatorze z opuszczonymi szybami, jest ciepło, wśród ludzi na ulicach dużo opalonych twarzy po wakacjach, kobiety jeszcze w letnich sukniach. Z radyjka w samochodzie odzywają się męskie głosy, mówią szybko: — ...był zamach w Hôtel de Ville,

jedna osoba zabita, są ranni... — równocześnie drugi głos informuje, że na Champs Elysées także był zamach, wzięto zakładników... jechać naokoło przez Cité, bomba na pocście w Hôtel de Ville... Wycieczka z fotoaparatami stoi przed Notre-Dame, przewodnik wyciąga rękę w stronę rzeźb, poruszając ustami i brodą. Mówię do Ewy, która ma wypieki po podróży, że zaraz dojedziemy. W radyjku przyspieszony głos donosi, że osoba rozerwana przez bombę jest kobietą, wpadamy na tyły Hôtel de Ville. Policja tu nie zatrzymuje. Na naszej ulicy przed żydowsko-tunezyjską knajpką trzech mężczyzn w kapeluszach gra w karty.

Arabów w Warszawie pamiętam jeszcze sprzed wyjazdu. Mówiło się o tym, że wciąż ich przybywa,apełniali niektóre kawiarnie i lokale nocne. Ktoś opowiadał przy obiedzie na Krakowskim, że wszedł do kawiarni hotelu *Metropol*, gdzie wszystkie stoliki były zajęte przez rozwrzeszczanych Arabów z panienkami oprócz jednego w kącie sali, przy którym siedział katolicki intelektualista Zygmunt K. czytając *Wyznania* św. Augustyna. Mówiło się też, że w Rembertowie założono obóz treningowy, w którym szkoli się arabskich terrorystów. Zamach na pocście w Hôtel de Ville wykonał Arab. Jest możliwe, że przyjechał w tym celu z Rembertowa. Gdyby się zastanowić, można by uznać tę myśl za niedorzeczną: Arab przyjechał z Rembertowa, żeby rzucić bombę na pocście w Paryżu...? W istocie jest równie dorzeczna, jak przypuszczenie, że przyjechał z Damaszku albo z Pragi czeskiej. Strach mnie ogarnia przed niedorzecznościami, które stają się dorzeczne. Poznaliśmy już, zdawałoby się, wszelkie nieprawdopodobieństwa, a jednak świadomość, że w specjalnych ośrodkach trenuje się dziewczyny i chłopców gotowych zginąć po rzuceniu granatów na ludzi modlących się w świątyni lub kupujących znaczki w urzędzie pocztowym i że dzieje się to w imię wolności i niepodległości, taka świadomość zawsze na nowo osłupia.

W Polsce dokonuje się największa od 13 grudnia 1981 operacja strategiczna. Według zapowiedzi ministra spraw wewnętrznych w najbliższych dniach będą zwolnieni wszyscy więźniowie polityczni, w tym ci z kierownictwa podziemnej „Solidarności”, a więc Bujak i inni. Równocześnie trzy tysiące działaczy opozycyjnych w całym kraju wezwano w jednym dniu na rozmowy, których przebieg nie został dotąd ujawniony. Operacja musiała być przygotowywana od dawna, jej cel jest zapewne potrójny: rozbicie opozycji — przyciągnięcie części społeczeństwa do współpracy z reżimem — przekonanie opinii publicznej na Zachodzie o łagodności rządów w Polsce. Tak więc niedawne pogłoski, że pertraktacje są w toku, okazały się prawdziwe, myliłem się. W nie-

których ocenach i przewidywaniach myliłem się także przedtem i oddając do druku kolejny tom *Miesiący* wiedziałem, gdzie się omyliłem. Tak jest ciekawiej niż mieć zawsze rację, między innymi dlatego w maszynopisie nie zmieniam tych ustępów. Może teraz się myślę nie wierząc w dobrą wolę rządu? Wkrótce się okaże, czym jest ów akt łaski — krokiem w stronę porozumienia czy obezwładnienia. Zmieniają się metody. Te stosowane przez rządzących i te wymierzone w rządzących. Nową metodą byłoby wypuszczenie z więzień opozycjonistów w celu zlikwidowania opozycji. Metody współczesnego terroryzmu także są nowe. Sto lat temu zamachowiec nie rzucał bomby, jeśli w pobliżu stała kobieta z dzieckiem. Dziś zabija się przechodniów, dzieci, sprzedawczynie, rzuca się bomby w tłum albo podrzuca do wagonu. Przypadłem na czas totalnego okrucieństwa i powszechnej opieki nad zdrowiem.

W roku 1946 w Warszawie minister kultury i sztuki wyznaczył pewnego dnia dwie kolejne audycje dwóm starszym paniom. Przyszły wcześniej i czekały w sekretariacie siedząc obok siebie. Nie znały się osobiście. Jedna przyszła w sprawie miesięcznika poświęconego malarstwu i architekturze, druga była śpiewaczką. Czterdzieści lat przedtem, kiedy pierwsza rzuciła bombę w carskiego gubernatora, drugą łączył z nim romans. Odbывало się to również w Warszawie. O obydwóch paniach mówiła z sympatią właścicielka Emilina, która brała udział w tym staroświeckim zamachu. Była osobą o wielkim uroku i śmiałej linii życia. Niepodległościowa konspiracja od lat szkolnych — Wydział Bojowy PPS — niebezpieczne misje kurierskie z ramienia Legionów — działalność w Inspektoracie Pracy w Polsce niepodległej. Podczas okupacji przysparzała młodą Żydówkę i jeńca sowieckiego, gościem we dworze bywał dowódca okręgu AK, w wieczorce trwały nieraz do świtu partyzanckie narady. Wieczorami rezydentki dworskie, chcąc wzmocnić swoje położenie, wróżyły z kart: — Wychodzi niezbicie, że w wolnej Polsce będzie pani dziedziczka ministrem...

Latem 1944, przed wybuchem powstania w Warszawie, córka dziedziczki, idąc z parą spanieli polną drogą, zobaczyła dwóch żołnierzy niemieckich siedzących w zbożu. Zawiadomiono oddział leśny. Dowódca rozkazał młodszego z dezertów, holenderskiego volksdeutscha, wziąć do partyzantki; starszy, kelner z Berlina, został jako Niemiec zastrzelony w lesie. Działo się to na trzy miesiące przed naszym przyjazdem. Zamieszkaliśmy w chłopskim gospodarstwie, dwieście kroków od dworu. Można się zastanowić, czy dowódca słusznie postąpił. Opowiadano nam, że oddział nie zachowywał środków ostrożności. W niedzielę do kościoła

chłopcy przyjeżdżali na rowerach, w czapkach z orzełkami i wyglansowanych oficerkach. Obu dezertarów pożegnano kolacją w dworze. Kelner z hotelu *Adlon* upił się z radości i śpiewał piosenkę „Mutti, gib mir ein Pferdchen”. Upewniono go, że będzie rąbał drzewo i nosił wodę w majątku po drugiej stronie lasu. Peter, młody Holender, był ulubieńcem rezydentek.

Po Powstaniu we wsiach roilo się od wysiedleńców z Warszawy. Niemcy wydali nakaz przyjmowania na kwatery. Często spotykało się na drodze osoby z tobołkami, mówiące do siebie „pani pułkownikowo” lub „panie magistrze”. Ojciec M. chodził w swojej myśliwskiej kurtce przepasanej rzemieniem, kłaniając się zamasyżcie wiejskim gospodyniom kapeluszem z opuszczonym rondem. Później na równinę spadł śnieg. Przyszły mrozy, psy się wściekały. Warszawskie towarzystwo schodziło się na podwieczorkach u pani R. Miłe kobiety dyskutowały z panami, czy po wojnie trzeba będzie wymordować dzieci niemieckie, opowiadano dowcipy z kabaretu *Qui Pro Quo*, ktoś śpiewał piosenki Hanki Ordonówny. W pałacowej wieżycze odbył się mój wieczór autorski. M. gotowała zupę na żelaznym piecyku, przy którym grzał się nasz dwumiesieczny spanielek wzięty ze dworu. Kiedy Holender Peter uciekł z lasu do Niemców, rozpoczęły się oblawy. Własowcy na koniach zajechali od tyłu chałupę tak nagle, że nie zdążyłem odłożyć pióra. Pani Zenowiczowa, pewna że front przeskoczył już Wisłę, wpakowała niskiemu Kirgizowi ogromny biały ser. Ale w dwa dni później biegłem przez zasypy za ojcem jezuitą z Warszawy i parobkiem Jasiem, który prowadził nas do sąsiedniej wsi. Niemcy otoczyli pałac. Peter wydał już kwatery akowskie w okolicy. W Emilinie wskazał córkę dziedziczki i jej kuzyna, Ossowskiego. Stara dziedziczka patrzyła mu w oczy i Peter milcząc odwrócił głowę. W sąsiedniej wsi przesiedzieliśmy do wieczora. Na podwórzu dzwoniły łańcuchami dwa brytany, w izbie stół ugiął się od poczęstunku, obchodzono czyjeś imieniny. Nie zapomnę tego ciepła i gwaru.

Powtarzam tutaj fragmenty moich wcześniejszych książek, niektóre wypadki i sceny są opowiedziane tak samo, niemal tymi samymi zdaniami. Powtórzenia stosuję także w obrębie *Miejsce*. Jest tak, bo tak się przytrafia. Pamięć — świadoma, podświadoma — pamięć własnego życia to w sumie nie więcej niż kilkanaście scen i obrazów, rodzaj półciemnej galerii, w której co pewien czas nieoczekiwanie występuje z mroku jarząc się własnym światłem nieruchome malowidło. Wtedy przystaję, wpatruję się w nie jak zahipnotyzowany. Matka z bukietem róż, walizczką i czarnym welonem zarzuconym na ramię, prześlicznie uśmiechnięta w progu mieszkania państwa Zenowiczów... Drgająca gór-

na wargę i jasną źrenicę ojca, kiedy mi szeptał zasapany: „Po wojnie kupię ci nową rakietę...”. Mieszkanie na Narbutta i doktor Staś w rannych pantoflach przy pianinie, stara dziedziczka z laską i psami u nóg kreśląca nam krzyżyk na czołach, gdy zegnaliśmy ją opuszczając zimą Emilin... Wszystko gdzieś już napisałem, ale te sceny mają siłę zaklęcia i żądają ode mnie wierności. Pamiętają o mnie, czuwają w nocy, są wiecznie obecne. Tak więc, rozpamiętując w różnych chwilach swoje przeszłe sprawy, jest się właściwie przez nie pamiętanym, jest się ich obiektem i myśli się o nich w tych samych dokładnie powtarzających się obrazach, tymi samymi zdaniami. A ponadto, co znacznie dziwniejsze, również w wydarzeniach, w faktach życia występują repetycje i nawroty, jak gdyby cytowana przeszłość. Bywają powtórzenia zagadkowe, tajemnicze...

Powiedzmy jednak, że powtarzam tu moje dawne wątki, których czytelnik nie zna albo nie pamięta. Wątek emiliński był jednym z ważniejszych.

Oboje uwzględnialiśmy możliwość, że zginieemy razem, i czasami mówiliśmy o tym po ciemku, leżąc obok siebie na wysokim łóżku. Słowa „umierać” i „śmierć” M. lekko zacierała swoją dykcją. W końcu wybuchaliśmy nerwowym śmiechem, dusząc się pod pierzyną. Tkwiła w nas głęboko ukryta pewność, że doczekamy się prawdziwego życia. Wierzyliśmy oboje, że musi nadejść czas, który będzie życiem, i że znajdziemy się w miejscu, w którym będzie życie. Oburzylibyśmy się, gdyby usiłowano nas przekonać, że życie nie jest niczym innym niż to co trwa między dworem a lasem na równinie. W tym emilińskim okresie, do dnia nazwanego Wyzwoleniem, byliśmy jeszcze wolni. Potem już tylko wydawało nam się, że jesteśmy wolni. Myślę, że tamtej zimy skończyła się nasza młodość.

W nocy po kolejnej obławie zbudziło mnie stukanie w zmarznąętą szybę. Stara dziedziczka przysłała o lasce, z psami, w czarnym szalu na głowie. Niemcy zaskoczyli partyzantów na kwatery wskazanej przez Petra. Ciężarówkami przywieźli ciała, leżąc teraz na skraju lasu, zakazali je pochować. Trzeba je stamtąd wynieść nocą. Ubrałem się. Chłopi bali się jechać. Trupy leżały pod lasem jeszcze przez trzy dni. Później w ciszy, jak duchy, pojawiły się na równinie sylwetki w białych strojach z kapturami: szperacze sowieckiego oddziału, który wchodził w las.

Po latach myśl o jednoczesnej śmierci wraca, staje się prawie pokusą. Razem umrzeć pod mostem na Queensie... razem spłonąć w spadającym samolocie... Zginąć razem od wybuchu bomby w sklepie Tati'ego na ulicy Rennes także byłoby zamknięciem całości.

Z notatek:

„Naprawdę istniały dla (we) mnie od początku tylko dwa tematy. 1) Kiedy i w jaki sposób rzeczywistość staje się opowiadaniem, a opowiadanie rzeczywistością; 2) czy, albo do jakiego stopnia, można sobie stworzyć własne przeznaczenie, niezawisłe od Opatrzności i Historii”.

„Włodzio Rubinoff. Niedawno odebrał sobie życie w Brazylii. Był nowym uczniem w czwartej klasie. Wrażliwy, jakaś. Przyjechał z Francji, ale urodzony w Petersburgu. 'Zaciągał' i jednocześnie grasejował. Matka jak z romansów cygańskich: oczy czarne, papieros, bransolety. Zabrała go po roku. Mówiło się, że wyjechali z powrotem do Francji. Dwa lata przed wojną zobaczyłem ją na Wierzbowej. Zaczepiała mężczyzn. Pewnie dzięki temu mogła opłacać utrzymanie syna, który — o czym dowiedziałem się później — studiował w École des Sciences Politiques w Paryżu. Z okna hotelu w Sao Paulo rzucił się nad ranem. Był starym bogatym człowiekiem. Podobno dręczyła go obawa, że umrze na raka, i wybrał szybszy rodzaj śmierci. Kiedy opowiedziano mi o tym, przypomniła mi się pani Rubinoff w kapeluszu z czerwonej słomki i jaskrawej letniej sukni o głęboko wyciętym dekolcie, zapraszająca mężczyzn swymi wschodnimi oczami i zwolnionym, szerokim ruchem bioder. Wspomnienie pani Rubinoff na Wierzbowej pozostanie dla mnie najpiękniejszym obrazem miłości macierzyńskiej”.

„Samobójstwo mieści się w kulturze. Zawsze miałem podziw dla samobójców. Jedynym człowiekiem, którego wolno mi zabić, jestem ja, który tego pragnę. Większym skandalem jest zabicie wołu lub jagnięcia, które tego nie pragną. Żydzi, chrześcijanie, komuniści, ich kościoły potępiają samobójców: nie wolno ci zabić siebie, ponieważ należysz do nas”.

„Wszyscy najbliżsi mi w sposobie myślenia i odczuwania byli do siebie pod jednym względem podobni. Można by o nich powiedzieć: kultura zamiast religii. Za to się płaci niepokojem, ale to szczepi przeciw nienawiści. Religie dowiodły, jak potrafią nienawidzić”.

„Różnica między kulturą polską a francuską polega m.in. na tym, że we Francji można wypowiadać zdania, za które w Polsce nie podaje się ręki. Przed rewolucją 1848 w Paryżu wsadzano do aresztu zbyt śmiałych dziennikarzy. Wychodzili na wolność w aureoli męczenników. Jedna z dowcipnych pań mówiła o nich: 'Więcej więzienia niż inteligencji'. Zart możliwy w kraju, w którym nie było zsyłek na Syberię”.

„Gilotyna weszła do ich kultury jak kosa do polskiej. Zachowali ją, funkcjonowała długo jeszcze. Nóż spokrewniał. Po

egzekucji Robespierre'a znaleziono w jego biurku książkę z ołówkowymi notatkami, którą Maria Antonina czytała w Temple. Pamiątka po Maryli”.

„Jaką ulgą byłoby odpocząć od żydowsko-chrześcijańskiego Boga i mieć przygody z bogami. Z greckimi bogami, którzy zamieniają się w łabędzie, żeby mieć stosunek z kobietą, albo porywają ładnych chłopców z ziemi. Z chrześcijaństwem łączy mnie etyka (miłujcie nieprzyjaciół waszych — najwspanialsza z rzeczy niemożliwych), nie metafizyka. Bardziej niż Trójca Święta i Królestwo Niebieskie odpowiadałby mi baśniowy, familijny Olimp”.

„Boże, nie dałeś mi zostać intelektualistą, jak Stiller, Mencwel, Nawrocki, Wasilewski, Niecikowski, Drozdowski, Barut, Spectator i inni moi paszkwilanci, chronologicznie, nie według alfabetu. Jeśli nie sprostam wymaganiu, aby ich miłować, to przynajmniej potrafię ich nie nienawidzić. W razie pożaru ratowałbym każdego z nich, chociaż nie uczyniłeś mnie strażakiem”.

Wtorek. Pisanie od 11.30, szybkie golenie i na pocztę zapłacić rachunki. Po powrocie dowiaduję się, że była Julia. Przyniosła czerwone sitko, plastikową miskę do prania, zasuszony bukiety i parę innych drobiazgów. Odlatują z Arturem do Nowego Jorku, właśnie zlikwidowali paryskie gospodarstwo. Sitko, miska, elektryczny przedłużacz, torebka ryżu, słoik miodu, takich rzeczy w Polsce nie wyrzuca się na śmietnik, mogą się komuś przydać. Wieczorem lektura powieści Updike'a *Rabbit jest bogaty*, około 600 psychologiczno-obyczajowych stron, przez które przechoǳę się odgarniając zwały słów, dialogów, opisów. Co kilkadziesiąt stron kopulacja i orgazm. Rzecz jest o życiu średniej klasy amerykańskiej, nazwisko Rabbit nawiązuje do lewisowskiego Babbita. Lektura pogrąża w mazi pomiędzy niesmakiem a smutkiem. Zasnąłem z książką w ręku przy scenie orgii dwojga pięćdziesięciolatków, którzy po niebywałych wyczynach oddają na siebie moc. Diabli wiedzą, na ile taka literatura odbija rzeczywistość, a na ile obowiązujące fasony, rachuby, marzenia o skandalu. Diabli wiedzą. We śnie chyba męczyło mnie pragnienie, bo usiłowałem daremnie napić się wody z czerwonego sitka.

Środa. We troje z Ewą na spacerze wzdłuż Sekwany, później godzina w Conciерgerie, gdzie byłem raz tylko, w 1946. Sporo ludzi. Zaraz po odejściu od kasy dopada mnie niemłoda Francuzka w kapeluszu, pytając gdzie jest cela, w której umarła Maria Antonina. W głębi na prawo. Omyliłem się na początku tomu: nie wmurowano dodatkowych cegieł, aby obniżyć wejście

do celi, tylko wstawiono deski. Drzwi są drewniane. W celi jest mroczno, zimno (skarżyła się, że nogi jej marzną). Można się zorientować gdzie stało łóżko, na którym półleżąc spędziła ostatnią noc przed egzekucją. Stolik pewnie się mieścił pod oknem. Wartownicy grali przy nim w karty i często kibicowała jednemu z graczy, stojąc z ręką na oparciu jego krzesła. W gablocie obok celi, wśród rycin i listów, znajduje się wyblakły świstek z grypsem nakłutym szpilką. Chciano jej umożliwić ucieczkę. Udało mi się odczytać dwa słowa na końcu, w trybie warunkowym: *Je viendrais*. Nie użyła czasu przyszłego.

Czwartek. Prawie cały dzień u siebie w pokoju, nad blokiem albo leżąc. Jest tak, jak mówię: umiałem żyć bez wolności, ale nie umiem żyć blisko śmierci. Wieczorem przetkałem zlew. Po kolacji znowu Updike i rozmowa z Ewą, która stoi w hinduskiej sukni. Wspomniałem jej o notatce „Włodzio Rubinoff”. Twierdzę, że nie potrafiłbym odebrać sobie życia i nawet nie wiedziałbym, jak to zrobić, żeby najmniej się bać. Na co Ewa śpiewnie, wysokim głosem: — Czterdzieści aspiryn! — W hinduskiej sukni i z grzywką.

P a ź d z i e r n i k

Po zwolnieniu więźniów politycznych dzieją się w Polsce nowe rzeczy. Przywódcy podziemia ujawnili się i powołali do życia Radę Tymczasową NSZZ „Solidarność”. Oczekują dialogu z rządem. Rząd jak dotąd nie zareagował. Przypuszczalnie nadal trwa dialog z kim innym. W każdym razie — odważny ruch, szybkie odegranie karty w najlepszym korowskim stylu. Tylko... co dalej? Na pytanie zagranicznych dziennikarzy, co robi „Solidarność”, jeśli rząd jej z powrotem nie uzna, Wałęsa odpowiedział: — Nie wiem, czego chce rząd, ale my mamy wizję. — Mówi bardzo prędko, specjalnym językiem, który jest jego własną nowomową i ma tę zaletę, że przeciwnik nie wszystko rozumie.

Coś się jednak skończyło. Już nie szesnaście miesięcy. Zamknął się okres dziesięciu lat.

Po dwutygodniowym pobycie w Warszawie i Krakowie mój znajomy, Francuz, opowiadał mi, że Polska zewnętrznie sprawia dziś wrażenie kraju Trzeciego Świata, ale ludzie w tym kraju mają świadomość Europejczyków. Powiedział: — Wstrząsający kontrast.

Włoska dziennikarka nieco inaczej określiła swoje wrażenia: „dziwny naród, złożony z żebraków i dandysów”.

Paryż odpoczywa po zamachach. Wczoraj w szpitalu zmarła dziesiętnastoletnia dziewczyna, szósta ofiara wybuchu u Tati'ego na rue de Rennes. Przed wejściem do urzędów, instytucji i większych magazynów trzeba się poddać krótkiej rewizji. Poza tym w mieście toczy się normalne życie, wieczory są ciepłe, do północy pełno ludzi na tarasach. Tak samo było, kiedy w śródmieściu codziennie eksplodowały bomby.

Przeglądam maszynopis. I zastanawiam się nad swoim głosem, który brzmi w tekście, nad głosem narratora. Narrator musi ustawić swój głos. Ustawić głos to znaczy nastroić go na pewien ton. Ale to oznacza więcej, to oznacza, że trzeba się zdecydować na samookreślenie. Kim chce się być opowiadając: człowiekiem poważnym, dowcipnisiem, cynikiem, bohaterem? Tak jest również wtedy, kiedy się pisze dziennik, list lub powieść, i wtedy gdy pisze się rzecz z pogranicza dziennika, listu i powieści. Mówi się dzisiaj: zapis osobisty. Pytano mnie, czy uważam ten gatunek za nową formę prozy. Uważam go za bardzo starą formę, którą uprawiał Pasek, Montaigne, Słowacki, Herzen (każdy na swój sposób), a którą my posługujemy się z a m i a s t długich listów pisanych do kogoś i myśli czy wspomnień spisanych dla siebie. Korespondencja Flauberta — dziewięć ogromnych tomów — jest jego zapisem osobistym, podobnie jak dziennik Constanta. Dziś jednak rzadko pisze się listy na dziesięć stron i pamiętniki na pośmiertny użytek. Drukujemy za życia. Macie, czytajcie. Patrzcie, jacy jesteśmy. Jesteśmy tacy, a nie inni.

Otóż niezupełnie. Jesteśmy też inni, nie tylko tacy. Autor pisząc nie ofiarowuje siebie całego, raczej wybiera w sobie kogoś, aby mówić w jego imieniu. Nie piszę *Miesięcy* do szuflady, wciążam w nie czytelników, przede wszystkim tych z mojego pokolenia i kraju. Nie ma ich wielu. Ilu może być ludzi w Polsce, którzy ukończyli studia w latach niepodległości i przetrwali wojnę w Warszawie, takich, co byli potem w partii albo blisko partii, a później wystąpili lub oddalili się od partii — ilu, którzy przeszli podobną drogę co ja? Niewielu. Zwracam się więc niezbyt donośnym głosem do moich czytelników. Nie znam dalszego ciągu opowieści, co zawsze jest niepokojące, ale w tej opowieści nadaję sobie kształt. W każdym razie nie ma powodu się dziwić, że publikuję swój zapis osobisty zamiast utrzymywać prywatną korespondencję, jak pani de Sévigné. W listach, czy też nie w listach — zawsze kreuje się siebie.

Jedną z przyjętych dziś form zapisu osobistego jest spisana rozmowa. Rozmowa z artystą, z uczonym, z politykiem. Takich rozmów ukazuje się bardzo wiele w prasie, wydaje się je także w książkach. Przeczytałem właśnie w opublikowanym przez Insty-

tut Literacki tomie rozmowę Jacka Trznadla ze Zbigniewem Herbertem. Rozmowa, w której zostałem gwałtownie napadnięty, dotyczy lat 1950-tych w literaturze polskiej, lat zwanych okresem socrealizmu, względnie stalinizmu. Są również w tej książce rozmowy z innymi autorami. Wspomniałem już, że Trznadel zwracał się do mnie z propozycją takiego wywiadu. Dwukrotnie mu odmówiłem tłumacząc, że o tych sprawach wypowiadałem się w moich książkach. W rozmowie z Herbertem określa Trznadel swoją przynależność do partii jako *wallenrodyzm*, co Herbert przyjmuje bez sprzeciwu. Natomiast obydwaj rozmówcy mają nieco mniej zrozumienia dla postawy wielu zmarłych i żyjących pisarzy. Słowo „haniebnny” pada gęsto. Opatrują nim moją nowelę *Nim będzie zapomniany*, przy czym Trznadel dołącza do hańby opowiadanie Adolfa Rudnickiego *Major Hubert z armii Andersa*. W trakcie dialogu Herbert pastwi się nad Tadeuszem Konwickim; nie oszczędza również takich autorów jak Dąbrowska, Nałkowska, Słonimski, Gałczyński, Andrzejewski, Borowski, Kołakowski. Interlokutor mu sekunduje i po drodze dostaje się nawet Miłoszowi: „... jako dyplomata PRL był już tylko konformistą w praktyce życiowej”. Czemuż nie Wallenrodem? Jest w tej pogawędce ciężki ładunek żółci. Trznadla słabo znam i niewiele czytałem, ale Herbert, jeden z kilku najwybitniejszych współczesnych poetów polskich...? Herbert zaskoczył mnie nie tylko tym, że przez lata bliskich stosunków ani razu nie wypowiedział mi w oczy zarzutów, jakie teraz ogłosił przeciw mnie publicznie. A mógł je wypowiedzieć, choćby przed niespełna rokiem, kiedy był u mnie po zamieszkaniu w Paryżu. Szczególnie jednak zadziwił mnie napastliwością języka i myślenia. Opinie Herberta są tak jadowite, że jego sąd o Gombrowiczu w tej rozmowie trąci mimowolnym humorem: „Uważam, że byłby to genialny pisarz, gdyby nie brakło mu miłości...”. Przede wszystkim zdumiał mnie brak dobrej woli poety i to, że w ówczesnych postawach ludzkich dopatruje się najwulgarniejszych pobudek, m.in. interesowności materialnej (o Marii Dąbrowskiej: „Pewna pani, która napisała *Noce i dnie...*” i dalej: „... powiedziała, że dzięki Polsce Ludowej doznała radości wielkich nakładów”). „Sentymentalny donos” — tak ochrzcił Herbert wymienione tu opowiadanie, które napisałem w roku 1955. Donos na Miłosza... Czy naprawdę nie pamięta, że kiedy napisałem tę nowelę, Miłosz od kilku lat mieszkał już na Zachodzie? Donosy pisali na niego ludzie z emigracji. Do Amerykanów — co utrudniło mu podobno otrzymanie wizy.

W trakcie tej lektury nasuwało mi się wrażenie, że obaj rozmówcy żądają od swych kolegów publicznego kajania się. Herbert

wprawdzie odcina się od tego, ale tylko formalnie. Gdy jego interlokutor mówi: „Trzeba przypuścić tutaj taką rzecz wstydlivą: dlatego że tak wielu pisarzy z tamtego niechlubnego okresu przeszło do opozycji, a to bardzo pięknie, literatura socrealizmu nie została nigdy do końca moralnie i socjologicznie zanalizowana” — kiedy pada to zdanie, Herbert przytwardza: „Ta rozmowa powinna toczyć się między nami w roku 1955 lub 1956. Myśmy się spóźnili o trzydzieści lat”.

Spóźnili się o trzydzieści lat, bo trzydzieści lat temu, aby złożyć taką rozmowę do druku, trzeba było trochę odwagi, a dzisiaj krytyka tamtego okresu jest rzeczą całkowicie bezpieczną.

Spóźnili się, bo przez te trzydzieści lat zamącił się biało-czarny obraz. Osądzanym pisarzom Herbert zarzuca strach, pychę i wyrachowanie. A okazało się, że tych tchórzów i wyrachowanych pyszałków stać było w następnych latach na odwagę, rezygnację z oficjalnego uznania i korzyści materialnych. Tego rozmówcy nie próbują wyjaśnić. Jak gdyby życie i twórczość tych autorów skończyły się przed rokiem 1956. „Przeszli do opozycji, a to bardzo pięknie...”. Ale opozycja to były represje, to groziło wyrzuceniem z okna, to były zakazy publikacji, usunięcia z katedr, oskarżenia o agenturalność, wreszcie w niejednym wypadku internowanie. Obraz nie był biało-czarny. Z biało-czarnego obrazu wynikałoby np., że „najbardziej uniwersalną pisarką polską” (cytuje Herberta) była Hanna Malewska. Moim zdaniem nie jest to całkiem pewne, jakkolwiek postawa i twórczość Malewskiej zasługują na głęboki szacunek. Wiele jest niepewności w ocenach sztuki pisania. W gruncie rzeczy autor *Pana Cogito* może mieć pewność jedynie w tym, że jego poezja przetrwa w polskiej literaturze wraz z poezją Gałczyńskiego, Różewicza i Ważyka. A także Broniewskiego.

Przy tym, jak mi się zdaje, żaden z rozmówców nie wypowiedział do końca wszystkich swoich życzeń. W dialogu prześwituje jednak sugestia, że autorzy, którzy zaangażowali się ideologicznie i skompromitowali artystycznie w latach 1945-1955, powinni byli w roku 1956 odejść, tak jak musieli odejść skompromitowani politycy. Ta sugestia jest wyczuwalna dla ucha i nasuwa się pytanie, czemu rozmówcy nie wyrazili jej jasno. Cóż ich powstrzymało? Przypuszczam, że właśnie zabrakło im pewności. Co to znaczy odejść z literatury? Czy istnieje inna forma odejścia pisarza niż utrata zainteresowania ze strony czytelników? W jaki sposób można spowodować, by odszedł autor, który jest czytany? Tu rozmówcy zamilkli, gdyż może zrozumieć, że kiedykolwiek opublikowaliby tę rozmowę — trzydzieści lat wcześniej czy później — nie zmieniliby faktu, że literaturę w Polsce po roku 1956

nadal tworzyło wielu laureatów poprzedniego okresu. Było to możliwe jedynie za sprawą czytelników. Publiczność chciała ich czytać.

Otóż główny fałsz czy błąd zademonstrowany przez parę Herbert - Trznadel tkwi w tym, że sądzą ludzi zamiast analizować fakty literackie. Jak to było możliwe, że autor *Małej Apokalipsy* i *Kompleksu polskiego* napisał przedtem *Władzę*; że autor *Obywateli* jest tym samym pisarzem, który wydrukował później *Wariacje pocztowe* — wyjaśnić to tak, aby dla każdego było zrozumiałe, z pewnością nie jest łatwo, jeśli w ogóle jest możliwe. Być może należałoby ów fenomen uznać za zdumiewający i tajemniczy, może kryje się w nim trudne do wytłumaczenia zjawisko psychologii zbiorowej. Nad tym w pierwszym rzędzie — nad zjawiskiem — trzeba się było zastanowić. Tych książek sprzed lat trzydziestu pięciu nie da się dziś obronić, a ich krytyka, nawet najokrutniejsza dla autorów, będzie słuszna. Napisali inne książki, później. Gdyby obaj interlokutorzy zadali sobie trud odnalezienia pewnych ustępów w moich tekstach — w *Obronie Grenady*, *Matce Królów*, w *Nierzeczywistości* — znaleźliby odpowiedź na pytanie, dlaczego taka była moja droga, nie inna.

Lecz rozmówcy nie poszli w tym kierunku. Niewiele mówią o biografiach i książkach, natomiast z miejsca przypisali autorom motywację najniższego rzędu. A to już nadużycie. Co powodowało Dąbrowską, kiedy ogłosiła nekrolog o Stalinie? Co Słonimskim, kiedy pisał artykuł przeciw Miłoszowi? Chęć kariery i zarobku, sprzedajność, brak zmysłu rzeczywistości, strach, pycha? Sam Miłosz na pewno by w to nie uwierzył. Niestety, w dialogu Trznadel - Herbert czuje się powzięte z góry założenie: nie tyle omówić literaturę socrealistyczną, „zaangażowaną” i zrozumieć jej późniejsze kryzysy, ile skompromitować personalnie autorów.

W sumie — poza obelgami i chęcią ponizienia — ta rozmowa nic nie wnosi „moralnie i socjologicznie”. Dwa razy mówiłem Trznadłowi, że lepiej, aby rozmowy o tamtych sprawach człowiek piszący prowadził publicznie ze sobą samym (jego to również dotyczy). Formą może być zarówno powieść lub opowiadanie, jak pamiętnik czy esej. W żadnym wywiadzie rzecz nie będzie przedstawiona głębiej i prawdziwiej.

Wszystko to smutne i bardzo polskie. O tym, że sto pięćdziesiąt lat temu Polacy także bluzgali na siebie żółcią po klęsce, o norwidowskim „kijem na ulicy”, pisałem w trzecim tomie *Miesiący*. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że lada dzień ktoś znówu się zamachnie.

Książka jest opatrzona tytułem *Hańba domowa*. Zastanawiam się, czy inni autorzy, z którymi Trznadel prowadził rozmowy —

myślę tu zwłaszcza o Jacku Bocheńskim, Andrzeju Braunie, Wiktorze Woroszyńskim — czy pisarze ci znali tytuł książki autoryzując swoje teksty. Byłoby to zdumiewające. Przy czym, jeśli wymienić wszystkich zniesławionych w tej rozmowie autorów, okaże się, że napiętnowani imiennie — obok zmarłych — są tylko ci, od których Trznadel wywiadów nie uzyskał.

Wiele pisano o niebezpiecznej mocy słów. Na słowa trzeba uważać. *Hańba*, *haniebnny* należą do słów o magicznej, totalitarnej sile. Za pomocą takich słów można pchnąć tłum przeciw ludziom, których chce się zniszczyć. W swoim czasie londyńska prasa emigracyjna miotła podobnie groźne słowa na Pruszyńskiego, Tuwima, Słonimskiego, na ludzi powracających do kraju lub drukujących w kraju, i później na Miłosza, na Gombrowicza. Proszę przeczytać co Mackiewicz (Józef) wypisywał o Pawle Jasienicy już po jego śmierci. Jak łatwo i z jaką przyjemnością wypowiada się słowa *zdrada*, *hańba*, *podłość*. Totalitaryzmy często posługiwały się i posługują takimi słowami. Chrześcijaństwo używa innych słów. Nie *hańba*, lecz *wina*, nie *podły*, lecz *grzeszny*. Chrześcijaństwo zna też słowa *nawrócony* i *przebaczenie*. Ludzie manifestujący na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, gdy zatrzymał ich uzbrojony kordon, wołali do milicjantów: — Przebaczymy wam! — Było to hasło KIK-ów, młodej opozycji katolickiej. Czy z ewangelicznych słów robi się dziś tylko slogany? W książce *Hańba domowa* chrześcijański poeta i naukowy badacz literacki rozmawiają o pisarzach, którzy przygotowali Październik '56 w literaturze, a w dwadzieścia lat później założyli pierwsze nielegalne miesięczniki, o pisarzach, wśród których są również dawni członkowie partii, tacy jak Kołakowski, Konwicki, ja, inni. I właśnie ich, *nawróconych*, piętnuje się w tej rozmowie najmściwiej, przede wszystkim im nie chce się zapomnieć. Dobrze, milczy się o innych, którzy byli lub są nadal funkcjonariuszami komunistycznego systemu w literaturze; zgoda, nie wspomina się o tych, co przez wszystkie lata dyskretnie służyli reżimowi, zachowując ostrożność i stroniąc od wszelkich protestów. Mówi się natomiast i wskazuje palcem, na nich, na *zhańbionych*, poniża się tych, którzy udowodnili swoją późniejszą twórczością i życiem, że są ludźmi dobrej woli i wiary. Wątpię, czy to jest sprawiedliwe. Podejrzewam, że istnieje typ człowieka, który nie umie przebaczać i chce nienawidzić.

Usłyszę: ale skoro już mowa o tamtym okresie, skoro wymieniam się nazwiska i tytuły, to niechże autor wyjaśni, jak dzisiaj ocenia swoje opowiadanie *Nim będzie zapomniany...*?

Oceniam je najsurowiej. Widzę w nim dziś akt zapamiętania i niesprawiedliwości wobec ludzi, którzy wcześniej niż ja wie-

dzieli, czym jest komunizm. Pisałem o tym szerzej w *Miesiącach*. Nie będę tego powtarzał teraz, kiedy wśród zawołań *hańba!* usiłuje się wskrziesić obyczaj publicznej samokrytyki i wywyższyć siebie.

Powracam tu do faktów i spraw dawnych, sprzed niemal czterdziestu lat. Uderza mnie, że wszystko to dokonało się w krótkich odstępach czasu, w ciągu pięciolecia. Szczeciński zjazd literatów, polityczne wyjazdy na Zachód i odmowy powrotu — Romana Palestra, Czesława Miłosza, Stanisława Jerzego Leca (opuścił placówkę dyplomatyczną w Wiedniu, potem wrócił do Polski) a później Andrzeja Panufnika — śmiertelny wypadek samochodowy Ksawerego Pruszyńskiego, ambasadora Polski w Hadze, powrót do kraju Antoniego Słonimskiego, samobójstwo Tadeusza Borowskiego, zerwanie Wiktora Wrożyńskiego z komunizmem w czasie studiów w Moskwie, pogrzeby Tuwima, Gałczyńskiego, Nałkowskiej — wszystko stawało się, jak dzisiaj widzę, szybko, czas był zgęszczony, trwało to przecież w sumie niewiele dłużej niż okres od mojego wyjazdu z Polski do dziś. Wy tłumaczyć, jak się to działo — psychologicznie, społecznie, historycznie — wyjaśnić młodemu intelektualistcie, który w tym czasie jeszcze się nie był urodził, przekonywać go, że Dąbrowska, Broniewski, Nałkowska, Kott, Słonimski, Konwicki, Woroszyński, Kołakowski, o których dzisiaj poeta i filolog mówią jako o ludziach splamionych, że ci pisarze byli, są ludźmi prawymi — to jest rzecz, przynajmniej dla mnie, z gruntu niemożliwa.

Październik, bardzo ciepło. Wizyta Papieża jest centralnym tematem w środkach masowego przekazu. Wczoraj chwila wzruszenia, kiedy żegnając wieczorem tłumy przed katedrą w Lyonie powiedział: — *Bonne nuit*. — Wydaje się, że tym razem Francuzi go pokochali. Wezwał państwa i ludzi na całym świecie do zaniechania w dniu 27 października wszelkich działań zbrojnych i aktów przemocy. Dzień uciszenia. Gdyby ten apel do sumień odniósł skutek, miałbym spokojne urodziny. W tym dniu będę pewnie we Włoszech, gdzie Sandro Ferri organizuje dla mnie spotkania z krytykami i prasą — a stamtąd do Izraela na zaproszenie Związku Pisarzy. W sumie ponad trzy tygodnie.

Pakiet gazet z kraju. W pismach wychodzących oficjalnie drukuje się co pewien czas ustępy z dziennika Marii Dąbrowskiej. Rzecz jasna wyłącznie te, które nie są krytyczne w stosunku do komunizmu i ZSSR. Wyrywa się je z całości po to, aby móc powiedzieć, proszę, drukujemy pamiętniki Dąbrowskiej. To samo robiło się z dziennikami Jerzego Zawieyskiego. Przypuszczalnie

kiedys pamiętnik Dąbrowskiej wyjdzie ze skrótami i uznamy to za akt łaski ze strony cenzury. Tak było z Gombrowiczem.

Prawie cały dzień spędziłem na porządkowaniu książek i papierów. Kiedy zdjąłem z półki trzy tomy *Dziennika* Gombrowicza, przyszło mi do głowy zajrzeć na sam koniec, bo nie pamiętałem, czym się ów dziennik kończy. Przeczytałem ostatnie zdania: „Cóż, obrońcy kultury polskiej? A co się tyczy samejże, żeby tak się wyrazić, świńskości, to znałem pewnego Polaka, który zapadał w długie rozmyślanie. Po czym, ocknąwszy się mówił: — Świnia świni tyłek ślini. — Co masz na myśli? — zapytałem w końcu. Odpowiedział: — Myślę o Polakach”. O, nie był dla nas Gombro łaskawy... Kartkuję wstecz i trafiam na ustęp, gdzie autor utyskuje na ciszę swojej ustabilizowanej egzystencji, gdzie wzdycha, że nic mu się nie zdarza i w porównaniu z czystcem argentyńskim życie we francuskim „salonie Europy” wydaje mu się zbyt spokojne. Uderzyła mnie tu zbieżność z nastrojami, jakie miewam (o czym pisałem) i zastanawiam się, czy to nie jest sprawa wieku: pisząc te zdania Gombrowicz był już po sześćdziesiątce.

Dwa cytaty, które warto zapamiętać. Pierwszy — za I. Krzemieńskim w *Aneksie* — z pism Simone Weil: „Wszystko zawiera się w dystansie między kaprysem i zasadą. Dlaczego uległość kapryswi jest niewolnictwem? Przyczyna sprowadza się ostatecznie do stosunku pomiędzy duszą i czasem. Kto jest poddany samowoli, jest zawieszony na nici czasu: czeka (najbardziej poniżająca sytuacja) na to, co przyniesie następna chwila. Nie rozporządza swoimi chwilami. Teraźniejszość przestaje być dla niego dźwignią, przy pomocy której oddziaływuje się na przyszłość”.

Drugi cytat, z Micheleta, tylko na pozór nie łączy się z poprzednim: „To pani Roland wysłała podporządkowanego sobie ministra Roederera do La Fayette’a, ażeby się dowiedzieć, czy generał w końcu opowie się za Żyrondą, czy za Dworem. La Fayette wybrał to drugie stronnictwo, bądź przez antypatię osobistą do pani Roland, bądź też ponieważ sądził, że Żyronda zostanie wkrótce wessana i pochłonięta przez Jakobinów. I okazało się to prawdą. Dlaczego? Być może decydującą przyczyną, jakiej można się w tym dopatrzeć, było właśnie to, że La Fayette tak sądził. Często się zdarza, że przepowiednia i wiara w przepowiednię czynią ją prawdziwą i tworzą fakt. Gdyby La Fayette opowiedział się był za Żyrondą, gdyby związał stronnictwo umiarkowania ze stronnictwem zapału (Jakobinami — przyp. K.B.), należy wątpić, czy byłoby potrzebne stronnictwo terroru”.

W związku z tym, co napisałem wczoraj o Gombrowiczu i

sprawie wieku. Jeżeli za dwa tygodnie kończy się 70 lat, oznacza to zmniejszenie się obszaru przewidywań i czekania. Jest się słabiej zawieszonym na nici czasu i w mniejszym napięciu czeka się na to, co przyniesie następna chwila. A zatem powiększenie się obszaru „duszy” czyli wolności? Bardzo możliwe. W każdym razie dbam przede wszystkim o tę wolność, jaka ode mnie zależy. Na przykład: wolność od przedmiotów. Nie kupuję nowych rzeczy do mieszkania. Okazało się, że to, co jest, najzupełniej wystarczy. Wszystko, co zostawiłem w Warszawie, meble, obrazy, samochód, dawno już rozdałem bliskim osobom: niebagatelną sumę z mojego konta w PKO udało mi się przekazać w całości na cele społeczne w kraju. Jest w tym coś z ulgi. Obrastał mnie ten inwentarz, lepił skorupę, z której trudno było się wydobyć. Myślę, że właściciele starych mieszkań wcześniej dotyka skleroza. Pozbywam się więc rzeczy niekoniecznych. Za to dusza moja potrzebuje obecności kilkunastu osób. Mam je tutaj. Te, które zostawiłem w Polsce, również są obecne, choć częściej w myślach niż w rzeczywistości.

Wczoraj spędziłem pół dnia z Aleksandrem, bratem mojego nieżyjącego przyjaciela. Siedzieliśmy na tarasie, Aleksander mówił, że dużo podróżuje. Podróże wypełniają mu czas i odwracają uwagę od... Powiedział: — Jeśli się zobaczyło umarłego brata, dla człowieka staje się jasne, że jego życie może się skończyć jutro albo za kwadrans. — Był niedawno w Polsce i o tym, co widział, opowiadał z przygnębieniem. Pyta mnie, co ja sądzę. Co ja sądzę... Twierdzę, że tylko wypadki w skali światowej mogłyby w Polsce coś zmienić i musiałyby to być wypadki dramatyczne. Może za dziesięć lat osiągniemy poziom cywilizacyjny istniejący dzisiaj na Węgrzech. W takim stanie rzeczy naród skupia się wokół Kościoła, który daje ludziom duchowe oparcie. Kraj jest policyjny i religijny. Im więcej będzie policyjny, tym więcej będzie religijny i na odwrót, do chwili gdy Kościół i państwo znajdą jakiś sposób współżycia. — Więc pewnie wtedy wrócisz? — uśmiecha się Aleksander, kolega Mariana z ławki szkolnej. — Więc pewnie nie wrócę — mówię i w tym momencie pojawia się kelner. Aleksander kładzie banknot dwustufrankowy, kelner wydaje mu resztę ze stu franków i odchodzi. Aleksander podskakuje na krześle: — Oszukał mnie. — Wstaje, idzie do kasy. Po chwili kelner z rezygnacją przynosi sto franków. Nikt nie chce być oszukany przez kelnera, nawet mając jasną świadomość, że życie może się skończyć za kwadrans.

Była u nas kobieta — blisko zaprzyjaźniona — która w jednym dniu straciła męża i jedyne go syna. Szła za dwiema trumnami. Nie zginęli w wypadku, umarli śmiercią naturalną w dwóch szpi-

talach na dwie różne choroby. Mówię, że człowieka nie może spotkać nic straszniejszego. Powtórzyła: — Tak, człowieka nie może spotkać nic straszniejszego. — Przez rok nie zmieniała sukni, sypiała w niej. Leczone ją, żyła w półobłądzie. Teraz, po trzech latach, siedzi naprzeciw mnie, ładnie ubrana i opowiada spokojnie, z zadumą ale i z uśmiechem, o wspólnych znajomych w Londynie. Ja patrzę na nią, oczu nie mogę oderwać, patrzę na zagadkowy cud istnienia.

Z notatek. „Rada dla literackiego debiutanta: zapomnieć, że istniał Kafka, tak jak surrealiści zapomnieli, że istniał Balzak”.

Członkom jawnej Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” rząd zagroził represjami karnymi. Struktury podziemnej „Solidarności” mają być zachowane. Wałęsa oraz dziewięciu naukowców, publicystów i przedstawicieli rozwiązanych stowarzyszeń wystosowało list do prezydenta Stanów Zjednoczonych z prośbą o zniesienie sankcji gospodarczych wobec Polski. W środowiskach literackich krąży idea Ośmiu Przewodników. Słowo *przewodnik* użyte jest mniej więcej w tym samym znaczeniu, co dawniej *wieszcz*. Z ośmiu, których mi wymieniono, zapamiętałem tylko szóstkę: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Gombrowicza i Miłosza. Dwóch Przewodników między Norwidem a Gombrowiczem wyleciało mi z głowy, ale byli to pewnie Wyspiański i Witkacy. A może Brzozowski. Zbigniew Bujak i Adam Michnik otrzymali wielką nagrodę amerykańską im. Roberta Kennedy’ego za obronę praw człowieka. W krakowskich środowiskach studenckich tworzą się koła wyznawców Buddy. Wyszedł nowy tom Marka Nowakowskiego, pt. *Grisza, ja тебе скажу...* Niezmiernie interesowałoby mnie spotkanie krakowskich buddystów z Markiem Nowakowskim.

W *Pulsie* mój przyjaciel JMR okropnie się zawziął na Sartre’a. Píše, że widział go na początku lat sześćdziesiątych w Moskwie („Patrzył na mnie swoim zezowatym okiem”) i opowiada jakiś sen, w którym Sartre w sklepie na Marszałkowskiej chce odebrać Polakom dwa ostatnie kawałki dorsza czy mintaja. JMR wypomina mu zeza, nazywa go wielkim szkodnikiem, porównując go z drugim szkodnikiem, Wolterem, i twierdzi, że podpisywał „z lisim uśmiechem listy otwarte, petycje, apele, zawsze w niezwykle słusznych sprawach i zawsze mile widziane w Imperium”. Nie jest to całkiem ściśle. Sartre był entuzjastą polskiego Października, wydał numer specjalny *Les Temps Modernes*, poświę-

cony w całości opozycji demokratycznej w Polsce. Podobny stosunek miał do Wiosny Praskiej. Nie mogło to być mile widziane w Imperium. Sartre napisał i zrobił wiele rzeczy niesłusznych, uchodzi dziś za jednego z głównych diabłów epoki, ale był pierwszym francuskim pisarzem, który wezwał do zaprzestania wojny kolonialnej w Algierii. Odbyła się wówczas na Polach Elizejskich manifestacja z okrzykami *Sartre à la lanterne!* Groziło mu niebezpieczeństwo. Czynniki mniej skrajne domagały się jego aresztowania, czemu sprzeciwił się prezydent Republiki, generał de Gaulle: — *Sartre c'est la France.* — Po czym zawarł pokój z powstańcami w Algierii. W kulturze sprawy niekiedy tak się mają, że wybitnego myśliciela lub artystę trudno osądzić jednym przymiotnikiem. Sartre, to prawda, popełnił wiele błędów i wyrządził niejedną szkodę. To samo dałoby się powiedzieć o Wolterze, który sympatyzował z Katarzyną II (choć nie jeździł do Petersburga, jak Diderot). Jednakże obaj szpetni filozofowie zostawili po sobie pewne myśli i czyny. Wolterowskie *écrasez l'infâme* i obrona Calasów, sartrowskie *piekło to są inni* i Manifest 121 w sprawie algierskiej weszły do świadomości Europejczyków. Cnoty i grzechy są w kulturze pozazębiane ze sobą i być może te zazębienia są twórcze.

Stary mecenas Adam Nagórski opowiadał pewnego razu w Nałęczowie, że on i jego trzej bracia otrzymali przy chrzcie imiona wieszczów narodowych: Adam, Juliusz, Zygmunt, Bohdan. Zapytałem: jak to Bohdan, tu chyba zaszła omyłka, powinno być raczej Cyprian, Cyprian Kamil?... — A nie! — zaśmiał się pan Adam — wtedy o Norwidzie mało kto słyszał, za Czwartego Wieszczą w naszej rodzinie uchodził Bohdan Zaleski. Nie pamięta pan? „Słowiczku mój, a leć, a piej!...”? To właśnie było o Zaleskim, o Bohdanie!

Wczoraj odwieźliśmy Ewę na lotnisko. Przed odlotem do Warszawy powiedziała mi, że największym pisarzem naszej epoki był Freud, ponieważ stworzył wielkie dzieło o człowieku, które zapłodniło całą literaturę współczesną.

W związku z wiadomościami, jakie nadchodzą z Polski: wydaje się nieodparte, że istnienie opozycji zostało uznane *de facto* przez rząd. Słowo „opozycja” weszło do języka reżimu, po raz pierwszy od czterdziestu lat wymienia się je w artykułach prasy oficjalnej. Rzecz bez precedensu w krajach bloku. Z pewnością można w tym widzieć, jeśli nie zwycięstwo, to wyłom, jakiego „Solidarność” dokonała w systemie.

Co się tyczy opowiadania *Nim będzie zapomniany*: kiedy je wydrukowałem w roku 1955, środowisko literackie chórem orzekło, że główną postacią jest w nim Czesław Miłosz i do dzisiaj

uważa się to za rzecz oczywistą. Dla mnie wcale nie było to oczywiste, ale nikt nie pytał mnie o zdanie. Podobnie rzecz się miała z doktorem Faulem w *Obronie Grenady*. Napisałem tę nowelę w tym samym roku 1955 i środowisko orzekło wówczas: Jakub Berman. Tymczasem doktor Faul, co wyraźnie podkreśliłem w tekście, był figurą bezosobową, jedną z funkcji systemu; w zaklętym kręgu fałszywych sugestii każdy miał swego doktora Faula, a zarazem był doktorem Faulem dla kogoś. Kiedy próbowałem o tym zapewniać, śmiano się — tak jasne było dla wszystkich, kim jest dr Faul. Wcześniej, także w 1955, ukazał się mój *Hotel Rzymski*, nowela o urzędniku, którego strach przed terrorem partyjnym doprowadził do choroby umysłowej. Opowiadanie *Nim będzie zapomniany* napisałem w tym samym roku latem, między *Hotelem Rzymskim* a *Obroną Grenady*. Główną postacią był w nim warszawski plastyk nazwiskiem Wejmont, który przy okazji wystawy swych prac w Wiedniu zostaje na Zachodzie. Porzuca żonę w Polsce i łączy się z dawną przyjaciółką, obecnie amerykańską milionerką (okoliczności całkowicie fikcyjne). Myśl o umiarze czy wyważonym sądzie była wtedy ode mnie daleka, chciałem nade wszystko dowiedzieć, że wyjazd artysty na emigrację jest sprzeniewierzeniem i wyparciem się najistotniejszych związków z życiem. Twierdziłem, że oczyścić się można tylko na miejscu, w kraju. Takie miało być główne przesłanie i była to z pewnością reakcją na *Umysł zniewolony* Miłosza. Pisząc czułem napierające wątpliwości, w końcowej części narrator wypowiada niewesołe myśli („nie unikniemy momentu, gdy przyjdzie nam zdać rachunek z tego, co uczyniliśmy z sercem człowieka”), ale główną postać do końca potraktowałem z antypatią. Czy istniał autentyczny prototyp? W latach 1949-1955 pozostało na Zachodzie dwóch polskich kompozytorów i dwóch pisarzy. Nie myślałem o żadnych z nich, a zarazem myślałem o nich wszystkich i chyba także o niejednym z tych, którzy zostali w Polsce. Opisywałem mężczyznę w typie niepodobnym do żadnej z wymienionych osób autentycznych, ale plotka o litewskim paszporcie, którą wstawiłem do fabuły, przeważała, chór wykrzyknął: Miłosz! — po czym sam Miłosz zamieścił odpowiedź w *Kulturze*. Opowiadanie *Nim będzie zapomniany* po raz ostatni ukazało się w tomie moich opowiadań z lat 1954-1960. Dla rzetelnego rachunku postanowiłem nie usuwać tekstów, które wówczas już uważałem za fałszywe. I również to oceniono na moją niekorzyść.

Odnoszę tę sprawę nie w celu przekonania kogokolwiek, jak było naprawdę, bo to jest beznadziejne, tylko jako przyczynek do psychologii tzw. środowisk opiniotwórczych (elitarny produkt nowo-mowy). Autor, jeśli wprowadza postać „syntetyczną”,

która w jego intencji nie ma być niczym indywidualnym portretem, musi liczyć się z tym, że pewne środowiska wskażą palcem na żywego człowieka, najczęściej na osobę znaną. W takich razach, aby zapobiec nieporozumieniu, autor powinien unikać w opisach i akcji wszelkich szczegółów, rysów, pogłosek, anegdot, które można by odnieść do osób rzeczywistych — chyba że pragnie skandalu. Kiedy zaniedba tych środków ostrożności, autor nie może się spodziewać, że jego stare prawo do tworzenia postaci wyobrażonych zostanie uszanowane. A jeśli będzie tak naiwny, gorzko pożałuje.

Wtorek. Pani z radia France-Culture zadała mi pytanie: kim Pan się czuje, Polakiem czy Żydem? Na co odpowiedziałem, że moje samopoczucie jest zmienne. Trzeba by zacząć od tego, że czuję się kręgowcem z gatunku ssaków, podobno nadrzędnym. Czasami czuję się także Europejczykiem. Myślę po polsku, jestem polskim pisarzem, należę do warstwy oświeconej inteligencji polskiej i zostałem wychowany w polskiej kulturze. Kiedy prześladują Żydów, czuję się Żydem.

W poniedziałek 20 października odlot do Rzymu. 5 listopada mamy być w Jerozolimie.

Grudzień

W trakcie gdy podróżowałem, nadszedł adresowany do Instytutu Literackiego list od lekarza z Australii, dr Rossleigha. Przytoczę go z opuszczeniem kilku ustępów:

„Wielce Szanowny Panie. Pragnę złożyć Panu moje serdeczne podziękowanie za piękne wspomnienie mego dziadka, dr. Józefa Mayera w Pańskich *Miesiącach* (...). Mój dziadek, dr Józef Mayer, którego ubóstwiałem, był niezwykle ciekawym człowiekiem. Z zawodu był lekarzem ciała i duszy, a z zamiłowania historykiem. (...) Dziadek stał, jak to Pan powiedział, na pograniczu dwóch światów, ale wychował dzieci swe i wnuki na Polaków. Na moje dziesiętne urodziny otrzymałem w prezencie od Niego *Historię Polski* z dedykacją: 'Pamiętaj, jedna jest matka, ta która Cię na świat wydała — jedna jest Ojczyzna, ta w której na świat przyszedłeś'. Pamiętam. Mój pradziad, Natan Mayer, lwowski piekarz, twórca słynnych bułeczek 'majerkami' zwanych, miał ośmiu synów i wszystkich posłał na wyższe studia, wyczyn niezwykły w połowie XIX wieku. Natan Mayer przeszedł do historii jako pierwszy Żyd, który został radnym miasta Lwowa. (...) Mam nadzieję, że nie weźmie mi Pan za złe skorygowania w kilku

punktach Pańskich wspomnień. Gabinet mego dziadka w Krynicy był w willi *Pod Gwiazdą*. Obok była willa *Biała Róża*, a naprzeciw były *Trzy Róże*. A co do ratlerka, Fifka było jej na imię, to dziadek by się nie odważył wyjść z nią na spacer. Babcia by mu jej nie powierzyła”.

I tu popadłem w zadumę. Rzecz jest z pogranicza okultyzmu i parapsychologii. W zamieszczonym w *Kulturze* fragmencie *Miesiący* opisałem starego doktora Mayera na spacerze z ratlerkiem. W rzeczywistości jednak nigdy przy nim żadnego pieska nie widziałem, ani w jego mieszkaniu, ani na krynickim deptaku, i jest dla mnie zagadką, dlaczego wymyśliłem tego ratlerka. Pamiętam tylko, że było tak jakbym zobaczył nieruchomy obraz: koniec wakacji, późnosierpniowy chłodny ranek i pusta aleja, w której widać stojącego doktora Mayera z „drżącym ratlerkiem”.

Więc był, istniał... Fifka. Z otchłani niebytu przypadkiem wydobyłem Fifkę, ratlerkę doktora Mayera. Obraz widzę nadal bardzo wyraźnie, nic się w nim nie zmieniło, nawet sierść ratlerka pozostała beżoworuda. A nie jest pewne, czy taka była, bo są również czarne ratlerki. Wszystko to dawne, dawne, jak gdyby przeżyte w epoce zaprzęskiej, w poprzednim wcieleniu.

Podróż trwała cztery tygodnie. 16 listopada znalazłem się z powrotem na lotnisku w Rzymie, gdzie wylądowaliśmy po spokojnym locie z Jerozolimy izraelską linią El-Al. Kiedy zabrakło mi lirów na telefon, nieznajoma włoska dziewczyna, widząc jak przeszukuję kieszenie, wręczyła mi trzy monety, uśmiechnęła się i zniknęła. Po godzinie przyjechał Sandro Ferri i zabrał nas do siebie. Tego samego dnia późnym wieczorem przekręciłem klucz w drzwiach mieszkania na François Miron i szedłem w płaszczu przez korytarz zapalając po drodze wszystkie światła. W porządku. Nic się nie spaliło, niczego nie zalało, nasza dozorczyńa, pani Drago, ułożyła w dużym pokoju na stole wysoki stos pocztu. Także w moim pokoju nic nie ruszone, rzeczy leżą poukładane na swoich dawnych miejscach. Pochyliłem się, obwąchałem książki, wziąłem do ręki blok z rękopisem *Miesiący* i zrzuciłem płaszcz. Potem wytrząsałem z kieszeni izraelskie monety, kwity, wizytówki. Wśród świstków parę kartek z notatkami, jakie zrobiłem w Jerozolimie przed wyjazdem:

„Na Górze Oliwnej biały osiołek niesie szybkim truchtem młodego Araba, krzyczącego i wymachującego kijkiem. Jasnoróżowe kamienie, nieruchomy wielbłąd i niebo głębokie, błękitne. Ziemia płowa, wypalona, usiana kosteczkami osiedli. Nie wiedziałem, że osiołki potrafią tak prędko biegać i że człowiek jest o tyle

cięższy, większy — siedząc przygniała sobą osiołka, który sprawnie przebiera kopytkami, z obojętną miną, jakby myśląc: 'No, trudno, mam cię gdzieś...'. Pan Jezus — gdybym kręcił film o Nim — tak powinien wjeżdżać na Górę Oliwną: szybko, podskakując na osiołku, wołając do ludzi i kreśląc w powietrzu znaki cudotwórczym kijkiem. A za Nim biegłaby obstawa, podnieceni i zdenerwowani Apostołowie. Wszystko to pokazałbym na wesoło, jarmarcznie, z gestykulacją wschodnią, bardzo ekspresyjną. Dopiero tu zrozumiałem, gdzie leży Jerozolima: na granicy pomiędzy Afryką i Azją”.

Wśród notatek odnajduję także wycinek z zachodnioniemieckiego dziennika *Die Welt*. Numer z datą 27 października: moja fotografia z profilu, nad nią tytuł *Kazimierz Brandys 70*. Autor wprowadza niemieckich czytelników w sekret mego życia: „Jest jednym z patriotów polskich, któremu jego nie-żydowsky rodacy już w młodości utrudnili życie jako nieczystemu Polakowi”. Na marginesie dopisałem: „Czelność”. Ten wycinek z *Die Welt* dali mi znajomi w Jerozolimie, a równocześnie nadszedł pocztą z Instytutu Literackiego podczas mojej nieobecności w Paryżu. Bezwstydne ze strony niemieckiego pisma jest sugerowanie, że najgorsze trucizny sączyli we mnie Polacy. Moje udry z polskimi nacjonalistami to są nie tylko moje sprawy i nie tylko ja wyniosłem z nich kontuzje — to jest fragment dawnej, długotrwałej i nadal trwającej walki z chorobą nacjonalizmu w świecie. Ale jeżeli czytelnicy niemieckiego pisma mieli się dowiedzieć najdotkliwszej prawdy o moich życiowych doświadczeniach, to redakcja *Die Welt* powinna była zacząć od tego, że w młodości dzięki Polakom uszedłem z życiem przed zbiorową śmiercią zorganizowaną przez Niemców, którzy zaliczyli mnie do gatunku robactwa przeznaczonego do wytrucia gazem. Lecz o tym ani słowa pod moją fotografią. Okres wojny w poświęconym mi jubileuszowym artykule został dyskretnie przemilczany. Po wzmiance o przykrościach, jakich doznałem od Polaków, następuje ciepłe zaznaczenie mojego antykomunizmu, po czym płyną literackie komplementy, i wreszcie: „(Brandys) przywołuje pełne blasku okresy bliskich powiązań między Polską a Francją i Włochami, Polską a Niemcami...”. Autor podkreśla, że mój ojciec mówił biegle po niemiecku, często jeździł do Berlina, czytał z upodobaniem dzieła Tomasza Manna i abonował *Berliner Tageblatt*. Podobno również ja z chęcią rozmawiam w języku Goethego i Schillera (nieprawda). Otóż więc dowiaduję się, że wszelkiego zła doznałem od Polaków, wiele natomiast zawdzięczam kulturze niemieckiej. Wyczuwam w tym ciche zaproszenie do flirtu z „Vaterlandem” i chce mi się rzygać. Niemcy, szaleni w swej zatwardziałości, opamiętajcie się...

Inna notatka dotyczy, niestety, Sandauera: „Warszawscy Żydzi w Jerozolimie pytają mnie: niech pan powie, co się stało z tym Sandauerem, co on wyprawia i po co mu to? Przecież za Stalina to był porządny człowiek. Ja na to nic, bo nie wiem, co mam odpowiedzieć. Nie wiem, nie będę wiedział i nie chcę wiedzieć, dlaczego jakiś człowiek przebywa drogę odwrotną — od uczciwości do fałszu”.

Co się dzieje? Wracam z podróży do Ziemi Świętej i zamiast rozpakować walizki, a potem pograć się w kontemplacji — wczytuję się na stojąco we własne gryzmoły, napisane w Jerozolimie o tajemnicach duszy Sandauera...? Wchodzi M. — Dre stare kwity — mówię — bo zaśmiecą mi pokój.

W Rzymie na lotnisku, kiedy nieznaną dziewczyna ofiarowała mi trzy monety i nareszcie połączyłem się z wydawnictwem i gdy w słuchawce odezwał się pogodny głos Ferriego: — Są dobre nowiny, dostał pan nagrodę literacką, Premio Prato — ja błyskawicznie uświadomiłem sobie, co to oznacza. To ni mniej ni więcej, że w niecały tydzień od powrotu, znowu mam spakować walizkę i lecieć do Włoch. Uroczystość wręczenia nagrody Prato-Europa zapowiedziano na najbliższą sobotę, 22 listopada. — W porządku — mówię Ferriemu — przyjadę. — A trzeba pamiętać, że miałem w kościach podróż niemal miesięczną — Rzym, Mediolan, Umbrię, Rzym, Tel Aviv, Galileę, Haifę, Jerozolimę, Betleem i znowu Rzym — wielogodzinne trasy samochodowe, hotele, wywiady, kolacje, wieczory autorskie, przeżebienie na Górze Karmel, bronchit w Jerozolimie — i trzeba także pamiętać, że w podróży czuję się z reguły źle, a w chwili gdy telefonowałem z lotniska do Ferriego, byłem całkowicie wypełniony jednym jedynym marzeniem: wrócić, wrócić do domu. Mimo to w sześć dni później lecę z Paryża samolotem Alitalia i tego samego wieczoru wygłaszam przemówienie w trzypiętrowej sali z wielką sceną, na której za plecami członków prezydium stoi podwójny rząd Włochów w strojach z epoki Dantego; co jakiś czas wznoszą do góry długie złote trąby i wtedy publiczność wstaje z miejsc.

Trwałem jeszcze w osobliwej aurze psychicznej, jaką daje mi podróż. Nie byłem normalnym sobą. Każda podróż jest dla mnie wybiciem z miejsca na ziemi i utratą siebie samego. Wiem jednak, że podróże są konieczne, i rozumowo uznaję ich pożytek. Ale przyjmuję ten podarunek losu ze smutkiem, zazwyczaj pod wpływem radosnych perswazji M., którą sama myśl o podróży uskrzydla. I w końcu fatalnego dnia zamawiam taksówkę, znoszę walizki — jedziemy. Ona uśmiechnięta, promienna i gotowa do lotu, ja w strachu, przygarbiony. Lecz co to? Na lotnisku wstępuje we mnie dzika energia człowieka, który chce się ratować,

a wie, że jedynym ratunkiem będzie dla niego powrót. Tak: już na lotnisku organizuję wszystkie swoje władze moralne i fizyczne w celu odbycia podróży, czyli określonej drogi powrotnej do domu. I kiedy samolot odbija się od pasa startowego, kiedy M., nagle strwożona, pochyla głowę z zamkniętymi oczami kreśląc krzyżyk na piersi, ja siedzę rozparty w fotelu i myślę z satysfakcją, że najgorsze za mną, proszę, już wracam, wprowadzie trochę naokoło, bo przez Kapitol i Ziemię Świętą, ale przecież wracam, rozpocząłem drogę powrotu na opuszczone miejsce swego życia.

Ten końcowy lot po nagrodę wykonałem z rozbiegu. Tu wyjaśnienie: podróż jest dla mnie przede wszystkim wysiłkiem mechanicznym. Wymaga sprawności, precyzji i natęża sferę, którą nazwałbym wymiarem cywilizacji w człowieku. A więc: poczucie obowiązku, punktualność, dyscyplina, rozplanowanie czasu. Podporządkowanie się zewnętrznosci. Natomiast wszystko, co można by określić jako sferę wyższą, niematerialną — zaryzykujmy nadużyte słowo „metafizyczną” — w moim życiu wewnętrznym, zostaje przez podróż uduszone. Niewiele przesadzę twierdząc, że w podróży kończy się moje oryginalne człowieczeństwo, a na jego miejsce wstępuje model.

Ale właśnie ta podróż doświadczyła mnie inaczej, w nowy sposób, i nie jest to rzecz łatwa do wyrażenia. Wiedziałem, że pobyt w Izraelu nie będzie zwykłą turystyką. Kiedy po wylądowaniu na lotnisku Ben Gurion, szliśmy przejściem dla pasażerów, po lewej stronie stał tłum oczekujących ludzi. Była już prawie noc, wilgotny upał. Pchając wózek z bagażem mówię do M.: pomyśl od jak dawna nie widzieliśmy tylu Żydów w jednym miejscu — i równocześnie z własnym głosem słyszę, że moje słowa źle brzmią. Po chwili przywitanie, walizkę niosą już do samochodu, zaopiekowali się nami mili ludzie. Ktoś mówi: — Niechże Pan zdejmie ten sweter! — kto inny pyta, czy przypominam sobie wiosenny kiermasz w Alejach Ujazdowskich, kiedy podpisywałem *Matkę Królów* w stoisku *Czytelnika*. Tej nocy zasnęliśmy późno, twarze, głosy napierały, budziłem się z zaschniętym gardłem i uczuciem gorączki. Przez szpary w żaluzjach wdierał się duszny wiatr. Zaczęliśmy po ciemku rozmawiać. Ci oczekujący Żydzi, ten tłum wpatrzony w nas z ciekawością domyślnym żydowskim wzrokiem — było w tym coś szczególnego i przejmującego. Jak gdyby stali odgradzeni barierą czekając na nowy transport, oni, którzy od dawna są już po drugiej stronie. Nie ma tu logicznej asocjacji. Może widok Żydów zgromadzonych w jednym miejscu przywołał tkwiący we mnie obraz ich śmierci.

Dzień przedtem w Rzymie na wieczorze literackim zadano mi kłopotliwe pytanie w związku z pewnym fragmentem *Ronda*, py-

tanie, na które nie potrafiłem jasno odpowiedzieć. Włoska pisarka, wtoczona na wózek za stół prezydyjalny, spytała mnie, jak należy rozumieć moją uwagę dotyczącą aktorów — co mam na myśli twierdząc, że aktorzy nie odczuwają wstydu istnienia i co w moim pojęciu oznacza „wstyd istnienia”? Pytanie mnie zaskoczyło i pierwszą moją reakcją był wewnętrzny jęk: po co mi ta męczarnia — ale nie mogłem udać, że nie słyszę, musiałem odpowiedzieć. Odpowiedziałem, że u aktorów osobowość i rola to jedno, różnica między *być* i *grać* jest zatarta, co zmniejsza moralny ciężar życia. Z chwilą zaś gdy kończy się *rola* i trzeba ujawnić swoje elementarne dobro albo zło, człowiek będący aktorem obnaża się bez wstydu, z naturalnością cechującą zwierzęta. Ta odpowiedź zakończyła sprawę, wybrnąłem, nikt nie żądał dalszych wyjaśnień. I może tylko stara włoska pisarka domyśliła się, że nie umiałem odpowiedzieć na jej pytanie.

Nie umiałem powiedzieć tych kilku prostych słów, że każdy człowiek pod dnem swojej świadomości nosi ciężką myśl, której nie lubi. Jest to myśl, samopoczucie, lub może przypomnienie. Czy mogłem zwrócić się do sali wypełnionej publicznością i oświadczyć zza stołu: „Wstyd istnienia? Ależ proszę państwa, każdy z nas wie, że jest lepszy dla siebie niż dla innych, że bardziej dba o własne zdrowie niż o cudze, że więcej myśli o sobie niż o bliźnich. Każdy z państwa wie o tym i wie, że powinien to ukryć, a zarazem wie, że wszyscy to ukryli i że w owym ukrywaniu odbija się nasz wstyd za ludzkie istnienie”.

Właściwie od tej myśli zaczyna się moja religijność i może na tej myśli się kończy. Święte miejsca w Jerozolimie, grób Chrystusa, grobowiec króla Dawida, dolina Jordanu, widok tych miejsc nie wywoływał we mnie skojarzeń z Tajemnicą. Nie czułem się bliżej spraw nadprzyrodzonych stojąc w Bethleem tam, gdzie zapewne Trzej Królowie chylili się w pokłonie. Mimo to nie uważam się za poganina i gdybym miał określić w sobie sferę chrześcijaństwa, nazwałbym ją uczestnictwem w winie, świadomością, że należę do wspólnoty obciążonej grzechem. Będąc w Izraelu przeżywałem tę świadomość jak gdyby od podstaw. Kiedy się idzie Drogą Krzyżową razem z wycieczką siwowłosych Niemców ze świączkami, trudno czuć się istotą bezgrzeszną i zakochaną w Bogu.

Dzisiaj obecność Żydów w świecie jest stałym przypomnieniem, że na ludzkości ciąży odpowiedzialność za złamanie wszystkich boskich przykazań w stosunku do tego narodu. Uświadamiają to sobie nieliczni, ci dla których religijność nie sprowadza się do udziału w kościele, lecz jest wiecznym stawianym pytaniem: „Kim jesteś?” — pytaniem skierowanym do siebie i w stronę

nieba. W trakcie konferencji międzynarodowych poświęconych dziejom Żydów europejskich w latach 1939-1945 omawia się położenie społeczności żydowskich w różnych krajach okupowanych, przytacza się fakty i dokumenty, ustala stopień współwiny, przy czym mord dokonany przez Niemców pozostaje w tle, jako rzecz oczywista, mówi się natomiast o winie Polaków, niekiedy Francuzów lub Rumunów. Na paru takich konferencjach byłem obecny. Odczuwałem za każdym razem to samo: że historycy i socjologowie wygłaszający referaty oraz mówcy zabierający głos w dyskusji, i ja wraz z nimi, popadli w zasadniczą nietrafność. Wiedziałem, że temat jest inny. Prawdziwym tematem, który omijano w referatach i przemówieniach, są porządni ludzie. Mam na myśli zarówno porządných Polaków, Czechów czy Francuzów, jak i porządných Niemców, tych co w milczeniu potępiali hitleryzm. Mam również na myśli siebie. Byłem tak samo bezczynnym i milczącym świadkiem zagłady, jak Czesi, Francuzi i Polacy. Jak zresztą Anglicy i Amerykanie, których informowano o gettach i obozach śmierci.

W Galilei zwiedziłem kibuc, gdzie pokazano mi sale upamiętniające Zagładę. Na białych ścianach umieszczono olbrzymie powiększenia zdjęć robionych przez Niemców w czasie okupacji. Szyderczo roześmiany podoficer SS, przed którym stoi na baczność zgarbiony starzec w chałacie. Pędzone do komory gazowej cztery nagie kobiety, jedna osuwa się, podtrzymując ją z obu stron dwie wyższe, silniejsze. Dół wypełniony ciałami zastrzelonych Żydów, nad nim stoi ze związanymi rękoma nagi mężczyzna, któremu Niemiec w hełmie przykładą do tyłu czaszki pistolet — zdjęcie wykonane na sekundę przed strzałem. Takie pamiątkowe fotografie oficerowie SS wysyłali do swoich rodzin i kochanek w III Rzeszy. Od razu przypominam sobie, że kiedyś już oglądałem te zdjęcia, pewnie zaraz po wojnie w pismach ilustrowanych, format był dużo mniejszy, gazetowy. Tutaj figury ludzkie są prawie naturalnej wielkości i stojąc przed ogromną czarnobiałą planszą napotykam wzrok chłopca w wystrzępionej czapce na głowie. Może dziesięcioletni, ciemne oczy spod obwisłego daszka patrzą na mnie z uwagą. Przy nim drugi chłopiec, w płachcie narzuconej na ramiona. U ich stóp na chodniku siedzi trzyletnia dziewczynka owinięta w szmaty. Znam tę fotografię: dzieci z getta zebrzące poza murami. W górze Marszałkowskiej, blisko Ogrodu Saskiego, widywało się je pod ścianami kamienic albo we wnękach bram. Widywało się, to znaczy przechodziło obok. Ktoś mówił, że pewnego dnia niedaleko rogu Siennej widział, jak oficer Wehrmachtu mijając zebrzące dziecko żydowskie upuścił paczkę i przyspieszył kroku. Opowiadano, że na Saskiej Kępie u wdowy po

generale Orlicz-Dreszerze czarnowłosego chłopczyk ukrywa się pod tarasem willi. Opowiadano też o dzieciach żydowskich przechowywanych przez siostry zakonne. Takie i inne pogłoski budziły niepokój, żal, zdumienie, litość, albo uczucia pomieszane i nieczyste. Ale z każdym dniem powiększała się odległość. Żydzi stawali się innym losem. Owszem, myślało się o nich. Jeśli myślało się o nich ze zgrozą, to z podobną zgrozą dawniej myślało się o ludziach konających w szpitalu. Ich los był odmienny, różnił się od losu większości, przechodziło się obok, i tę różnicę, tę odległość dzielącą Żydów od nie-Żydów wygrywali Niemcy. Przechodziłem obok murów getta, widziałem z tramwaju drewniany pomost nad murami, którym Żydzi chodzili z jednej części getta do drugiej, patrzyłem na zegarek, śpieszyłem się, należałem do większości. Nie była to obojętność — to była niemoc, bierność, milczenie, ale w zewnętrznych przejawach czym to się różniło od obojętności... Tramwaj mijał narożniki uliczne, na których widniały niemieckie afisze o SEUCHENGEFAHR. Niebezpieczeństwem były wszy i Żydzi. Propaganda niemiecka przedstawiała Żydów jako insekty roznoszące zarazki tyfusu i nie trzeba się oszukiwać, afisze robiły swoje, odległość się powiększała, miliony ludzi bały się zarazy. Tylko część żyje dzisiaj, ale doświadczenia pomieszane i nieczyste weszły do pamięci zbiorowej — przeżute z niesmakiem, z gorzką śliną i jadami, zamieniły się w niechęć, leniwość, upartą, zlewającą się gdzieś u spodu z czymś niewygodnym i niejasnym, co przeszkadza w ładnym myśleniu o sobie. Antysemitami nie są wszyscy, w jakimkolwiek kraju, lecz antysemita jest w każdym. Antysemityzm był i będzie zawsze, jest wieczny, bo samo istnienie Żydów przypomina ludziom, że nie są niewinni.

Ziemia Przodków... ta nazwa nie kojarzyła się we mnie z państwem Izrael, w pojęciu ukształtował mi się obraz kraju, w którym znaleźli schronienie Żydzi uratowani od komór i pogromów, i ci wcześniejsi, pionierzy, którzy ratowali swoją godność opuszczając miejsca, gdzie nie życzone ich sobie. Tak myślałem o Izraelu i wyjeżdżałem do Izraela z tym obrazem w myślach, uheroizowanym jeszcze przez wojny żydowsko-arabskie. Wzięty w łeb kołtuńskie powiedzonko o bojaźliwych Mośkach, armia złożona z Icchaaków i Mordechajów wykazała świetną bojowość, komandosi izraelscy zdumiewali świat („Żydów trzeba było wezwać” — mówił do mnie w Oborach dawny komendant okręgu AK, generał St., kiedy Amerykanom nie udało się odbicie zakładników w Iranie) i dziś można się tylko uśmiechnąć, czytając w polonijnym *Nowym Dzienniku* artykuł, który wypadki nieprzyjmowania Żydów do AK tłumaczy „słabą wartością bojową”.

Ziemia, pejzaże w Izraelu mają stare piękno, suchą, wypaloną słońcem urodę, widoki z Góry Karmel, z Góry Oliwnej, z dróg wijących się przez Galileę przywołują na myśl wersety biblijne, ale trzeba być kimś ściślej niż ja związanym z tradycją żydowską, aby odczuwać te krajobrazy jako pra-ojczyznę. Moja wyobraźnia genealogiczna urywa się chyba na wieku XVIII czy XVII, gdy wygnano mi rodzinnych protoplastów z dwóch miast europejskich — niemieckiego Landau i czeskiego Brandys, dalej wstecz nigdy nie chciało mi się zapuszczać, ani w poszukiwaniach, ani w myślach. Obrzędowość religijna nie była przestrzegana od trzech pokoleń w obu rodzinach, matki i ojca. Mówiono piękną polszczyzną, dziadek po kolacji czytał na głos *Pana Tadeusza*, wśród najbliższych krewnych miałem gorliwych katolików i członków zboru ewangelickiego. Ojciec był przekonany asymilatorem, nie z tych jednak, co nie przyznają się do żydowskiego pochodzenia, na odwrót, wpadał w furię wobec przejawów antysemityzmu i publicznie dawał temu wyraz; w 1922, kiedyśmy wracali pociągiem z Sopotu, zrobił awanturę oficerowi, który chciał usunąć żydowskiego pasażera z przedziału. Podziwiałem go za to, w ten sposób bezwiednie mnie wychowywał. Mówiłem o tych sprawach w trakcie wieczoru autorskiego w Jerozolimie, przedtem w Tel Avivie, i jak mi się wydaje, natrafiłem na zrozumienie. Były to dwa spotkania, które zostawiły ślad we mnie, będę je pamiętał. Czytałem krótki ustęp z *Miesięcy*, potem z *Listów* impresję porównawczą o Krakowie i Warszawie. Przed lekturą złożyłem hołd krajowi Izraelczyków, ich wysoko rozwiniętej demokratycznej cywilizacji, zbudowanej niewiarygodnym kosztem sił i ryzyka. Podkreśliłem moją przynależność do kultury polskiej i charakter moich związków z żydostwem. Później, w czasie dyskusji — a raczej ożywionej rozmowy bez spieć — odczułem to samo, co na wieczorach autorskich w Mediolanie i Rzymie, to mianowicie że mam przed sobą moją publiczność, ludzi, którzy czytali moje książki. Wielkie pokrzepienie. W Polsce reżim polityczny i środowisko literackie w ciągu co najmniej dwudziestu ubiegłych lat próbowały odgrodzić mnie od czytelników i utrzymuje się to do dzisiaj. Spoza bariery utworzonej przez paszkwile i milczenie dochodzą do mnie tylko listy albo głosy czytelników w telefonie. Przyzwyczałem się. Wróćmy do tematu.

W *Miesięcach*, w tej prozie, w której chcę osiągnąć rzecz niemożliwą — połączyć szczerą wyznani z komponowaną narracją, a zarazem zwolnić się z jednego i drugiego — w tej prozie opisy podróży mają się sprowadzać do prostej formuły „spisz tylko to, co ci zostało w myślach po powrocie”. Łatwo powiedzieć. Z Izraela przywozi się wrażenia potężne i skłębione, mieszaninę

zachwytu, trwogi, podziwu, obcości, bliskości — nade wszystko jednak zdumienie, że ta cywilizacja w ogóle mogła tutaj powstać i dojrzeć, w tak krótkim czasie, wbrew stanowi rzeczy. W historii pewne wydarzenia mają charakter powtarzalny — rewolucje, wojny — ale są także zjawiska pojedyncze i niezwykle, takie jak utworzenie państwa Stanów Zjednoczonych między oceanem Atlantyckim i Spokojnym lub żydowskiego państwa Izrael nad morzem Śródziemnym i Martwym. W obu wypadkach nastąpiło zrośnięcie się utopii ze zmysłem praktycznym; i tam i tu daje się odczuć, że u źródła było marzenie przekształcone w energię. Tom można by napisać z tej jednej dywagacji.

W trakcie moich spotkań izraelskich nie zetknąłem się z „żydowską nienawiścią do Polaków”, o której dziś tyle się pisze i mówi na emigracji i w kraju. Powtarzały się akcenty nostalgii za Polską, lub za latami życia spędzonymi w Polsce. Odzywał się żal ludzi zranionych. Rozmawiałem z pisarką izraelską, która opuściła Polskę w roku 1946. — Tam nic już nie było z naszego życia, nawet grobów. „Patrzcie, ilu ich jeszcze zostało!”, te słowa słyszeliśmy często... — O wędrownicy polskich Żydów do ziemi izraelskiej w latach 1945-1946, gdy przedostawali się przez Czechosłowację do Austrii i szli w zimie pieszo przez Alpy, aby wypłynąć z Włoch — o tym niewiele dochodziło wiadomości. W Haifie administracja brytyjska nie pozwalała im wysiąść na ląd, statek odpływał na Cypr, gdzie czekali rok, dwa lata.

Opowiadano mi o tym. W dwa dni po naszym przyjeździe do Tel Avivu odbyło się przyjęcie w domu, w którym mieszkaliśmy, *party* na dachu pod markizą, urządzone przez naszych gospodarzy, państwa Sivanów. Wypielęgnowane kobiety w barwnych i jasnych sukniach. Bezustannie nasuwające się podobieństwa, spokrewnienia. Tylko Polacy i Żydzi umieją tak długo i namiętnie rozmawiać o swoich krajach. Przez pół dnia na dachu w mokrym upale kilkadziesiąt osób nie mówiło o niczym innym, wyłącznie o sprawach Izraela i Polski. Dokoła w dole rojne, gorące miasto z wieżowcami nad morzem, miasto, w którym wciąż mi się przypominają fragmenty innych ulic — czasem dawna Bielańska, kiedy indziej ciąg pudełkowatych budynków w Gdyni albo kawałek Saskiej Kępy, Bielańska wysadzana palmami, Gdynia z drzewkami oliwnymi na skwerach... Czuje się tu i Polskę i Amerykę, i demokrację i kolonializm. Łódź i Wilno. Słyszysz się język hebrajski, polski, angielski. W barze, z którego telefonowałem, człowiek w czapce, siedzący przy stoliku w rogu obok kabiny, zaczął mówić głośno: — Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie, ile cię cenić trzeba... — Pan z Polski? — Nie. Z Niemiec. W obozie przyjaźniłem się z Polakami. — Wśród gości na dachu zaciekawili

mnie dwaj wysocy mężczyźni, mocno umięśnieni, o siwych głowach, z wyglądu amerykańscy managerzy, obaj w białych koszulach i spodniach. Pytam kim są i dowiaduję się, że są bohaterami wojennymi, jeden w randze pułkownika, drugi generała. Żona generała pochodzi z Częstochowy, młodsza od niego, przystojna, także na biało. Ciągłe wrażenie, że wszyscy tu się znają i widują, dużo starych umalowanych kobiet siedzi w kawiarniach. — Jeżeli nie może pan gdzieś trafić w Jerozolimie albo w Tel Aviwie i pyta o ulicę King George nr 9, każdy odpowie: „A kogo pan szuka?”.

Wśród gości na dachu były dwie kobiety pamiętane od lat. Pierwsza — panna z ziemiańskiej rodziny, jeździła na łyżwach w Dolinie Szwajcarskiej, pod takt walca z filmu *Monte Carlo*, tak olśniewająca, że nie miałem odwagi przemówić. W Izraelu znalazła się po 1968 wraz z mężem Żydem. Po jego śmierci jest sama, mieszka w Tel Aviwie. Drugą zapamiętałem utrwaloną w geście pożegnalnym, kiedy stała na rogu Tamki i Solca po południu 1 sierpnia 1944. Przechodząc usłyszałem jak szepnęła do stojącego obok chłopca: — Więc o wpół do piątej... — Dotknęła jego ręki. Mieli pewnie o tej godzinie zbiórkę w wyznaczonym punkcie. Została mi w pamięci z tymi słowami i gestem, z czystą, poważną twarzą, podobna do żony młodego powstańca na rysunku Grottgera. Żydówka, przez wiele lat pracowała w warszawskiej telewizji. W Izraelu była z wizytą u przyjaciół.

Przed wieczorem, kiedy upał ostygł i na dachu wypito już sporo alkoholu, co kilka minut zbliżał się pan L. i wlepił we mnie czarne neurotyczne oczy: — Ja jestem polskim Żydem. Ja zawsze będę polskim Żydem!

W Betleem stałem w miejscu narodzenia Chrystusa znów ściśnięty ze wszystkich stron przez wycieczkę starych Niemców i Niemców ze świeczkami, którzy śpiewali *Heilige Nacht*.

Do Betleem pojechaliśmy z panem L. Po zwiedzaniu usiedliśmy w słońcu przy stoliku arabskiej kawiarenki wystawionym na chodnik. Obok nas siedziało trzech Arabów ubranych w ciemne garnitury, dwaj w okularach i białoczarnych cętkowanych chustach opadających na ramiona. Naprzeciw, po drugiej stronie placu, sklepy i napis KING DAVID HOTEL, po lewej niski budynek policyjny, na którym zatknięto sztandar z gwiazdą Izraela i ustawiono karabin maszynowy, przy nim dwóch młodziutkich żołnierzy izraelskich w zielonych bluzach, obaj z pistoletami przewieszonymi przez ramie. Nad placem wysoko w błękicie zawisł sęp czy orzeł, ze sklepu *Bethlehem Souvenirs* wylewa się znana mi staroniemiecka grupa turystyczna. Mówię do pana L., że czas najwyższy, aby Żydzi mieli spokój na ziemi. Wtedy pan L. kładzie

na mnie ironiczne spojrzenie: — Jak się chce mieć państwo, to się nie ma spokoju.

Niepokój przeżywa trzeźwa część izraelskiego społeczeństwa: „przestaliśmy być krajem pionierów, jesteśmy narodem okupantów”. Na ziemiach przyłączonych żyje półtora miliona Arabów, rośnie wrogość. W Jerozolimie po tygodniu widok mężczyzn i kobiet w arabskich strojach przyprowadził mnie o chwilę lęku. Opowiadano mi jak Syryjczycy w 1973 wdarli się na przedpolą Haify. Gdyby nie pas instalacji ustawionych przed wejściem do miasta, nastąpiłaby rzeź Żydów. Instalacje wyglądały tajemniczo, dowództwo syryjskie wydało czołgom rozkaz zatrzymania się — dwie decydujące godziny. W ciągu dwóch godzin armia izraelska rozpoczęła kontrofensywę. Instalacjami, które zatrzymały Syryjczyków, były urządzenia irygacyjne. — Czuliśmy za plecami nasze domy, rodziny. Każdy z nas wiedział, że jeśli wejdą, będą podrywać nam gardła, gwałcić nasze żony i córki.

Kibuc w Galilei zwiedzała równocześnie z nami grupa żołnierzy o krótko ostrzyżonych głowach, ładnych ciemnookich chłopców włóczących się rozciągniętą gromadą, w stylu na wpół harcerskim, sportowo-amerykańskim; *boy-scouts* ze zwieszającymi się niedbale karabinkami, dresy, luźne, cywilne wojsko. W jednym z budynków weszliśmy do długiej hali, zauważyłem starego, łyszego mężczyznę o wyglądzie lekarza albo profesora, obok przitulona do niego siedziała piegowata dziewczynka z rudym warkoczykiem, zapalał się płomyk i oboje wykonywali dwa ruchy, najpierw ona, później on, dwa zawsze takie same ruchy. Wyglądali jak dziadek z wnuczką, pochłonięci nową zabawą czy grą. Pytam: co oni robią, co to jest? Produkcja kondensatorów.

Pięćdziesiąt tysięcy książek w bibliotece kibucu.

Dla ludzi wychowanych w warszawskich kawiarniach, na łódzkich podwórkach lub w galicyjskich miasteczkach powrót na ziemię przodków nie musiał być łatwy. Pustynia przeziara przez ten krajobraz. W czasie *party* pod markizą na dachu pewien muzyk wyjaśniał mi, że tylko pierwsze dziesięć lat były trudne. Przez pierwsze dziesięć lat zapełniał wolny czas w domu tkaniem dywanu. W ciągu dziesięciu lat utkał cztery duże wielokolorowe dywany. Wskazał mi swoją żonę stojącą w grupce pań: — Chciała wyjechać, to była jej decyzja. Nie jest Żydówką. — Spojrzał na mnie. Dodał, że kryzys dawno już minął, mają tu przyjaciół, sąsiadów, chodzą na koncerty. Zapytał, jak oceniam nowoczesną architekturę w Izraelu. Najlepsza z wszystkiego, co dotychczas widziałem w tej dziedzinie.

Wieżowce nad morzem w Tel Aviwie. W Jerozolimie stożkowatokulisty gmach muzeum, wspaniałe budynki uniwersytec-

kie, nowe dzielnice. Jeruzalem zbudowana z jasnych ociosanych głazów, które zależnie od pory dnia i roku zmieniają odcień: szarzielonkawy, różowozłoty, biały. Ściana Płaczu i forty tureckie, tak samo jak helleński grobowiec Absalona, jak meczety, bramy wykute przez Krzyżowców i łuki wzniesione przez Hadriana, powstały z tego kamienia.

Podróż: prostracje, euforie. Do Izraela przyjechałem już w nie najlepszym stanie. Przedtem w Rzymie dziennikarka gazety *Repubblica* opisała mnie jako pana o ciemnych oczach, białych włosach i brwiach, w białej koszuli. Brwi nie mam białych, koszulę miałem przepoconą, oczy przekrwione, bo na włoskich autostradach raziło słońce. Przez całą drogę w swetrze, uszy i gardło atakowane zdradliwymi powiewami. W hotelu ledwie starczało czasu, żeby umyć ręce, zaraz wieziono mnie do sali na spotkanie, i tam — nagle przemienienie. Widok twarzy w rzędach dobywał ze mnie powitalny głos tak radosny, że M. siedząca w głębi wychylała się niespokojnie. Po spotkaniu kolacja, przeważnie w kilkanaście osób, rozmowa, przyklejony uśmiech, migrena. Rano po proszkach i ciężkim śnie znowu w samochód. Odpoczęliśmy dopiero w letnim domu Ferrich na granicy Toskanii i Umbrii, skąd po dwóch dniach z powrotem do Rzymu i nazajutrz do Izraela. Upadku doznałem w Tel Avivie trzeciego dnia, kiedy przyjechaliśmy w sam ogień południa odwiedzić polską księgarnię pana Neusteina. Żar mnie stopił. Wszedłem na uginających się nogach. Znowu do mnie wołano: — Niech pan zdejmie ten sweter! — ale sił miałem tyle, żeby usiąść na krześle i wziąć książkę z półki. Były to *Próby* Montaigne'a. Trafiłem na ustęp dotyczący stylu Cycerona. Nie wstałem już z tego krzesła i nie otworzyłem ust, pan Neustein patrzył na mnie z obawą. Później znaleźliśmy się na ulicy, znowu w słońcu. Wchodziłem do sklepów pytając o postój taksówek albo przystanek autobusowy. Udzielano niejasnych informacji i schwyciła mnie panika, że nigdy nie wydostaniemy się z tej brzydkiej, ruchliwej ulicy, obwieszanej szyldami, przypominającej Łódź z lat 1930-tych. Wreszcie właściciel paszteciami przemówił po rosyjsku. Męcząc jego i siebie usiłowałem z nim się porozumieć (*Ja szukaju awtobusa!*), po czym gdy wyszliśmy wśród uszczęśliwionych *spasibo* i *zdrawstwujtie*, zajęchała wolna taksówka.

W Jerozolimie pod koniec czułem, że nie przeżyłem mojej podróży do Ziemi Świętej dostatecznie głęboko, że nie wywiązałem się z niej, i to ogólne wrażenie zostało mi do teraz.

Maurice Sachs, mój nieszczęsny bliźni, pisał w *Sabbat*, że nie jest mu potrzebna wiara religijna, tę sferę przeżyć zastąpił miłością do sztuki. Drzeniem napełnia myśl, czy jego późniejsze losy i

straszny koniec nie miały związku z tym jego przekonaniem, ponieważ mi bliskim. A jeżeli tak? Stałem przed świętymi miejscami niezdolny do modlitwy, bez wzruszenia, nawet krytyczny, bo raziła mnie dewocyjna scenografia, wyreżyserowanie dla pielgrzymów i turystów. Obok grobu Chrystusa sprzedawano różańce, szkaplerzyki, mnich koptyjski prawie nas ciągnął do swego straganu. A jeżeli mimo wszystko, ponad kulturą, sztuką, rozumem, tylko ów sposób obcowania z niewiadomą ludzkiego przeznaczenia daje oparcie dla ducha, siłę moralną? Co za niepewność. Ale świadomość, że nie potrafię, że nigdy nie będę zdolny — pomaga mi ta świadomość.

W Boże Narodzenie ciepły deszczyk, temperatura plus 10 stopni, święta, jak co roku, w La Hacquinière u Krzywickich. Nocowaliśmy w pokoju na górze. Rozmowa z M. o naszych spacerach świątecznych w Warszawie. W pierwszy dzień świąt chodziliśmy na Cytadelę pod Krzyż Straceń, w drugi do pomnika Konopnickiej ukrytego w krzakach Ogrodu Saskiego, i tak przez wiele lat. W środku nocy coś mnie obudziło, może cisza. Leżałem nie czując potrzeby zaśnięcia i przypomnieli mi się człowiek w białym płaszczu z kapturem, wpatrzony we mnie ze sztyłem w rękę. W pediatrii to się nazywa „strachy nocne”, ale ja go nazywałem „arabem”. Budziłem matkę: jest, przyszedł! Do dzisiaj nigdy już nie doznałem tak przeraźliwej grozy, wracam do tego co jakiś czas w różnych tekstach; krzyczałem, wynoszono mnie z pokoju, zapalano światła, a on szedł za mną. Do dziś zastanawiam się, kim był. Przypuszczalnie emanacją mojego strachu przed złem, ale jakim — tym, które czało się w świecie, czy we mnie?

Dalej lektury, korespondencja, pertraktacje z Gallimardem i Mondadorim. Częste spotkania z ludźmi. Ferri przywiózł mi książkę świeżo opublikowaną przez redakcję *Europeo*, rekomendującą w krótkich omówieniach sto najwybitniejszych tomów literatury obcej przełożonych na język włoski w latach 1944-1986. Literaturę polską reprezentują *Transatlantyk*, *Żywe i martwe morze* oraz *Miesiące*. W Polsce *Miesiące* w dalszym ciągu nie ukazują się w wydawnictwach żadnego obiegu.

Z dochodzących relacji o kraju układa mi się wyobrażenie niepełne, niejednolite, które chciałbym jakoś uporządkować i scalić. Powinienem, ale przeszkadzają mi napady pamięci — chwile, miejsca, fakty sprzed lat. Przeszłość atakuje. I to w momentach

nieoczekiwanych. Pół dnia przeleżałem w Jerozolimie z niewielką gorączką, lecz w stanie prawie halucynacyjnym. Przybór, napływ wspomnień, z tym że słowo „wspomnienia” jest tu nie na swoim miejscu, trzeba by wynaleźć inne. „Mary” były lepszą nazwą dla tych stanów, ale znowu brak w niej akcentu kontemplacji, skupionego wpatrywania się, wręcz współludziału. Niegdyś tak przeżywałem sztukę, malarstwo szczególnie, dziś sceny z własnego życia zastępują mi *Śniadanie na trawie*. Zamyślałem się patrząc w okno i raptem widzę coś nie mającego związku z moimi myślami ani z widokiem za oknem, i może to być widzenie tkliwe, odrażające albo straszne. Nie ja wybieram. I nie trzeba smaku proustowskiej madelenki umaczanej w herbacie, zjawia wyłania się sama. Nie wiedziałem, że przysuwanie się do śmierci będzie połączone z takim natarciem czasu przeszłego. Jestem nawiedzany przez spoufalone duchy, które pokazują się kiedy zechcą. Z chwilą gdy się ukążą, patrzę jak w obraz. Wczoraj podczas rozmowy u nas, w obecności paru osób, ukazał mi się profesor Meissner, spoglądający na mnie bladymi, wypukłymi oczami. Wypowiadał słowo, którego grozy wtedy nie pojąłem: — Promienica. — O tym, że z takiej choroby wychodzi się oszpeconym — zżera twarz — dowiedziałem się później. Diagnoza była fałszywa, ale M. leżała w *Omedze* sześć tygodni, naszpikowana drenami, z obandażowaną głową. Pierwszej nocy mającżyła, pytała gdzie jestem, mimo że byłem przy niej. Prosiła, żebym nie odchodził. Przeniosłem się do lecznicy, sypiałem na kanapce w jej pokoju. Pięciokrotnie ją operowano i za każdym razem trzymała mnie za rękę do chwili nałożenia maski z narkozą. Kiedy czułem, że uścisk zelżał, wychodziłem na korytarz i zamykałem się w ubikacji. Z głową przyciśniętą do ściany powtarzałem: „Spraw, żeby nie umarła”. Przy tym mój stosunek do Boga nie był nacechowany zaufaniem. Modliłem się przeciw złym mocom. W roku 1944 miałem już pewność, że nie można liczyć na boskie miłosierdzie i sprawiedliwość. Modliłem się bez sympatii, był to rodzaj magicznego zaklęcia, niezbyt czysta sprawa.

Przypuszczam, że istniał związek pomiędzy moją utratą wiary w sprawiedliwość Boga o późniejszym przyjęciem dialektyki opartej na zaprzeczeniu rzeczywistości. Formuła określająca taki akces jako winę w stosunku do prawdy jest trafna. Byłoby lepiej, gdybym w roku 1945 uwierzył w Opatrzność.

Odpuść, znowu całymi dniami leżę na wznak. Nie ma we mnie żadnych treści, uschnięcie, wiórowatość, nie mogę nic zrobić, nic dla nikogo i nic dla siebie. Listy, na które nie odpisałem,

praca doktorska odłożona na półkę, nie wiem nawet czyja. M. mówi: to minie — i przygotowuje dwie kawy. Jesteśmy powiązani swoimi nerwicami, zadawanym i doznawanym bólem, jakby zrośnięci wspólnymi bliznami. Możliwe, że w tym istota naszego związku — ciąg win i odkupień, grzechów wzajemnych. To nas łączyło. Dwukrotnie nie potrafililiśmy się rozstać i byliśmy sobie wierni w sposób niekonwencjonalny, szokujący naszych przyjaciół, ale wierni w sensie najokrutniejszej szczerości i całkowitego przebaczenia, no i pomocy, pomocy. Odkąd? Chyba od tamtych dni w *Omedze*, w pokoju przesiąkniętym słodkawym zapachem ropy, kiedy w nocy podawałem jej basen, a rano, żeby ją rozśmieszyć, goląc się wychylałem zza parawanu twarz z mydlanymi bokobrodami à la Franz Joseph, starając się ukryć przerażenie widokiem białej ogromnej głowy, z której w miejscu skroni wystawał dren. Prosiła, żebym odwinął bandaż, po czym sprawdziła w lusterku, czy obrzek się nie powiększył. Właściwie te dni były początkiem naszego małżeństwa i gdybym miał napisać swój poemat-epitalamium, zacząłbym od porównania bandaża do styłu.

Przyniosła mi filiżankę kawy, ale zanim odeszła spytałem, czy pamięta ów poranek w *Omedze*, ten wiosenny ranek z moim tańcem dziękczynienia, gdy nagle krzyknęła: — O Boże! Jest! — bo po raz pierwszy między powiekami zapuchniętego oka wyczuła koniuszek rzęsy.

Moje bytosfery, moje życiokręgi. Czy inaczej: słoje w moim pniu, z których się składam. Pisanie. Małżeństwo. Kraj. Erotyzm. Inteligencka żydopolskość. Moje sny. Wszystko sklezione ze sobą. W moich stosunkach z ojczyzną także występuje neurotyczne zasupłanie, zlepianie doznanych i zadanych ran. Zanim w moich książkach zacząłem kaleczyć rzeczywistość, na długo przed tym ona mnie poraniła. O tym przecież piszę, do tego wracam, ciągle, w kółko. Jak to porozdzielać i ponumerować? Albo nie rozdzielać i nie numerować.

Przedłużyłem grudzień o siedem dni. Zaczął się już 1987. Styczeń trzeba będzie chyba przeskoczyć. Remont mieszkania. Jutro do mojego pokoju wtargną pracownicy innej dziedziny. Na tyle znam siebie, aby się nie łudzić, że uda mi się przed końcem miesiąca poustawiać rzeczy na swoich dawnych miejscach w pokoju i w sobie.

Przez lata walki w zwarcu coraz częściej osiągałszy momenty, które — podobno — są nieosiągalnym celem miłości. Zamienialiśmy się osobowościami. Można się przyzwyczaić do tego, że nie jest się wyłącznie sobą, lecz jeszcze kimś innym. Jeśli dziś przenikamy się wzajemnie prawie każdą myślą, ulegamy równoczesnym impulsom i nieraz wykonujemy identyczne gesty, to

znamy również cenę takiej transfuzji (tu marsz weselny Mendelssohna).

Styczeń 1987

Chodniki i jezdnie czarne, obrzeżone brudnym śniegiem, dachy czarne. Samochody zbryzgane błotem trąbią w korkach na Rivoli. Ludzie różnie poubierani, w kożuszkach, letnich płaszczach, w jaskrawych pękatych kurtkach, jakby napompowanych powietrzem, prawie wszyscy noszą wełniane kolorowe szale, przerzucone luźno przez ramię. Miasto zmatowiało i zszarzało, niebo nad dachami mleczne ale zwarzone, bez wyrazu i światła, podciekle wodą, wodę czuje się także w powietrzu. Ogółem nastąpiło upodobnienie do miast naszej Europy, środkowo-wschodniej. Zima zrobiła swoje, Paryż wydaje się trochę mniej paryski. Mrozy dochodziły nocami do 20 stopni, później zelżało, nadeszła odwilż z mokrym wiatrem. Spostponowanie Francuzów przez zimna i strajki zbliżyło ich do mojego polskiego samopoczucia. Chodzę w warszawskim kożuchu z szalem przez ramię i w damskim tweedowym kapeluszu. Jestem na dwieście piątej stronie maszynopisu ostatniego tomu *Miesiący*.

Obraz kraju rysuje mi się w oddzielnych fragmentach, zależnie od czyjejś relacji. Duży pokój w naszym mieszkaniu na François Miron stał się niby sceną, przez którą przesuwały się pojedyncze osoby lub pary. Wypowiadają swój tekst, po czym znikają, wyjeżdżają i na scenie pojawia się kto inny, by wygłosić kolejny monolog. Prawie jak w *Weselu*. Dziennikarz z Krakowa, Zosia M., poeta, ksiądz. W korowodzie niektóre postacie ukazują się ponownie. Cztery razy przyjechała F. i znikła, teraz znów są Konwicy. Z opowiadań, z rozmów wyłania się zbiorowy tekst, który od czasu do czasu notuję prawie na żywo.

— wyjechać czy zostać to dzisiaj polskie być albo nie być, o tym myślą wszyscy, każdy. Marzeniem naszej córki jest Kanada. Żeby dostać szynkę na kartki, wstaje o 3-ej nad ranem, a o 5-tej, kiedy w ogonku zastępuje mnie mąż, ludzie nas przeklinają.

— dzisiaj Warszawa to Reykjavik, idziesz przez Kruczą i nagle z asfaltu wytryskuje ci gejzer. Spod ziemi, z rury pękniętej. Gejzery do pierwszego, do drugiego piętra. Trzydziestostopniowy mróz i para, w mieszkaniu woda zamarza, starzy ludzie ubrani leżą w łózkach.

— Józio musiał przerwać studia, dziecko zostawiliśmy w Kra-

kowie u dziadków. Ja jestem bebisiter u amerykańskich Żydów w 16-tej dzielnicy, a Józio pracuje na budowie. Mamy już obiecaną wizę do Australii.

— nie wiadomo kim jest naprawdę ten generał. Enigma. Podobno trzech najgorszych się pozbył. Krwi dużo nie przelał. Według mnie przyszedł czas na refleksję pozytywistyczną. Nasza siostrzenica we wrześniu będzie w Szampanii na winobranii, a ja tu przyjechałam z pielgrzymką do Lourdes. Autokarami przez zamki nad Loarą, grupa dwuosobowa.

— z Polską czerwony nie da sobie rady.

— nawet przed aptekami stoją kolejki, bo lekarstw notorycznie brak. Totalna katastrofa cywilizacyjna.

— kuzynka w ciąży przyjechała do nas z Katowic na święta i zaczęło się pandemonium świąteczno-towarzyskie. Jak to zwykle w Polsce, jedzenia było za dużo. Ma rodzić w połowie kwietnia. Czwarte dziecko.

— Polska jest zmęczona fizycznie.

— kilkaset lat temu była Polska. Później przepadła i wymyśliło ją na nowo kilku poetów.

— podobno generał czuje osobistą sympatię dla prymasa i wzajemnie. Kościół moralnie zwyciężył, dzieci są dziś pobożniejsze od rodziców, zawsze było odwrotnie.

— nasze rodzone dziecko przychodzi do mnie i mówi: mamo, to ja jestem owoc nieślubnego związku? Ksiądz tak powiedział, nie da mi bierzmowania. Mamo, weźcie ślub kościelny. I pewnie weźmiemy. Na Nowym Mieście, u księdza Niewęglowskiego.

— dużo rabunków, coraz więcej. Moja znajoma, starsza pani, profesor wyższej uczelni, rozebrali ją po ciemku na ulicy. Całą. Tak doszła do mieszkania. Mąż jej otworzył drzwi i dostał ataku serca z nerwowego śmiechu.

— wieczorami na ulicach pusto, w kawiarniach siedzą kurwy tureckie.

— jechałam pociągiem do Słupska...

— nic nie zrobili, cała ich zręczność to spryt inteligentnych policjantów. Manipulowanie opozycją, tylko to im się udaje. Ale w rezultacie rząd nic nie może zrobić i opozycja nic nie może zrobić. A naród nie wierzy ani w opozycję, ani w rząd.

— powołali tę Radę Konsultacyjną. Profesor Święcicki wstąpił, mecenas Siła-Nowicki wstąpił, a redaktor Turowicz odmówił. Trudno rozsądzić. Z „Solidarności” zostało tylko słowo. Piękne słowo.

— jechałam pociągiem do Słupska, aż raptem pod siedzeniem słyszę pisk. Mój sąsiad przyklął i zagładnął. I co tam zobaczyć?

Mysie gniazdko. Pięć gołych myszek, jak orzeszki. W pociągach mysie gniazdko, kto o tym dawniej słyszał?

— kultura osiedlowa, czasem gazetka podziemna ma obieć w jednym bloku, a w sąsiednim już o niej nie wiedzą. To przypomina trochę okupację, wtedy gazetki kursowały także w wąskich kręgach, ale raczej politycznych, zależnie od środowiska. W zasadzie prasę nielegalną rząd dziś toleruje, a może nawet kontroluje. W ogóle rząd trzyma opozycję dla celów eksportowych. I w końcu trzeba powiedzieć, że w Polsce nie ma już więźniów politycznych. A że konfiskuje się samochód, w którym milicja znajdzie tajny druk, taka wiadomość Europą nie wstrząśnie.

— młodzież szaleje za książkami Mackiewicza. Nie tego, co wrócił z Londynu, tylko Józefa od *Kontry*. A zaraz po nim Tyrmand.

— niedawno był u nas Adaś Michnik. W dobrej formie, tylko twarz mu się trochę zmieniła. I nic dziwnego, pięć lat w celi. To, że napisał jeszcze pięć książek, nie licząc listów, przekracza moje wyobrażenie. Powiedziałem mu to, a on się śmiał. Tyle mi ta jego wizyta przypomniła, Antoniego sprzed lat, i Jankę, i nie tylko to...

— są i tacy co przez ćwierć wieku byli posłuszni i nagle chcą przebiec na drugą stronę pod poprzeczką. Ci są najbardziej agresywni.

— Bujak był mitem, legendą, niewidzialnym Robinem Hoodem. Teraz słyszę, że założył warsztat prywatny i będzie produkował śrubki.

— wzrasta dystans nie tylko cywilizacyjny. Oddalamy się myślowo od spraw Zachodu, moi studenci wzruszają na nie ramionami, nie chcą o nich rozmawiać. *Apartheid*? — śmieją się. *AIDS*? — śmieją się. „Przedmurze” i „Chrystus Narodów” zmartwychwstały, tylko w innych formułach językowych.

— niedożywienie, młodzieży ubywa wzrostu. Znowu będziemy mali.

— z wodociągami ma być coraz gorzej, zamożniejsi wiercą już sobie w ogródkach studnie artezyjskie.

— trzeba by sięgnąć do ukrytych głęboko pokładów zbiorowej podświadomości, do tęsknot za jakąś płomienną *katharsis*. Za obmyciem się we własnej krwi. Nie przelać tej krwi, ale myśleć, pamiętać o walce. Inaczej zgnijemy w kompromisach.

— ja naprawdę zawsze byłam i jestem katoliczką. Ale dzisiaj w Polsce dławi mnie ta dewocyjna pobożność, nie mogę, nie mogę, to jest czasem jak terror psychiczny, no i ludzie, którzy się do tego włączają... stojące chrzty byłych członków KC i spo-

wiedzi po światopoglądowym przełomie. Wielu księży wciąż jest nietolerancyjnych.

— wielu robotników zapisuje się do nowych związków.

— nowy minister kultury, ten autor książki o Herodzie, podobno kulturalny człowiek. Z Krakowa.

— kiedyś znowu nadejdzie czas oporu, ale to już będą robić inaczej, inni, nowy nabór. Może ci, co się teraz rodzą. Ruchy wolnościowe wszędzie i zawsze wybuchają w zrywach, w krótkich cyklach.

— zawsze się bałem, że istnieje jakiś tajny plan zniszczenia Polski. Wywalcować, spłaszyc tę ziemię, która im jest potrzebna, żeby mogły po niej przejechać ich czołgi. Co to znaczy, że piętnaście lat każą czekać na mieszkanie? To oznacza społeczne gnojenie młodych ludzi. Może w ten sposób chcą się ich pozbyć, niech zostaną tylko ci, którymi łatwo rządzić, To są moje nocne lęki.

— nie mogę w nocy zasnąć, bo nadśłuchuję, czy rura nie pęka, ja się boję kaloryferów.

— kaloryfery, domiary, dolary... Co oni z nami zrobili?

— z papierem klozetowym nie ma teraz kłopotów. Raz na miesiąc, jak mi się uzbierają dwie torby starych gazet, to w sklepie papierniczym na Freta wydają mi w zamian cztery rolki.

— byłam w Warszawie dwa tygodnie, po piętnastu latach. Widziałam ich wszystkich. Są wspaniali. Żadnego z nich dotychczas nie znałam, tylko z opowiadań i z gazet. Patrzyłam na nich jak urzeczona, bo to są dla mnie przecież żywe mity, symbole, i słuchałam jak mówią, jak dyskutują. Zawsze o tym samym. Mają specjalną technikę szeptu. W pewnych momentach wypowiadają kilka słów czy zdań bardzo prędko i jakby sycząco. Nie rozumiałam, co to jest, dlaczego, potem mi wytłumaczyli, że takich dźwięków nie da się odczytać z taśmy. Przez dwa tygodnie byłam obserwowana, podobno bez przerwy, ale z początku nie zdawałam sobie sprawy, dopiero później oni co jakiś czas pokazywali: o, widzisz, ten... a tam drugi, przed furtką. I śmieli się. Było 20 stopni mrozu i śnieg. Y. mieszka na parterze. W ogródku wokół domku codziennie rano widzi świeże odciski butów i śmieje się. To dziwne: oni zwyciężyli. Ponieśli klęskę, ale zwyciężyli.

— dzisiaj Polska to jakby rozlatująca się podmiejska szopa, na pochyłości, w błocie, podmywana deszczem. Obsuwa się coraz niżej, deski gniją, lada chwila wszystko się zapadnie. A wewnątrz śpiewy, gwar, bełkot pijaczków i koncepcje, dyskusje... Nie o tym, co jest, tylko o tym, co było, czego nie ma. O ukrzyżowaniu, o Żydach i cudzie nad Wisłą, o roku 1863, o Marszałku,

Jagiellonach i akowcach, o stalinizmie, o błędach „Solidarności”... Dach się wali, ściany trzeszczą, a oni śpiewają „Sto lat!” i przytupują w piosenkach o Lwowie i Wilnie. Nie widzą, jak bardzo to jest szalone, nierzeczywiste...

— siadźmy, panie Kazimierzu. A w kraju mgła, mgła. Rozdarcia, konflikty. Na szczęście młodzież nie ma broni. Ludzie zbierali się w mieszkaniach, żeby przełamać się opłatkiem, który przywiozłem z Watykanu. Ojciec Święty słuchał mnie przez godzinę i na pożegnanie wyściskał: „Niech ksiądz tu wraca, koniecznie!”. I szepnął do ucha: „nie za często”. W nieskończoności, w czasie, panie Kazimierzu, jedyna nadzieja. Ale jak wlać tę nadzieję w serca, a zarazem uchronić je od nienawiści...?

List od Mariana depresyjny. Nie może pracować, trapią go złe myśli i narzeka na zimno w mieszkaniu. Później telefonowałem z życzeniami urodzinowymi. Odezwał się różnym głosem, mrozy już minęły, odwilż w Warszawie, kaloryfery znowu grzeją. Miałem wrażenie, że wzruszył się moim telefonem. Ale skracał rozmowę, jakby się gdzieś śpieszył. Z pewnością telefon był nie w porę, przysiągłbym, że siedział przy maszynie, kiedy zadzwoniłem. Często tak się zdarzało: — Bracie, dzwonisz zawsze w środku zdania. — Bracie — mówiłem — pisz krótszymi zdaniami. — W lecie przysłał mi maszynopis swojej arcyciekawej powieści monograficznej o generale Zajączku. Teraz pewnie zaczął nową książkę. Myślę, że wspominając o warszawskiej odwilży chciał mi zasignalizować jakieś zmiany w aurze nie tylko klimatycznej. Słyszałem o wszczęciu rozmów z przedstawicielami rozwiązanych stowarzyszeń twórczych, ale czy to prawda. I czym ma być ta odwilż w kulturze — lokalnym refleksem sowieckiej, gorbaczowskiej — niezależnym polskim usiłowaniem — zapowiedzią wielkich nadchodzących przemian?

Było gorąco, pęki kasztanów już zakwitły. Na Traugutta Leon Rygier co parę kroków przystawał, oparty prawą ręką na lasce z kościaną gałką. Głośno wachał powietrze rozdymając nozdrza i lewą dłonią gładził jasną, uperfumowaną brodę. Ja stałem za nim. Był to jeden z tych dni, kilku w roku, kiedy miasto wydaje się dziwnie piękne, każdy szczegół uliczny oczarowywał ukrytym dodatkowym sensem. Czułem fizyczne podniecenie i ciekawość, pod pachami trzymałem dwie teczki, jedną własną, drugą wypchaną pakietem zeszytów z ostatnią klasówką. Rygier opowiadał mi o Wyspiańskim: jak spotkał go na Plantach pół roku przed jego

śmiercią, bardzo już zmienionego. — Choroba odarła go z dumy, płakał, mówił o swoim wielkim nieszczęściu. Mój kochany, w tych latach przed salvarsanem źle leczony syfilis... — Rygier sapnął. — W Paryżu przesypiał się z każdą modelką, wiem o tym od Mehoffera, który wtedy z nim mieszkał. Wesoły jestem, wesoły, a czy mam pełne łez... — powiedział unosząc głowę ku gałęziom kasztanu. Beżowy kapelusz miał wgnieciony na okrągło i zsunięty z czoła, tak że widać było czerwonawą pręgę, a nad nią spotniały kosmyk blond włosów. Domyślałem się w jakim celu kazał mi się odprowadzić po lekcjach i dlaczego właśnie mnie powierzył teczkę z klasówkami. Poprzedniego dnia, kiedy rozmawiał na pauzie z Andrzejem, spostrzegłem że obaj patrzyli na mnie. Andrzej wiedział jak było naprawdę, on pierwszy mnie oświecił. Nie miałem pewności, czy Rygier postanowił odegrać jakąś rolę w tej sprawie, czy powodował nim tylko apetyt plotkacza. Znowu przystanął. Musiały go palić lakierki. Nie mogłem zrozumieć dlaczego nosił lakierki do beżowych ubrań i różnobarwnych krawatów; były przy tym za ciasne, szczylił się swoją małą stopą. — Więc ilu... czterech? — Potwierdziłem. Doszliśmy do rogu Krakowskiego Przedmieścia, przed bramą uniwersytetu czuwalni woźni w długich granatowych surdutach ze srebrnymi guzikami, jeden brunet o przystojnej twarzy z ciemnym śladem zarostu; znałem go z widzenia. Przed maturą w ostatnich tygodniach śródmieście zafalowało urodą; wilgotna czern gałęzi, połysk kamienia, blask powietrza, gwizd ptaków i rozległy błękit tworzyły niby park wiosenny, w którego alejach mijali się uśmiechnięci spacerowicze w rozpiętych płaszczach. Były już czynne werandy i ogródki w kawiarniach. Od strony Królewskiej nadchodził redaktor *Wiadomości*, ciągnięty na smyczy przez trzy teriery. Wymieniono ukłony.

W zeszłym tygodniu czterech kolegów w klasie przestało się do mnie odzywać, wśród nich Lesio T., syn dentysty; siedzieliśmy na jednej ławce. Codziennie przez dwa lata za kwadrans 8-ma czekał na mnie przy skrzyżowaniu Pięknej z Mokotowską i dalej szliśmy razem do budynku szkolnego koło Zboru. Od kilku dni zmieniło się; czekał odwrócony trzymając teczkę oburącz i kiedy zbliżałem się, nie patrzył na mnie. Ruszaliśmy Mokotowską bez przywitania, przez całą drogę nic nie mówił. Czułem, że jest mu o coś przykro, nie wiedziałem o co i jakoś wytłumaczyłem to sobie — pewnie domowe zmartwienia. Nie zorientowałem się od razu, że było ich czterech. Doszła mnie tylko pogłoska: kilku uczniów z klasy naturalnej zostało wezwanych na rozmowę do gabinetu dyrektora, groziło im podobno niedopuszczenie do matury — byli członkami NOGI, Narodowej Organizacji Gimna-

zjalnej. Nazajutrz Andrzej wziął mnie na stronę: — Uchwalili, żeś to ty na nich doniósł. A dobrze wiedzą kto. To K. wygadał się z tym ojcu przy kolacji. Ale ty lepiej im pasujesz... Typowo endeckie świństwo. — Ojciec K. był zastępcą dyrektora.

Schodziliśmy w stronę Kopernika z kulą ziemską. Rygier uśmiechał się wywijając łaską, ja przy nim z dwiema teczkami. Staliśmy pod pomnikiem. Rygier przyjrzał mi się z ukosa: — I co zamierzasz robić? — Nic, panie profesorze. — Byłem zgrzany, miałem uczucie, że słońce wlewa mi się do krwi, teczki mi ciążyły. Wiedziałem już, że nie zdążę na Marszałkowską, żeby wyskoczyć z bramy na spotkanie M., która o tej porze wraca z pensji do domu na Topolową. Rygier szarpnął brodę i zaszeptał: — Mój kochany, naucz się pogardy. Miej ich w dupie. Do końca życia miej ich w dupie. Nic cię we mnie dziś nie zastanawia? Jestem bez górnej szczęki... nie spostrzegłeś? Dorożka! — ryknął wznosząc łaskę. I wydał mi ostatnie polecenia. Miałem pójść na Dobrą 75, a kiedy otworzy mi drzwi starsza osoba o wyglądzie gosposi, trzeba pocałować ją w rękę, bo to jest pani Rygierowa, jego obecna żona, pierwszą była pani Nałkowska. Mam też powiedzieć, że pan profesor musiał jeszcze wstąpić do redakcji i wróci za godzinkę. — Zapamiętasz? Pogardy! — Z nogą w lakierku na stopniu dorożki, mrugnął do mnie dużym niebieskim okiem i stuknął kościaną gałką w plecy dorożkarza: — Do Wróbla, na Mazowiecką!

Szedłem w dół Tamką. Po dziesięciu latach miałem zamieszkać w tej dzielnicy i przeżyć w niej wybuch Powstania. Kiedy mój nauczyciel odjechał dorożką, poczułem się zmęczony. Wchodziłem w brzydkie ulice Powiśla jak w cień, z rosnącym przygnębieniem. Rok przedtem spędziłem popołudnie w hotelu na Chmielnej z łagodną, tanią dziewczyną, która na odchodnym dała mi swój adres: Dobra 73, z podwórza w lewo, drugie piętro. Wręczyłem zeszyty pani Rygierowej i pocałowałem ją w rękę. Z czapką szkolną ukrytą w teczce, z ciężko bijącym sercem, w złości i osamotnieniu wszedłem na drugie piętro sąsiedniej kamienicy i zastukałem w drzwi. Widniał na nich zatarty ślad kredy: K+M+B. Po chwili nacisnąłem dzwonek. Cisza. Nikt nie otworzył. Upał i złość we mnie stygły, obejmował mnie spokój, ulga.

Luty, marzec

Dziennik bez samogłosek Wata. Silne przeżycie, właściwie objawienie. Książka rozpaczy i inteligencji, kronika ciężkich zmagających myśli z chorobą. A przy tym mądre, głębokie analizy, suges-

tywne obrazy (Kalifornia) i przewijająca się przez nie materia poetycka. Dziennik męczennika i zarazem myśliciela-kabalisty, zgłębiającego tajemnice bytu i pisma. Jest tam przykra uwaga o moim stylu pisarskim, ale jakie to ma znaczenie wobec dramatu tych zapisków. Jedno z ostatnich zdań napisanych przed śmiercią: „Skoro się uwierzyło, że coś jest prawdziwe, wiara zastępuje całkowicie prawdę, tj. nie ma się dalszej potrzeby prawdy, potrzeba prawdy wygasła”. Zastanawiam się, czy opuszczając samogłoski chciał swoje notatki zaszyfrować, czy też robił to z pośpiechu, żeby nadażyć, jak sam się wyraził, za galopadą myśli. Raczej drugie. Albo tak, jak przypuszcza Teresa: pisząc bez samogłosek ćwiczył się w naśladowaniu pisma hebrajskiego, w którym samogłoski nie istnieją.

Pod koniec stycznia w Centre du Dialogue wieczór literacki młodego Krzysztofa Rutkowskiego o „zabijaniu Mickiewicza” przez sektę towiańczyków. Interesujące fakty, relacje, listy — tylko część ich znałem — oraz nieprawdopodobnie brzmiące cytaty z nowo-mowy towiańczyków, którą w tych latach mówił i pisał autor *Sonetów krymskich*. W dyskusji m.in. wystąpił nieznajomy mi doktorant z Uniwersytetu Jagiellońskiego — niestety, nie zapamiętałem nazwiska — okazując wyborną jakość umysłową. Mówił o ogromnej, straszliwej pracy duchowej, jaką wykonał Mickiewicz, poczynwszy od lat spędzonych w Rosji. Nazwał Towiańskiego „ciemnym bratem” Mickiewicza, zwiastowanym już w *Konradzie Wallenrodzie* i *Dziadach* — jak gdyby przywołanym, wezwanym przez Mickiewicza do Paryża. Ciekawie zabrzmiał głos Andrzeja Krzywickiego: wspomniał o swoich asystentach, maoistach, młodych fizykach opętanych przez sektę ideologiczną, wyznających jej religię i mówiących jej językiem. Nie jest w tym celu konieczny aparat przemocy, zaślepienie wynika z potrzeby wiary w przemianę plus doktrynalna pewność. Powołał się na przykład Sartre’a — jego urzeczenie grupą zbawicieli z *Cause du Peuple*, kiedy autor *Bytu i nicości* przemawiał i rozdawał ulotki z beczki robotnikom w zakładach Renault (Mickiewicz namawiał do zbawiania ludzkości rabina Paryża i klękał w gabinecie francuskiego ministra). W chwili gdy Krzywicki wymienił nazwisko Sartre’a, przez salę przemknął niechętny szept. Jednak w końcu Polacy przykleili Sartre’owi nalepkę cynika-szarlatana i pewnie nie uda się jej odkleić zanim upłynie pół wieku. O Sartrze prawdy są co najmniej trzy, za kilkadziesiąt lat może wypłynie trzecia prawda. Także u Wata ile wstrętu do Sartre’a, mimo iż uwieść dali się obydwaj, każdy w swoim czasie.

W piątek była G., przejęta sobą. Chce rzucić pracę na uniwersytecie i założyć z kuzynką antykwariat czy galerię obrazów,

ażeby — powiedziała — wyodrębnić się z przeciętności. Znany rodzaj cierpienia, podsycanego dziś przez media.

Głos w telefonie ciepły: „Wiem, że musi ci być przykro, ale nie przejmuj się”. Nie mam pojęcia o co chodzi, ale udaję, że wiem i że się nie przejmuję. Podobnie było w Warszawie. Moje kłopoty zawsze poprzedzał czyjś życzliwy telefon: „Słyszałem, że masz kłopoty...”. Dopiero w jakiś czas później dowadywałem się, że naprawdę mam kłopoty. W Warszawie to było zrozumiałe, pewni ludzie po cichu albo z upoważnienia przekazywali do środowiska opinie i decyzje urzędów — o szykanach w stosunku do pisarza on sam dowadywał się często na końcu. Wszystko szeptem, półgłosem. Dzisiaj w słuchawce głos znów współczująco stłumiony: „W tym konflikcie jestem po pańskiej stronie...”. W jakim konflikcie? Pewnie źle ze mną i znowu nie wiem, o co chodzi. Myśli się wtedy: rodacy. Ale ciche wyroki, a niekiedy ciche kamienowanie, to zjawisko międzynarodowe. Widzę je u Francuzów. Suma zabiegów, jakie muszą wykonywać autorzy, którzy nie chcą być odepchnięci, ilość przewencyjnych kontaktów towarzyskich, prasowych etc. jest przerażająca. W każdym razie nie na siły człowieka leniwego poza godzinami pracy.

Prawdopodobnie istnieją jakieś polskie układy stosunków i opinii, wartościowania, hierarchie literackie czy personalno-literackie. Mówię „prawdopodobnie”, bo za mało rozmawiam o tym z ludźmi i rzadko śledzę te sprawy w pismach, które otrzymuję. Z François Miron mogę obserwować najwyżej „ogólności”, m.in. stan rzeczy polegający na runięciu dawnej struktury i rozproszeniu życia literackiego w kraju. Pewien warszawski autor powiedział: „Nie ma nikogo. Mnie także. I tak oto żyjemy”.

Do wielogłosu narodowego powinienem być wprowadzić brzmiały coraz wyraźniej nowy ton. Nie będę ściślej określał, lepiej zilustruję to cytatem: „Nie śpieszmy się z formułowaniem tak stanowczo alternatywy: albo opozycja, albo kolaboracja. Poza nimi rozciąga się świat instytucji, który tak czy inaczej musi zostać wypełniony: będą szkoły, uniwersytety, szpitale, gazety, przedsiębiorstwa, urzędy i od ich funkcjonowania w pierwszym rzędzie zależy, jaki kształt przybierze kraj. To ludzie tam pracujący będą decydować, czy ruch oporu uzyska głębsze zakorzenienie, czy nie, czy opinie milczącej większości przechylą się na stronę opozycji. Tym ludziom można przedstawić wzór i program działania bardziej stosowny do ich możliwości, racji, ich oczekiwań. Herosów jest mało, dużo może być ludzi porządných i pomocnych”. Koniec cytatu.

Koniec dziesięcioletniego okresu czynnego oporu? Nie przesądzajmy zbyt pochopnie.

Wszystko, co tutaj piszę o Polsce, biorę na ryzyko, na ryzyko specjalne, inne niż ryzyko pisania w ogóle. Staram się przy tym dbać o zachowanie miary rzeczy, wiedząc jednak, że możliwość fałszywej oceny będzie pomnożona przez odległość: mnie tam nie ma.

W związku z polskimi osobliwościami zapisuję więc, co mi powiedziano. Zdekonspirowanie ukrywających się przywódców podziemia było w znacznej mierze zasługą „wtyczek”, informatorów służby bezpieczeństwa. Niektórzy działali w „Solidarności” od początku jej istnienia, teraz ich ujawniono. Przypuszczalnie miejsca ukrycia Bujaka i innych były dzięki nim znane policji od dawna. Zwykle w takich razach, po skompromitowaniu agenta, stosuje się ostracyzm (co najmniej). Dziś w Polsce obrót rzeczy jest inny. Rolę odegraną przez agenta przedstawia się w środowiskach opozycji jako chwilowe załamanie — po wystąpieniu w telewizji załamany wyjeżdża do domu wypoczynkowego. Sprawa jest wstydliva, okazano zbyt dużą łatwowierność, lepiej więc zatrzeć ten blamaż. Przypomina to stosunek polskich emigrantów po roku 1863 do zdemaskowanego szpiega carskiej policji, Bałaszewicza-Potockiego. Na starość umieścili go w schronisku dla weteranów-patriotów, bodajże w Szwajcarii, gdzie spokojnie umarł.

Z notatek:

„Oprócz Polaków nie widzę drugiego europejskiego narodu, któremu historia pokazała tak głupią i złą gębę. Bez żadnej rekompensaty. Każde życie w Polsce jest walką z obrzydzeniem i strachem (nie tylko przed władzą). Życie każdego człowieka w tym kraju staje się w końcu moralitetem. Moralitetem politycznym. Okropność. Zamiast pocieszenia: pewność, że ten naród nie da się zniszczyć, świat nigdy nie zobaczy tego kraju w prawdziwym, ostatecznym upadku. Nigdy”.

„Do wątku Marii Antoniny. Współczucie, ale i pytanie dlaczego tak zaciekle i tak osobiście jej nienawidzono. Historycy, nawet ci co czują do niej antypatię, piszą: *elle n'était pas méchante*. Nie była zła, lecz w wyobrażeniach tłumu z Faubourg St. Antoine uosabiała Dwór. Dwór, Wersal. Trzeba pamiętać, czym była Regencja (kazirodstwo + bankructwo) i rządy Ludwika XV. W miastach agenci policji królewskiej porywali z ulic dzieci, które dostarczano do Wersalu jako żywy towar (król trzymał w zamknięciu przy swojej sypialni dziewięcioletnią dziewczynkę, całkowicie izolowaną od świata; w trzynastym roku życia zaszła w ciążę). Przyczyną nienawiści nie był tylko głód, walka parlamentów z monarchią czy intrygi Palais Royal. Dwór

budził nienawiść moralną. Encyklopedyści podbudowali ją racjonalną pewnością. Kiedy handlarki ryb urągały, że Austriaczka rozrzuca miliony dla swoich kochanek, był to potrójny zarzut — finansowego marnotrawstwa, deprawacji obyczajowej i obcej ingerencji. Straganiarki wiedziały, co mówią”.

„Nie szacunek. Zachwyt, groza, podziw, wzruszenie, pokora wobec dzieła sztuki. Szacunek w sztuce, jak to niewiele. Być szanowanym artystą...?”.

„Środowiska literackie: dżungle w podwórkach. Również tutaj”.

„*Abe-Bea*. Czy nawiązać do tego szkicu”.

„Isaac B. Singer, zresztą cudowny opowiadacz, ukazuje w swoich książkach Polaków nie najsympatyczniej. Gombrowicz określiłby to jako stosunek „lepszość - gorszość” albo „wyższość - niższość”. Żydzi istotnie bardziej podziwiali kulturę niemiecką i rosyjską niż polską. Stąd chyba się bierze ich uczucie wewnętrznej porażki przez polskich antysemitów. Obelgi ze strony „gorszego” znosi się szczególnie źle. Ale też trzeba pamiętać, że w ostatnich niepodległych latach był pogrom w Przytyku, a zaraz po wojnie — w Kielcach, tj. że obydwóch dokonała ludność polska na krótko przed i po Zagładzie. Najwyższy czas, aby Kościół katolicki potępił z ambon przejawy antysemityzmu dzisiaj w Polsce”.

„Monografia rodziny Rotszyldów. Erotomani pieniędzy. W XIX wieku mieli już własną flotę morską i banki w całej Europie. Frapujący jest początek kariery (na Judengasse, małej uliczce we Frankfurcie). Potem już tylko rozrost i schyłek. W ilu dziedzinach i sprawach życia jest podobnie. Drapieżność początku i zmęczenie końca”.

„Wstecz, w retrospektywie przygody erotyczne nabierają bajecznego czaru. N., uroczy człowiek, mówił na moło w Sopocie: 'dla mnie seksualne wspomnienia to mój duchowy skarbiec, po latach żałuję każdej niewykorzystanej szansy'. Zwykle jednak z wykorzystanej szansy ktoś wychodził z raną. Właściwie ulga, że niektóre — częste dawniej — sytuacje z tej dziedziny znikły dziś z życia. Na przykład romanse chlebobawców ze służącymi. To były przeważnie bezkarne zbrodnie, czasami nie tylko w przenośni (wypędzanie z domu w ciąży). W zestawieniu z ohydnyimi krzywdami wiejskich dziewczyn, eksploatowanych w mieszczańskich i ziemiańskich rodzinach, dzisiaj niezależność i swoboda młodych Portugalek służących tu u Francuzów zdaje się świadczyć, że jednak w naszej brutalnej erze mamy niejednokrotnie do czynienia z prawdziwym postępem. Nie wyłącznie naukowym i technicznym”.

„Erotomani władzy, erotomani pieniędzy, erotomani ideolo-

gii. I erotomani po prostu. Można być najwyżej trzema naraz”.

„U Selvaggich opowiadano warszawski dowcip krążący wśród Francuzów: 'Kiedy *żeneral Żaruzelski* zdejmie czarne okulary? Jak ukończy spawanie Polski ze Związkiem Radzieckim'. Selvaggi usłyszał ten dowcip w rodzinie, od swego zięcia, adwokata, który lubi opowiadać śmieszne dykteryjki”.

„Pocztą od p. Tadeusza Brzostka, przedstawiciela Konfederacji Polski Niepodległej we Francji, przyszedł fotokopie jego depesz i listów wysłanych do różnych osobistości. W liście do kardynała Glempa, o Konfederacji Polski Niepodległej: 'od pierwszych chwil istnienia napotyka na liczne szykany władz PRL, pomimo iż w programie swoim zawiera dążenia drogie sercu każdego Polaka, tj. niepodległa Polska zamieszkała przez katolików Polaków'. Po wyjściu z więzienia Leszka Moczulskiego, przewodniczącego KPN, p. Brzostek wysłał dwa telegramy. Pierwszy: 'Serdeczne współczucie po zgonie ojca oraz wielka radość z osobistego odprawienia na wieczny spoczynek przesyła Konfederacja Polski Niepodległej. Paryż'. Drugi: 'Żona twoja Maria wyblała w Częstochowie wam wolność — radość wśród nas nie ma granic — Konfederacja Polski Niepodległej Paryż'. List do pp. Moczulskich rozpoczyna Tadeusz Brzostek od słów: 'Droga i Kochana Rodzinko Moczulskich!'. Ten warszawski dowcip opowiedziany przez Francuza i przesyłka pocztowa od konfederata z Paryża tworzą mi razem całość, łączą się ze sobą w polską makabreskę”.

„Gorbaczow nazajutrz w telewizji. Na moskiewskie forum ściągnął z Zachodu plejadę międzynarodowych gwiazd. Claudia Cardinale, Gregory Peck, Marcello Mastroianni... Przyjechali także wzruszeni Szwajcarzy — Frisch i Dürrenmatt. Wszyscy klaskali i nikt się o nic nie upomniał. W zamian za zwolnienie męczennika Sacharowa i stu czterdziestu niewinnie więzionych ludzi ZSSR podobno dostanie amerykańskie zboże i najnowocześniejszą technologię. Wśród oklaskujących siedział Andriej Sacharow i także klaskał. Niesamowita scena”.

„Kolejno: zdumienie, rozbawienie, wzburzenie, bezsilność. W końcu leżę. Rozkwasił mnie. Patrę w górę: nic nie zagrzebie? Wobec tego reżyserom należy się Złoty Lew. Chwilami mam pewność, że sowieccy komuniści z powodzeniem oszukują Pana Boga. Na ekranie uśmiechnięte twarze najślawniejszych artystów i klaszczące ręce. Kto jest lepszym aktorem, Mastroianni czy Gorbaczow, Gregory Peck czy Gierasimow. Niezapomniane rosyjskie kreacje, maski pojednania, uczciwości, dobrej wiary. Gorbaczow ma wzrok energicznego mężczyzny o czystym sumieniu nauczyciela, który, gdy trzeba, powie surową prawdę w oczy. Zaprosili mnie jako amerykańskiego filmowca — tłumaczył się

Milosz Forman po powrocie. Zaprosili cię jako Czecha — wyjaśnił mu przyjaciel emigrant — po to, żebyś ich okłaskiwał w imieniu Praskiej Wiosny”.

„Sacharow. Człowiek złamany, czy przekonany? A może człowiek, który chce dalej walczyć? Bohater rozszczepia mi się na trzy hipotetyczne postacie (to już sukces Gorbaczowa). Niedługo się okaże która jest realna”.

„Gorbaczow. Prawdziwy reformator, czy tylko nowy król chytrego despoty, który postanowił zmodernizować imperium? Będziemy wiedzieli. Za rok, za dwa będziemy wiedzieli”.

„Czuję, że trzeba kończyć. Wiele spraw, z których powstały *Miesiące*, zamknęło się. Zamyka się. Nie przekraczać zamysłu kompozycyjnego, tkwiącego w tych czterech tomach. Zamysłu, o którym z początku nie wiedziałem”.

Tak, w książkach wszystko trwa krócej, prawdy dowiadujemy się znacznie prędzej — niektóre powieści można przeczytać w ciągu jednego dnia. Tego mi zawsze brakowało w życiu. Zwłaszcza teraz, gdy akcja tak pokrętnie się gmatwa, że nie wiadomo kto jest kim, za kim, przeciw komu, a fakty poprzedzielane są elokwentnymi komentarzami spikerów, którzy czasem budzą we mnie złe uczucia. Jak powoli to się rozwija. Nigdy dotąd nie czułem tak mocnego pragnienia jasnej, logicznej, zamkniętej konstrukcji. Mało dziś takich powieści. A nadal mnie urzeka wyzszczość sztuki nad rzeczywistością. O ileż czystsze środki, nieporównanie mniejsze marnotrawstwo, bo i większa umiejętność selekcji materiału. Gdyby życie miało taką precyzję i sprawność narracyjną jak *Tajny Agent* Conrada albo *Lot nad kukułczym gniazdem* tegoż Milosza Formana... Ale nie, tarza się w steku kłamstw, męczy w skurczach, z krzykiem, z jękami, bez końcowej pointy i przesłania. Bardzo nieprzyjemne.

Koniec lutego, nawrót zimy, ból nogi („pan mówi, że dobrze wyglądam — śmiała się pani Helenka będąc u nas z ostatnią wizytą — a ja nie mogę chodzić, w tym wieku nogi już bołą, pan zobacz”), więc ból i to właśnie w tej zoperowanej, pewnie skutek nagłego oziębienia. Czytam *Dom łabędzi*, powieść niemieckiego pisarza Martina Walsera, której nie skończę. Obejrzałem kilka nowych francuskich filmów, wszystkie łączy podobna maniera — paryski wygłup plus egzystencjalny wygibas, niby skrzyżowanie farsy bulwarowej z Beckettem. Co się stało? To, że na dzisiejszym kinie francuskim zaciążył fatalnie nie tylko rynkowy merkantylizm, lecz przede wszystkim ambicja tworzenia filozoficznej, nad-artystycznej, absolutnej sztuki. Te filmy o słabo

zbudowanych i pretensjonalnych scenariuszach dyszą z wysiłku osiągnięcia najgłębszych znaczeń. Tymczasem w życiu dzieją się rzeczy mniej filozoficzne i niezbyt artystyczne, a wykonuje je się bardzo prosto: dwie młode kobiety w dżinsach zabijają generalnego dyrektora zakładów Renault przed jego domem w Paryżu, kilka rewolwerowych strzałów, za dnia, w ruchu ulicznym, i uciezka.

Istnieje jakiś dystans, przesłona między Francuzami a życiem. Sprawy naprawdę poważne zdają się ich nie interesować. Ubóstwiają style, mody, nieśmiesznych komików i kpinki z rządu, ale mówić o rzeczach poważnych na ogół nie lubią. A w istocie są poważni. Poważni w tym, co robią, poważni w cywilizacji.

Ktoś mówi: — Jaka różnica poziomu między polskimi a francuskimi studentami! Nie do pomyslenia, żeby w Polsce inteligentny student któregośkolwiek filologicznego wydziału nie słyszał o Heinem czy Whitmanie!

Ja na to: że student francuski nie musi wiedzieć kim był Whitman lub Heine; nie ciąży na nim taki obowiązek, dla niego bowiem kulturowo, psychologicznie miejscem odniesienia jest Francja i nieznajomość kultur obcych wcale go nie dyskredytuje wśród swoich: jest Francuzem. W Polsce podobna ignorancja nie bywa kompromitująca jedynie w inteligenckich środowiskach dewocyjno-szowinistycznych. Tylko w kręgach Prawdewych Polaków wystarczy, że się jest Polakiem.

Z moich wieloletnich zetknięć z francuską publicznością (księgarnie, kina, wykłady, rozmowy ze studentami) wynika pewne ogólne wrażenie: że kultura francuska czuje się samowystarczalna, że Francuzi nie są nazbyt zafascynowani kulturami innych krajów. Może z wyjątkiem Rosji, dla której mają specjalną pasję. Ogólnie jednak nie podróżują tak namiętnie, jak Amerykanie czy Niemcy — dosłownie i w przenośni — z zadowoleniem trawia francuską kuchnię, francuską literaturę, francuski pejzaż. Jest w tym coś wielkopańskiego a zarazem prowincjonalnego. Mają swój świat dla siebie. W Polsce natomiast zawsze istniały równocześnie dwie kultury. Jedną wnosi cienka, górna warstewka inteligencji, pilnie śledząca myśl i sztukę Zachodu, i ta kultura wyrzyna nas z przytulności zaścianka. Druga płynie z dołu, drobnomieszczańsko-sarmacka kultura Prawdziwych Polaków, pograżona w tradycjach polskości rdzennej, sienkiewiczowskiej, arcy-polskiej. Ciekawie jest obserwować ewolucje współczesnych polskich neofitów: jak się przestawiają z jednej w drugą, jak byli internacjonalisci i okcydentalisci uczą dziś młodą inteligencję leżenia krzyżem przed Macierzą. Nie lekceważę zasięgu tej drugiej kultury, kultury większości — jedynie dla niej miejscem odnie-

sienia jest Polska — i zdaję sobie sprawę z tego, że milionom Polaków wystarczał *Pan Tadeusz* i *Ogniem i Mieczem*. Ale też widzę jej niebezpieczeństwa. To „arcypolskie” grozi odgródnieniem nas od świata. Francuzom nigdy taka rzecz nie zagraża, są połączeni ze światem gęstą siatką związków cywilizacyjnych. Tymczasem my, z naszą biedą i materialnym zacofaniem, nam nie wolno pograżać się w polskich samoutwierdzeniach, my musimy zezować: jednym okiem patrzeć uważnie w kierunku Zachodu, drugim — badawczo — na siebie.

Oto dlaczego młody francuski humanista może doskonale nie wiedzieć kim byli Heine i Shelley, i Leopardi, i Calderon, zaś inteligentny humanista w Polsce wiedzieć o tym powinien. A w sosie wyłącznie macierzystym pływają z zapalem miłośnicy Wańkowicza, Mackiewicza (Józefa) i poniekąd również ci od Żukrowskiego. Co tam dla nich niemiecko-żydowski paryżanin Heine... Pocieszające, że mnie w tym sosie nie ma i nie będzie.

Oglądałem stare fotografie i odnalazłem wśród nich zdjęcie ojca z Marianem i ze mną przy stoliku na werandzie w Zakopanem. Pięćdziesiąt siedem lat temu. Ani jednej fotografii matki — żadna się nie ocaliła, u nikogo z rodziny. Szczególnie muszę wytężyć pamięć, żeby ich sobie wyobrazić razem z ojcem i wtedy najczęściej przypomina mi się dzień, kiedy wracaliśmy z M. przez Śniadeckich w stronę Pola Mokotowskiego. To był na pewno wrzesień, niedziela, początek jesieni, wrzesień 1934, byliśmy już oboje przyjęci na pierwszy rok wyższych studiów. Wczesny wieczór czy późne popołudnie — odprowadzałem ją na Topolową do domu. Okrzyk tłumu dochodzący z pola wyścigów konnych, raptem urwany, świadczył że bomba poszła w górę, konie wystartowały do ostatniej gonitwy. Zanim doszliśmy do placu Politechniki, krzyk od nowa zaczął narastać, pewnie zbliżał się finisz. W chwilę później z białej, ażurowej bramy Wyścigów zaczęły wychodzić grupki ludzi, niektórzy biegli, przed wyjście zajeżdżały dorożki i auta. Prawie natychmiast chodniki były zaśnane strzępami różowych programów i podartymi biletami. Miałem nadzieję, że nie dojdzie do spotkania, ale na wszelki wypadek przyspieszyłem kroku. — Nie chcę, żebyś się spóźniła do domu, bo... — I w połowie kłamiwego frazesu spostrzegłem ich oboje, jak wychodzili z białej bramy, rozmawiając z mężczyzną o żółtosiwych zakręconych włosach i młodym człowiekiem prowadzącym pod ramię starszą panią w słomkowym cylinderku z kwiatkami. Żegnali się. Ojciec w jasnoszarym kapeluszu unosił dłoń do ronda, matka uśmiechała się mrużąc oczy; była w beżowym

kostiumie i w bluzce z małym, wysokim kołnierzykiem spiętym broszką.

Nie znali jeszcze M. Czułem opór przed tym zetknięciem, bałem się krytyk ojca. Ale przecinali już plac w kierunku Lwowskiej, nie było czasu się cofnąć. Pan Jankowski, wąsаты emeryt, pobiegł w stronę tramwaju, a młody człowiek ze starszą panią skręcili w Polną. Spostrzegłem pytający wzrok M. i kiedy ojciec wyprzedzając matkę zbliżał się do nas z brwią wypchniętą przez monokl („Po co mu to szkiełko...” myślałem rozpaczliwie), kiedy nadchodził swoim sprężystym, sztucznie młodzieńczym krokiem i było już naprawdę za późno, zagrałem *va banque*. Zdjąłem kapelusz, wołając z uśmiechem: — Tworzycie ładną parę!

Mocny Boże, jak to było możliwe, że świat naszego pierwszego życia tak nagle i łatwo przestał istnieć. Jakby dał się zdjąć z ziemi. A wydawał się tak niepodważalny w swojej oczywistości, w codziennym trwaniu. Żyliśmy, myśleliśmy, śmieliśmy się dzięki temu złudzeniu. Teraz dzieje się rzecz odwrotna. Większość ludzi żyła w poczuciu i oczekiwaniu, że to złe Nowe rozsypie się za pierwszym tknięciem rozumu i prawdy — że przestanie istnieć z dnia na dzień. Tymczasem stało się inaczej, to właśnie *ono* nadal trwa i pęta...

Sen: wróciłem do Warszawy i we śnie miasto było dużym pokojem o żółtawych ścianach, na których widniały jaśniejsze prostokąty i kwadraty po wiszących tu niegdyś obrazach. Możliwe, że gdybym dzisiaj wrócił, tak właśnie czułbym się w Polsce. Przez ten czas odeszło sporo ludzi, których sylwetki były dla mnie częścią mojego widoku miasta i życia. Zostały po nich puste miejsca. Czułbym się zapewne podwójnie osamotniony — przez ich nieobecność i przez mój wiek. Niektórzy moi rówieśnicy snują się dziś po Warszawie jak duchy. Kiedy o nich pytam, odpowiedź bywa często pełna zakłopotania: albo nie wiadomo kim jest osoba, o którą zapytałem, albo nie jest pewne, czy żyje. O takich sprawach mówi się dziś *normalka*, moje wieczne zdumienie tym obrotem rzeczy jest także czymś banalnym. Ale skoro wspominam tu o starości, to nie po to, żeby się nad nią roztkliwiać, lepiej z niej żartować. Gdy po wielokrotnych startach i lądowaniach w czasie ostatniej podróży przytępił mi się chwilowo słuch w lewym uchu, bawiło mnie, że w trakcie rozmowy zwijam je ręką w trąbkę, jakby naśladując gest starego człowieka. Starość, podobnie jak artroza, jest mimowolną imitacją i karykaturą, ale niech wam się nie zdaje, że tylko zasmuca — niekiedy śmieszysię i sam staruszek wydaje się sobie uzdolnionym komikiem.

Co wrażliwsi jednak czują się izolowani. Starość izoluje. Tę izolację gorzej chyba bym znosił w Warszawie niż w Paryżu. Tu-

taj przynajmniej mogę ją sobie tłumaczyć statusem cudzoziemca, tu nie mam — lub prawie nie mam, na szczęście — pustych miejsc po ludziach, którzy umarli. Konwicky mi opowiada, że zdębiał, kiedy niedawno w Warszawie jakiś młody człowiek pytając o ulicę zwrócił się do niego per „dziadku”. Konwicky bardziej się zdumiał niż wtedy, gdy dowiedział się, iż został dziadkiem. Wydaje się nam, że starość jest naszym prywatnym sekretem, i dąbujemy, gdy okazuje się, że wszyscy znają ten sekret. Najdziwniejsze jednak, że podczas golenia patrzy na mnie z lustra trzydziestopięcioletni szatyn. Nie farbuję włosów, w lustrze widzę obraz mojej dawnej twarzy. Szczególnie.

Od paru miesięcy robię sobie wyrzuty, że dotychczas nie napisałem listów kondolencyjnych do żon moich dwóch zmarłych przyjaciół. Zależy mi nie tyle na dobrej opinii u tych kobiet, co na przyzwoitych manierach wobec duchów — tak, chodzi o to, aby nie znaleźć się na tamtym świecie z głupią miną, nie zaczynać od przeproszeń i wykrętów. Starość... Wprawdzie nie cieszy się dziś szacunkiem w społeczeństwach cywilizowanych (inaczej jest w dzikich), nie mniej powinna wysoko nosić głowę. Zdaje się, że jedną z większych krzywd, jaką człowiek sam sobie wyrządził, jest to, że nauczył się wstydzić swojej starości. Kiedyś przekonywałem moją bardzo dostojną znajomą, która poczuła się dotknięta czyjąś nieuwagą: — Pani przecież nie ma powodów do towarzyskich kompleksów, pani, ze swoją przeszłością, ze swoim życiem? — Zapomina pan — odpowiedziała — że jestem stara.

My — ja i M. — nie czujemy się udręczeni naszym wiekiem. Chciałoby się raczej powiedzieć: zdziwieni, rozbawieni. Ale ten długi, biały korytarz, dzielący nasze pokoje... czasami nie możemy się odnaleźć, mówimy, nie słyszymy odpowiedzi... Szukamy się. Wołamy do siebie.

Dwadzieścia lat temu rysował mi się pomysł noweli lub powieści, której nie napisałem. Streściłem go tylko w jednej z moich książek:

„Wzajemna inkarnacja dwojga ludzi, których psychologicznie dzieli niemal wszystko, którzy jednak chcą poprzez przyjęcie swoich odmiennych prawd dojść do wspólnego prawa. I jak się to odbywa: wśród nienawiści i rozpacz, w paroksyzmach gwałtów, przebaczeń, ustępstw, kompromisów. Prawo dwojga ludzi nadane sobie przez nich, zdobyte w walce. I udział biologii w tej walce — ciemnej zapy, najtrudniejszej do przeniknięcia. W pierwszym roku miłości przerażenie Abego, który odkrywa, że nadal pożąda innych kobiet (widok uda przyjaciółki Bei, ka-

wałek śniadego ciała nad pończochą) i że to pożądanie trwa jednocześnie z miłością. Pokątne zaspokojenia i sublimujące się uczucie — jedno wyzwala drugie — fizyczna bigamia i uczuciowa wierność — permanentne kłamstwo praktykowane w zgrozie. Kolejne 'próby oczyszczenia', porażki, kawałki ud, kolana, zarysy karków wyłaniające się zza każdej myśli, atakujące sfetyszyzowanymi obrazami. Natarcie, odwet natury, represja za antynaturalność miłości. Scena, gdy Abe wyznaje to Bei, jej szok, jej nieprzygotowanie. Pierwsza chwila nienawiści. Znaczenie tej sceny, w której kobieta staje się sojusznikiem lub wrogiem''.

Szkic *Abe-Bea* był nie tylko projektem nowej fabuły — raczej segmentem narracji. W tym okresie lubiłem anagramy i szyfry. Myślałem przy tym o krótkiej powieści albo opowiadaniu na kilkadziesiąt stron. Z dwóch pierwszych liter alfabetu chciałem stworzyć parę, związać ją ze sobą i przepuścić przez równoczesne piekła — natury, małżeństwa, epoki. Rozpoczywałem kilka razy to opowiadanie, zawsze bezowocnie, mam tylko pokreślone kartki pierwszych rozdziałów.

Najinteligentniejsza z moich interlokuterek określiła kiedyś miłość mężczyzny do kobiety w moich książkach jako osłonę przed okrucieństwem życia i upadkiem cywilizacji. Miłość jest taktyką samoobronną. Nie pamiętam, jak na to zareagowałem, to był wywiad dla radia, dziś chciałbym jednak dwa punkty wyjaśnić. Przede wszystkim nie jest dla mnie pewne, że przeżywamy upadek cywilizacji, może tylko przemianę, mutację cywilizacyjną. Jeśli zaś mowa o okrucieństwie życia, to warto sobie uświadomić o czym mówimy: o biologicznym, społecznym czy metafizycznym okrucieństwie. Wszystkie trzy są wieczne, ale tylko ostatnie jest niezmiennie. Ewolują cierpienia zadawane przez naturę i historię — np. epidemie, absolutyzmy — natomiast cierpienie fundamentalne, nieświadomość tego, czym jesteśmy i co nas czeka po śmierci, nie ulega mutacjom, nie ewoluuje. W tym sensie miłość kobiety i mężczyzny istotnie stanowi osłonę, a właściwie sposób odwrócenia uwagi, a właściwie pracę wykonaną przeciw bezsensowi w celu wykupienia się z niewiadomej ziemskiego bytu. Więc prawdziwa miłość jest dla mnie przekroczeniem zwykłej ludzkiej kondycji, czyli niełatwą sprawą. Przez cały czas mam tu na myśli kobietę i mężczyznę, parę erotyczną. W prawdziwej miłości idzie o to, aby para dokonała obopólnego wysiłku transcendencji i przemienienia, aby stała się partnerstwem dwojga ludzi zawiązanym w obronie przed nicością. A tu już blisko sakrament. Wydaje mi się, że poczucie religijne ma we mnie trzy wymiary: udział w grzechu, przekonanie o niesprawiedliwości Boga i odkupienie przez miłość.

Przyszło nareszcie ocieplenie, jeszcze pochmurne i wilgotne, ale z szerokimi rozjaśnieniami. Pewnego dnia miasto strząsnęło z siebie zimne mgły, zabłyśło i po południu w słońcu na moście de la Tournelle zobaczyłem malarkę rozstawiającą sztalugi. W nocy budzę się po trzech godzinach snu, łykam proszek i czytamy pamiętniki lokaja Napoleona. Nazajutrz rano jestem zdolny do wysłania listu z poczty, do której chodzę ulicą Złych Chłopców. Reszta dnia przesiedziana nad rękopisem, beznadziejnie, z bólem oczu. Najgłupsze co można wymyśleć: skoro nic nie napiszę, postanawiam się ogolić — nie mogę się ogolić, ponieważ nic nie napisałem.

Mój złoty, mówię sobie w końcu, dlaczego tak się przejmujesz, spójrz za okno, wkrótce będzie nas sześć miliardów. Najpierw mieli rację pesymiści, później sceptycy, a ty się myliłeś. I może to ci przeszkadza w pisaniu. Myliłeś się do głębi, miałeś złudzenia i nadzieje, widziałeś świat przekreślony do góry nogami, uważałeś przyjaciół za wrogów i odwrotnie, wierzyłeś w szczęśliwe zakończenie. Dziękuj Bogu, że nie przydarzyły ci się gorsze rzeczy. Ogól się. Przeczytaj gazetę. Na pewno podłożono bombę, zgwałcono i zamordowano. Zewsząd słychać ryk seksu. Świat dyszy w podrygach na myśl o roku 2000, jak zwierzę, które się boi. Wczoraj na ścianie domu przy placu Odeonu widziałeś słowa nakreślone kredą, chyba przez jakiegoś studenta: LA FIN DU MONDE. Nieprawda. Nie wierzysz w koniec świata. Szwajcarscy intelektualiści twierdzą, że w Rosji narodził się Oswobodziciel. Gotowi są oddać swój świat, aby uchronić go od katastrofy. Nie będzie końca świata. Byczo jest. Masz ciekawą biografie i niebanalną starość. Przypomnij sobie, jak pięć lat temu w Queensie wtaszczyłeś się z dwiema walizkami do obdrapanej windy, a w dziesięć dni później zaproponowałeś kobiecie swego życia wspólne poderżnięcie sobie żył w wynajętym pokoju hotelowym, wiedząc że nie byłbyś do tego zdolny i chcąc tylko zmącić jej bez troskę. Po pięciu latach żyjesz całkiem nieźle. W Warszawie wszedł na ekrany film nakręcony według *Matki Królów*, wydrukowanej trzydzieści lat temu. Opisujesz w niej, jak partia, do której należałeś, niszczyła uczciwych ludzi. Podobno do kin ustawiają się kolejki. Do kina *Wars.* Więc mimo wszystko twój duch błąka się nad Wisłą. Skończ tę książkę. Może po niej także przetrwa jakiś ślad. Skończ ją, nie unikniesz zakończenia, po którym nadejdą puste dni. Nasze lata nie są wielką epoką literatury. Ogól się.

Achevé d'imprimer le 18 septembre 1987

sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24 rue Stephenson, Paris 18^e.

Dépôt légal : 3^e trimestre 1987. — N° d'imprimeur 84.02.

